

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.

WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . (52 tomy). rs. 10	Rocznie . (52 tomy) rs. 12
Półrocznie (26 tomów) „ 5	Półrocznie (26 tomów) „ 6
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kóp. 50	Kwartalnie (13 tomów) „ 3
Za odosłanie do domu 15 kóp. kwart.	

Cena każdego tomu 25 kóp., w oprawie 40 kóp.

DOPLATA ZA OPPAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy)	rs. 6 kóp —
Półrocznie. (za 26 tomów).	„ 3 „ —
Kwartalnie (za 13 tomów).	„ 1 „ 50

KOMITET REDAKCYJNY:

Dr. Piotr Chmielowski,
Teodor Jeske-Choiński,
Dr. Julian Ochorowicz,
Julian Adolf Święcicki.

SEKRETARZ REDAKCYI

Edward Nicz.

WYDAWCOY

Granowski i Sikorski.

REDAKTOR

Franc. Jul. Granowski.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Nowy-Świat 47. — Telefonu 564.
Filie: w Łodzi ul. Piotrkowska № 92, — we Lwowie Plac Maryacki 1. 4.

Drukarnia Granowskiego i Sikorskiego, Nowy-Świat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 36.

Precz z orężem!

(HISTORIA PRAWDZYWA)



Berty baronowej Suttner

Z PRZEDMOWĄ

Teodora Jeske-Choińskiego.

TOM II.

Cena 40 kóp

W prenumeracie 30 1/2 k.

WARSZAWA.

Redakcja i Administracja:

47. Nowy-Świat 47.

1893.

Dotychczas wyszły:

Tom.

1. Juliusz Słowacki. **Fowieści poetyckie**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 2, 3 i 4. Bolesławita. **Tułacze**, opowiadanie historyczne, z przedmową *Adama Pługa*.
5. Gustaw Le Bon. **Psychologia rozwoju narodów**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
6. Eliza Orzeszkowa. **Trzy nowelle**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
7. Iwan Turgeniew. **Z zapisek myśliwego**, w przekładzie i z przedmową *Klemensa Junoszy*.
- 8, 9 i 10. Fryderyk hr. Skarbek. **Dzieje Księztwa Warszawskiego**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
11. Wiktor Gomulicki. **Cudna Mieszczka**, obrazek warszawski, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
12. Jan Kochanowski. **Psalterz Dawidów**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
13. Jan Zacharyasiewicz. **Zakopane skarby**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 14 i 15. Bolesławita. **Czarna Perelka**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
16. Julian Mohort i Klemens Junosza. **Listy do przyszłej narzeczonej i Listy do cudzej żony**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
17. Teodor Jeske-Choiński. **Stłumione Iskry**, powieść, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*.
18. Juliusz Słowacki. **Poemata**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
19. Władysław Smoleński. **Szkoły historyczne w Polsce** (główne kierunki poglądów na przeszłość) studyum, z przedmową *Aleksandra Rembowskiego*.
20. Maryan Gawalewicz. **Szkice i obrazki**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.

Tom.

21. Piotr Chmielowski. **Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi** (1815—1825), z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
- 22 i 23. Franciszek Wężyk. **Władysław Łokietek**, powieść historyczna, z przedmową *Juliana Mohorta*.
24. Roman Plenkiewicz. **Kształcenie młodzieży** (Nauczanie początkowe i średnie), z przedmową *Juliana Ochrowicza*.
25. Zygmunt Krasiński. **Irydyon**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 26, 27, 28 i 29. F. Bernatowicz. **Pojata, córka Lezdejki**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
30. Julian Ochrowicz. **Wiedza tajemna w Egipcie i Istota bytu**, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*.
31. Klemens Junosza. **Na zgliszczach**, powieść wiejska, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 32 i 33. Anna Potocka. **Pamiętniki**, tłmaczyła J. A., z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
34. H. Lachambre i A. Machuron. **Wyprawa Andréego balonem do bieguna**, w przekładzie M. O., z przedmową *Juliana Ochrowicza*.
- 35 i 36. Berta baronowa Suttner. **Precz z orężem!** historia prawdziwa, obrobił Włodzimierz Trąpczyński, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.

Berta baronowa Suttner.

PRECZ Z ORĘŻEM!

HISTORIA PRAWDZIWA.

PODŁUG ORYGINAŁU NIEMIECKIEGO

obrobił

WŁODZIMIERZ TRĄPCZYŃSKI.

Z PRZEDMOWĄ

Teodora Jeske-Choińskiego.

TOM II.

JÓZEF
TOPOLSKI

WARSZAWA.

DRUKARNIA

Granowskiego i Sikorskiego.

47. Nowy-Świat 47.

JÓZEF



83951/2

Дозволено Цензурою.

Варшава, 14 Мая 1898 года.

K-73/78/103667

Księga trzecia.

ROK 1864.

Zabawiliśmy w Wiedniu jeszcze przez dwa tygodnie; nie były to jednak wcale wesołe chwile wypoczynku. Ta *czarna chmura* zasłaniała coraz bardziej horyzont polityczny i już o blizkiej wojnie pisały wszystkie gazety, rozmawiały wszelkie koła towarzyskie. Ile razy wpadło mi coś podobnego do uszu, zawsze trwożnie patrzyłam na tego z dniem każdym droższego mi męża i duszę moją opanowywała niepewność, co stanie się ze szczęściem mojem, gdy on pójdzie na wojnę. Inni i inne cieszyły się — ja cieszyć się nie mogłam. Wypadków choroby, śmierci, pożarów, powodzi — słowem tego, czem sama natura nam grozi, jest aż nadto, a jednak przyzwyczajają się człowiek, nie myśli o tem i żyje spokojnie, dlaczegoż więc ludzie sami stwarzają sobie dobrowolnie niebezpieczeństwa i w tej ziemi, pełnej wulkanów, wstrząsają jeszcze samochoćąc i sztucznie posadami szczęścia ludzkiego! Wprawdzie przyzwyczajono się wojnę uważać także za prawo natury, równie dobre, jak trzęsienia ziemi albo powódzie, ale ja z takim pojęciem rzeczy nie mogłam się pogodzić. Na pytanie: „czy wojna jest koniecznością?” — odpowiadałam

sobie ciągle „nie“, i w miejsce rezygnacji opanowywał mnie ból i zgroza. Chciałabym wtedy wołać: „nie czyńcie tego! nie czyńcie!“ Bo i cóż obchodzić nas może ten Szlezwig i Holsztyn i Dania i jej konstytucja? Co nam do tego, czy traktat książęcy znosi lub zatwierdza ustawy z dnia 13-go listopada 1863 roku?! Tymczasem wszystkie gazety pełne były elukubracji na ten temat, wszędzie tylko o tem mówiono, jak gdyby to zagadnienie było najważniejszym, decydującem o losach świata. Nikomu w głowie nie powstało wtedy zapytać się, czy konieczność wymaga, ażeby mężowie i synowie nasi poszli na rzeź...

Wieczór Św. Sylwestra spędziliśmy znów w domu ojca i kiedy zegar wolno wybijać zaczął dwunastą godzinę, ojciec wstał i rzekł, trzymając pełną szklanicę ponczu w ręku:

— Niechaj ta nowa wojna, która nas czeka w rodzącym się teraz roku, przyniesie sławę orężom naszym.

Spodziewałam się innego toastu, słysząc jednak te słowa, szklankę, którą już unosiłam w górę, postawiłam na stole; ojciec spojrzał na mnie uroczyście i zakończył:

— I niechaj ci, którzy nam są drodzy, powrócą szczęśliwie do domu!

Teraz znów schwyciłam za szklankę, ojciec zaś zapytał:

— Dlaczego to z początku nie chciałaś trącić się ze mną, Marto?

— Dlatego, ojcze, że wogóle życzyłabym sobie, ażeby do tej wojny nie przyszło wcale.

Kiedy powróciliśmy do hotelu, rzuciłam się Fryderykowi na szyję:

— Mój ty jedyny, mój ty najdroższy! — zawołałam i łzy mimowolnie pociekły z oczu moich.

— Co tobie, Marto? — rzekł, tuląc mnie do piersi. — Ty płaczesz... Dziś? przy Nowym Roku? Dla-

czego łzami witasz ten 1864-y? Może się czujesz nieszczęśliwą, może ja mimowoli sprawilem ci przykrość?

— Ty? o nie, nie! Ty jeżeli zawiniłeś, to chyba tem, że zanedtło czuję się szczęśliwą i dlatego tak się boję, tak bardzo się boję...

— Widzę, że Marta moja jest osobką przesadną; czybyś i ty wierzyła w bogi zawistne, burzące wszystko wtedy, gdy widzą, że ludziom dobrze jest z ich szczęściem?

— Nie bogowie, ale ludzie bezrozumni wzywają nieszczęścia na swoje głowy własne..

— Widzę, że masz na myśli przyszłą wojnę; dlaczego się smucisz przedwcześnie, gdy właściwie nie ma nic jeszcze zdecydowanego? Ani nie wiemy jeszcze czy przyjdzie do wojny, ani czy ja póję być zmuszony, usiądźmy lepiej, mój aniele, otrzyj łzy przedwczesne.

— Samo przypuszczenie, że może nadejść chwila, gdy mnie będziesz opuszczał, sprawia mi ból niezmierny; gdyby wojna była już zdecydowana, to mój Fryderyku, nie usiadłabym teraz tak spokojnie na tej kanapie, ale krzyczałabym, szlochała, jęczała...

— Zastanów się, Marto? przecież i ty narażona będziesz na niebezpieczeństwo, a jednak czyż mamy przypuszczać ewentualność straszną, równie często przytrafiającą się kobietom w wypadkach, gdy dają życie dzieciom swoim, jak mężczyznom na wojnie?... Nie myślmymy o tem, że miecz Damoklesa wisi nad głowami naszymi, raczej cieszymy się życiem i miłością naszą.

— Jakbym słyszała ciotkę Maryę, gdy tak mówisz! Wszystko u was znaczy los, traf, przeznaczenie, jak gdyby nieostrożność, dzikość, głupota i popęd krwiożerczy nie znaczyły nic w stosunkach ludzkich.

Mówił jeszcze długo, pocieszał mnie, słowa zaś jego jak balsam wpadały do duszy i uspokojała już

złożyłam głowę na jego piersi; on tę głowę okrywał pocałunkami gorącymi.

Dnia 10-go stycznia powróciliśmy do Ołomuńca. O tem, że wojna musi wybuchnąć, nie wątpił już nikt; w Wiedniu ten i ów przebąkiwał jeszcze, że może zatarg duńsko-holsztyński da się ułagodzić na drodze układów dyplomatycznych, ale tu w Ołomuńcu w kołach oficerskich wszyscy byli podnieceni i nawet kobiety rozradowane. Ta cieszyła się, że mąż ma pole do awansu, owa rada była, że podwyższą się dochody, u innej pochlebiało to dumie, mężczyźni zaś opanowywała chęć dokazania wielkiego czynu wojennego. Mówiono dużo o miłości ojczyzny, o dzielności armii, o wzniosłej idei narodowościowej, ale w mojem sercu wzrastała jedna tylko miłość, coraz większa i coraz silniejsza, miłość męża. Jego życie znaczyło dla mnie więcej niż cały nawet Szlezwig i Holsztyn, albo Japonia. Żyłam wtedy w nieopisanej trwodze.

W dniu 16-ym stycznia Związek niemiecki postawił ultimatum, wzywające Danię, ażeby w przeciągu 24 godzin zniósła prawo, przeciw któremu stany holsztyńskie i rycerstwo tamtejsze wezwały opieki Związku. Dania odmówiła, bo i któż pozwałby obcym rozkazywać w swoim własnym kraju! Odmowy takiej spodziewano się naturalnie, nad granicą stały już wojska pruskie i austriackie i 1-go lutego na dany rozkaz przekroczyły rzekę Ejderę.

Kości były już rzucone, rozpoczęto krwawą zabawę. Ojciec z tego powodu napisał do nas list z powinszowaniami, w którym mówił:

„Cieszcie się, dzieci! Teraz zdarza się nam sposobność powetowania cięgów, otrzymanych w roku 59-ym. Gdy powrócimy jako zwycięzcy z północy, będziemy mogli zwrócić się ponownie na południe. Prusy pozostaną nadal sprzymierzeńcem naszym, a wtedy pokażemy tym makaroniarzom, katarzyniarzom i przyjacielowi ich, temu intrygantowi Ludwikowi Napoleonowi, co my umiemy“.

Komendant i cały korpus oficerski doznał wielkiego rozczarowania, gdy pułk Fryderyka nie został odkomenderowany na plac boju, skutkiem czego otrzymaliśmy znów list kondolencyjny od ojca:

„Szczерze żałuję Tillinga, że ma nieszczęście służyć w pułku niepowołanym do tak świetnie zapowiadającej się wojny; niechaj go przynajmniej pocieszy nadzieja, że jeszcze zająć może potrzeba wysłania nowych posiłków. Marcie musi się to oczywiście podobać, ona cieszy się niezawodnie, że wolna będzie od obaw o męża, ale Fryderyk, choć nie jest zwolennikiem wojen z tak zwanych względów humanitarnych, wołałby chyba wziąć udział w kampanii, jak tego wymaga dzielność mężka. Mnie się zdaje, że na wojnę powinno się pchać całą armię, pozostawać bowiem w takich czasach przy piecu, to jednak zbyt przykro żołnierzowi“.

— Czy tobie istotnie przykro, Fryderyku, że zostajesz przy mnie? — zapytałam po odczytaniu tego listu, on zaś przycisnął mnie do serca i ta niema odpowiedź wystarczała mi zupełnie.

Spokój mój, pomimo to, nie powrócił do równowagi i tylko pragnęłam, ażeby wojna jak najprędzej dobiegła końca. Któż mógł zaręczyć, że lada chwila nie nadejdzie rozkaz wymarszu do pułku Fryderyka!... Czy Szlezwig należeć będzie do Danii, czy nie, to nie obchodziło mnie wcale. Może to niepatryotyczne, ale czyż oba narody zdawały sobie sprawę, o co się mordują? Gdy kilka psów rzuci się na kość, to wtedy gryźć się będą i wydierać ten gnat sobie, aż się na śmierć zagryzą; inaczej dzieje się w historii narodów, tu ludzie sami są temi kośćmi, o które gryzą się ich władcy. „Azor ma na mnie ochotę“ — woła pierwszy z brzegu „człowiek-kość“, „Burek chciałby mnie posiadać“ — wrzeszczy drugi, „protestuję przeciwko kłom Brysia“ — krzyczy trzeci — „a ja — głosi czwarty — za honor sobie poczytam, gdy mnie połknie Kruczek“. Patryoci wołali: „Dania

aż do Ejdery“, lojalni Holsztyni krzyczeli: „Chcemy mieć księciem Fryderyka Augustenburskiego“, nasi zaś politycy bronili *jedynie uczciwej* sprawy, jaką tylko mogła być „nasza sprawa“, i rozpisywali się szeroko o utrzymaniu równowagi europejskiej. Dzienniki w Kopenhadze w artykułach wstępnych z równą namiętnością broniły zasad wręcz przeciwnych. Rodziło się wtedy we mnie pytanie: czy nie lepiej było rozważyć wszystko dokładnie, sprawdzić pretensje walczących, a gdy niemożliwe porozumienie, zawezwać trzecie mocarstwo dla rozstrzygnięcia sporu? Dlaczego i jedna i druga strona woła upórczywie, tak długo, dopóki nie ochrypną: „nie chcę, nie chcę“, a gdy już sił nie mają wrzeszczeć, rozsądzenie zostawiają gwałtowi: „Ja mam słuszość i tylko ja!“? Czyż to nie dzikość? Gdy zaś do sporu wchodzi się pozwoli na pasku i hołduje zasadzie *quia absurdum*; z góry zrzeka się każdy dociekania i zrozumienia, o co właściwie chodzi. Gdy zaś wydobyto już szable z pochwy, to wtedy nie potrzeba nic więcej, jeno krzyknąć „hura“, ażeby w masach obudził się popęd krwiożerczy. Co więcej, błogosławieństwa niebios wzywa się na to, ażeby mordowanie bliźnich poszło gładko!

* * *

Nie miałam podówczas tak wyrobionego zdania, ażeby sobie zdać jasno sprawę z położenia rzeczy, czasami tylko budziły się we mnie powątpiewania i trud sobie musiałam zadawać, ażeby je sobie wybić z głowy. Chciałam wmówić w siebie, że ta rzecz tajemnicza, która się zowie „rozumem stanu“, jest czemś tak wysoko postawionem ponad rozum każdej jednostki, że moje słabe pojęcie nie może tego objąć. Pilnie studiowałam historię Szlezwigu i Holsztynu, ażeby dojść do jądra rzeczy i zgłębić, kto właściwie ma za sobą tak zwane „prawo historyczne“. Szperając długo, doszłam wreszcie do bardzo wyraźnych dowodów, że ten pas ziemi, o który teraz walczone, już w r. 1027 odstąpiony był Danii. A więc Duńczycy mają słuszość za sobą, ich królowie są wład-

cami prawowitymi tego kraju! Dziś powiadają nam, że traktat londyński powinien być uszanowany. Nie rozumiem, dlaczego traktaty mają za jednym pociągnięciem pióra zniweczyć to, na co złożyły się wieki całe i dlaczego takie dowolne układy mają być obryzgane krwią różnych niewinnych ojców, mężów i synów? Widocznie po za prawami naturalnemi kryje się jeszcze ów niezrozumiały dla przeciętnych „rozum stanu!“ Dogmatem stało się, że co postanowiono przy zielonym stoliku dyplomatów, to już jest najwyższą mądrością, wymagającą nawet ofiar krwawych. Honor Austrii i jej dobro zawisnąć miały od tego, czy protokół londyński będzie utrzymany, a prawo duńskie zniesione. Trudno wprawdzie uwierzyć nawet w tego rodzaju dogmat, ale tam, gdzie chodzi o sprawy polityki, ogół prowadzić się pozwoli na pasku i hołduje zasadzie *quia absurdum*; z góry zrzeka się każdy dociekania i zrozumienia, o co właściwie chodzi. Gdy zaś wydobyto już szable z pochwy, to wtedy nie potrzeba nic więcej, jeno krzyknąć „hura“, ażeby w masach obudził się popęd krwiożerczy. Co więcej, błogosławieństwa niebios wzywa się na to, ażeby mordowanie bliźnich poszło gładko!

O! ty głupi, okrutny, bezmyślny, dający się wodzić na pasku, tłumie!

* * *

Z placu boju same dobre nadchodziły wieści, związkowi zadawali cios po ciosie i już po kilku pierwszych potyczkach musieli Duńczycy oczyścić cały szmat ziemi. Szlezwig i Jutlandę obsadziły wojska nasze, nieprzyjaciół zamknął się tylko jeszcze w szanicach pod Dyplami i obwarował na wyspie Alsen. Całe położenie rzeczy znałam dokładnie, bo znów pojawiły się mapy, na których szpilkami, zaopatrzone w chorągiewki, oznaczało się pozycje i ruchy wojsk, stosownie do nadchodzących telegramów.

— Skoro jeszcze weźmiemy szanice pod Dyplami,

albo zgoła zdobędziemy Alsen — mawiali mieszczańscy ołomunieccy (wiadomo, że najchętniej „my“ zwykli mawiać ci, którzy nigdy na wojnie nie byli) — to wtedy zakończymy odrazu. Teraz znów pokazali nasi, co umieją, chociaż i Prusacy biją się wcale nieźle, a gdy zawsze razem pójdą z nami, to nikt nas nie zwycięży. Zdobędziemy Danię całą i przyłączymy ją do Związku niemieckiego. Ta wojna tak zaszczytna przyniesie nam szczęście.

Niczego więcej nie życzyłam sobie teraz goręcej nad zdobycie szaniec pod Dyplami; im prędzej to się stanie, tem lepiej, taki czyn bowiem stanowczo położy koniec dalszemu mordowaniu. Ciągłe wisiał nademną miecz Damoklesa, grożący rozkazem wymarszu pułkowi Fryderyka. Każdego dnia budząc się rano, trwożnie spoglądałam na męża, czy nie zakomunikuje mi krótko: „dziś wyruszamy“. Fryderyk był na to przygotowany i lubo nie pragnął tego wcale, przeczuwał, że taki rozkaz musi nadejść.

— Oswój się z tą myślą, moje dziecko — mówił do mnie — nie pomoże opór żaden, nie sądzę bowiem wcale, ażeby nawet po zdobyciu Dyplów wojna miała już być skończoną. Zbyt małą jest armia wysłana, ażeby mogła wymusić na Danii dogodne warunki pokoju, przyjdzie zatem wysłać nowe posiłki, a wtedy i mojego pułku nikt oszczędzać nie będzie.

Dwa miesiące trwała już ta wojna i jeszcze nie było żadnego rezultatu. Gdyby w najgorszym razie rozgrywała się partya przynajmniej tak szybko, jak to się dzieje przy zwykłym pojedynku, ale nie... tu za ledwie przegrano jedną bitwę, już wydawano drugą, za ledwie opuszczono jeden posterunek, broniono drugiego, aż do zgnębienia tej, czy tamtej strony wojującej.

Nareszcie 14-go kwietnia zdobyto Dyple. Wiadomość o tym wypadku przyjęto takim okrzykiem radości, jak gdyby szaniec broniły wstępu do raju; ludzie padali sobie w objęcia na ulicach, całowali się

i pytali wzajem: „czy panu już wiadomo? Dyple zdobyte!... Dzielne to nasze wojsko! wspaniałego dokonało czynu. Teraz podziękujmy Bogu!“ We wszystkich kościołach bito w dzwony i śpiewano *Te Deum*, kompozytorzy zajęci byli tworzeniem rozmaitych „marszów pod Dyple“, „szturmów na szaniec“, „galopad“ i tym podobnie. Towarzysze męża mojego, a szczególnie ich żony, nie podzielały tej radości ogólnej, przykro im bowiem było, że ich mężowie nie wzięli udziału w takiej sławnej bitwie, mnie natomiast największą radość sprawiło zwycięstwo, natychmiast bowiem zwołano konferencję do Londynu i zajęto się warunkami pokoju. Odetchnęłam pełną piersią, usłyszawszy znów potężne słowo „pokój“ i pomyślałam sobie wtedy, jak cały świat odetchnąłby swobodnie, gdyby raz na zawsze odezwał się ze wszystkich stron świata okrzyk potężny: „Precz z orężem! Złóżcie broń!“ Ten okrzyk wpisałam na karty czerwonego kajeciku. Obok pomieściłam w cudzysłowie jeden tyłko wyraz: „Utopia!“

Że kongres londyński położy kres wojnie, o tem nie wątpiłam ani na chwilę. Związkowi odnieśli zwycięstwo, Dyple zdobyte, jakże więc mogła bronić się dalej Dania? Tymczasem układy ciągnęły się strasznie długo, i z przerażeniem rozczarowaliśmy się po dwóch miesiącach, gdy nadeszła wiadomość, że tak długo prowadzone układy speszły na niczem, i że członkowie kongresu, nie zdziaławszy nic, rozjechali się do domów swoich. W dwa dni później Fryderyk otrzymał rozkaz wymarszu. Dla przygotowania i pożegnania się pozostawiono mu 24 godziny, ja zaś byłam w tem stadium, że lada chwilę spodziewałam się słabości. W tej strasznej godzinie, kiedy życie kobiety zawisło na włosku, całą dla niej pociechę staje się obecność męża, mnie tymczasem nietylko, że go odbierano, ale jeszcze wysyłano go na wojnę. Czulałam, jak jemu samemu musiało to być boleśnie

opuszczać biedną żonę swoją w takiej chwili przełomowej.

Było to rankiem 20 czerwca. Wszystkie szczegóły tego dnia pamiętnego wryły się głęboko w pamięć moją. Na dworze gorąco było i parno, spuszczone przeto wszystkie rolety w pokoju moim, a ja, ubrana w lekkie i luźne odzienie, bezsilna leżałam na kanapie, że zaś noc poprzednią przepędziłam prawie bezsenność, więc teraz marzyłam w pół śnie, w pół na jawie. Na stoliku obok umieszczoną była waza, pełna róż rozlewających woń w całym pokoju, przez otwarte okna zdążyła dochodziły mnie dźwięki ćwiczeń trębaczy wojskowych, a chociaż to wszystko działało usypiająco, jednak nie mogłam zasnąć zupełnie. Pomimo to, marząc zapominałam o troskach, zapominałam o wojnie i o tem niebezpieczeństwie, które mnie czeka, wiedziałam tylko, że żyję, że róż kwitną, że mój mąż ukochany wejdzie lada minutę do pokoju i gdy zobaczy mnie śpiącą, cofnie się po cichutku, ażeby mnie nie budzić. Tak się też stało, po chwili drzwi się otworzyły i nie podnosząc powiek poznałam, że wszedł tak gorąco oczekiwany Fryderyk. Uklęknął przy mnie i wpatrywał się we mnie, różę woń swoją rozlewały, zdaleka dolatywał odgłos muzyki...

— Czy śpisz, Marto? — zapytał zcicha.

Otworzyłam oczy i odrazu dostrzegłam na twarzy klęczącego taki smutek, że czułam zbliżające się nieszczęście, krzyknęłam przeto:

— Na miłość Boską! powiedz, co się stało?

Nie odpowiedział, ale ja domyśliłam się wszystkiego, opasałam go ramieniem mojem i tak przez chwilę pozostaliśmy w niemym uścisku.

— Kiedy? — spytałam wreszcie.

— Jutro rano.

— O Boże, mój Boże!

— Marto, bądź mężną!

— Nie, nie, pozwól mi się wypłakać, za wielkie

jest nieszczęście moje, a widzę, że i ty czujesz się bardzo nieszczęśliwym.

— Nie przeczę, bardzo jestem nieszczęśliwy, że właśnie teraz muszę cię porzucać, w takiej chwili.

— Fryderyku! my się już nie zobaczymy więcej, ja umrę...

* * *

Najzakamienialsze serce uczułoby litość w sobie, gdyby patrzyło na pożegnanie nasze... Po raz drugi w życiu żegnałam się z mężem idącym na wojnę, ale ten drugi raz bez porównania był boleśniejszy, aniżeli pierwszy. Wtedy i ja, a szczególnie Arno, inaczej patrzyliśmy na świat, dla mnie wymarsz jego wydawał się koniecznością, on zaś uważał wojnę jako radosną wycieczkę po sławę; Arno siedł ożywiony duchem wojennym, ja poddałam się losowi, teraz jednak wiedziałam, że ten żegnający się ze mną raczej ze wstrętem, aniżeli z radością podjąć ma pracę mordowania bliźnich, wiedziałam, że on życie, które teraz stawia na kartę, kocha, i wiedziałam, że ponad wszystkie uroszczenia wszelkich Augustenburgów wyżej stawia miłość żony, tej żony, która za kilka dni ma zostać matką jego dziecka. Cierpieliśmy oboje w równej mierze i skarżyli się przed sobą, nie łudziliśmy się, nie kłamali, nie wypowiadali czczych wyrazów pocieszenia, on nie chełpił się odwagą swoją. Nie szukałam pociechy w nadziei, że Fryderyk z wojny powróci generałem, czułam tylko, że nieszczęście spadło na mnie wielkie i że groza mogła się jeszcze powiększyć. Co mnie teraz mógł obchodzić cały „rozum stanu“, który odemnie aż takiej zażądał ofiary? Dlaczego tylu ludzi porzucać musiało ognisko domowe, dlaczego wojska austriackie wyruszyły w pole, ażeby osadzić na małym troniku jeszcze mniejsze książątko, dlaczego — i ciągle „dlaczego?“

Pułk miał wyruszyć o godzinie 10-tej zrana, ale my czuwaliśmy noc całą; nie chcieliśmy tracić ani je-

dnej chwili, pozostawionej nam na pożegnanie, zresztą tyle mieliśmy sobie do powiedzenia i... nie podzieliśmy nic. Łzy i pocałunki wymowniejsze były nad zaklęcia wszelkie o kochaniu. Każde moje odezwanie się warunkowałam małym słówkiem: „jeżeli.“ W głowie mojej płatało się ustawicznie owo „jeżeli“, a rozbijała wyobraźnia moja widziała, jak męża dźwigają na marach, gdy ja z dzieckiem niezwywem na rękę kroczę na cmentarz.

Fryderyk również ponure mieć musiał przecucia, rzekł bowiem:

— Nie chodź za mąż po raz trzeci, Marto! Nową miłością nie zatrzęsiesz wspomnień tego roku szczęśliwego, jaki przeżyliśmy z sobą.

Gdy świtać zaczęło, splakane oczy moje przymknęłam i drzemałam przez chwilę w objęciu jego, zapominając o niebezpieczeństwie i czując tylko, że on jest przy mnie.

Nagle zbudził mnie ból dotkliwy i jęknęłam kilka razy głośno, co słysząc Fryderyk, zerwał się z kanapy.

— Na Boga! Marto moja, co tobie... czy może już? powiedz... czy?...

Skinęłam głową na znak potwierdzenia; z pierś jego wydobyło się coś nakszałt krzyku zranionego serca, nakszałt przekleństwa, czy westchnienia, schwycił za dzwonek i zaalarmował dom cały.

— Natychmiast leć po doktora! — krzyknął do nadbiegłej służącej, poczem uklęknął znów przy mnie i całował opuszczone moje ręce.

— I to teraz—teraz właśnie muszę cię porzucić.

Nie mogłam mówić, nie wiem dlaczego, czy straszne cierpienia fizyczne, czy boleść duszy na myśl, że on teraz właśnie musi odejść odemnie, dość, że słowa więzły mi w gardle.

Wezwany lekarz przybiegł w towarzystwie nie-

odzwonej damy, zajęto się mną, Fryderyk zaś musiał czynić ostateczne przygotowania do wymarszu.

— Doktorze! — wołał ściskając mu obie ręce— przyrzeknij mi pan, że zrobisz wszystko, co leży w twojej mocy, i że zatelegrafujesz mi o wypadku, a gdyby zachodziło niebezpieczeństwo...—tu Fryderyk uśmiechnął się boleśnie—prawda, nicbym na to nie poradził, bo czyż mógłbym zawrócić z drogi?

— Straszna to powinność, panie baronie — potwierdził lekarz—ale bądź pan spokojny. Pacjentka jest młoda i silnie zbudowana, wieczorem będzie już po wszystkim i wieczorem otrzyma pan uspokajające telegramy.

— Tylko proszę nie łudzić mnie, chcę wiedzieć prawdę, proszę zatem o najuroczystsze słowo honoru, że w telegramach znajdę tylko *całą nagą* prawdę.

Jeszcze tylko jeden pocałunek i wybiegł, w uszach zaś brzmiały mu jęki moje i ostatnie słowa doktora: „Stan jest groźny.“

W jakim usposobieniu opuścił Fryderyk Ołomuniec, niech na to odpowie wstęp do artykułu gazety miejscowej:

Wczoraj przy dźwiękach muzyki, z rozwiniętymi i powiewającymi chorągiewkami opuścił miasto nasze pułk 00-ty, ażeby zdobyć liście laurowe w krainach opasanych morzem. Zapal wojenny napelniał szeregi i w twarzach wszystkich żołnierzy błyszczało wesele, oczy śmiały się z radości itd. itd...

* * *

Przed odjazdem swoim zatelegrafował Fryderyk do ciotki Maryi z oznajmieniem, że potrzebną mi jest opieka; w kilka godzin później zjawiła się ta starszka i znalazła mnie bezprzytomną, w stanie wielkiego niebezpieczeństwa.

Przez kilka tygodni ważyłam się pomiędzy ży-



ciem a śmiercią; dziecko moje zmarło w dniu swoich urodzin. Mąż mój biedny, stosownie do danego słowa honoru, dowiedział się od lekarza i o śmierci dziecka i o tem, że położnica jest chorą bardzo niebezpiecznie. Mnie natomiast nie powiedziano o tem, co się z nim dzieje, leżałam bowiem we dnie i w nocy w pewnego rodzaju delirium. Dziwne to było delirium, opanowały mnie halucynacje wojenne; widziałam przed sobą wydobyte pałasze, słyszałam huk armat, czułam najwyraźniej uderzenia bagnatów i zdawało mi się, że rzucona jestem pomiędzy walczące szeregi i że o moje losy biją się dwie wielkie armie. Że mąż mój poszedł na wojnę, wiedziałam, ale zdawało mi się, iż tym mężem jest Arno i lada chwila oczekiwałam granatu, którego pęknięcie rozbiłoby mnie, jego, Fryderyka, Rudolfa i to dziecko ostatnie. Przez sen tylko wołałam: „Boże miłosierdzia wielkiego, Boże sprawiedliwości, dopomóż nam, spraw, ażeby ludzie rzucili broń morderczą, krzyknij na nich: Precz, precz z orężem!” Z tym okrzykiem na ustach obudziłam się pewnego dnia, ale już przytomna; przy łóżku stał ojciec i ciotka Marya, a kiedy otworzyła oczy, rzekł ojciec:

— Uspokój się, dziecko moje, oręża przestały już chrzęszczeć, broń złożono.

Słyszę głos ojca, a więc żyję, czuję, wiem kim jestem, oto jestem Martą Tilling, chora, której dziecko nowonarodzone zmarło, której mąż poszedł na wojnę...

— Czy on żyje?... czy są listy... telegramy...— Było pierwszym pytaniem mojem.

Przyniesiono mi całą plikę listów i telegramów, nadesłanych w czasie mojej choroby. Jako takiej, która świeżo odzyskała przytomność, nie pozwolono mi wszystkich listów przeczytać, powiedziano tylko, że Fryderyk dotąd jest nietknięty, że szczęśliwie przeżył kilka potyczek, i że wojna musi dobieść do

końca, gdyż nieprzyjacieli broni się tylko na wyspie Alsen.

— Jakże Fryderyk, któremu donosiliśmy o wszystkim, co się tutaj dzieje, ucieszy się, gdy go dojdzie depesza o poprawie zdrowia twojego!—rzekła ciotka serdecznie.

— Jeżeli—wtrąciłam, wzdychając ciężko—jeżeli on sam jeszcze żyje.

— O to możesz być zupełnie spokojną—zapewnił ojciec, jeżeli ciebie wyratował zawezwany przezemnie z Wiednia doktor Braun, to już widać, że żadne nie grozi wam nieszczęście.

Na drugi dzień pozwolono mi odczytać wszystkie, nadesłane przez Fryderyka listy. Po większej części były to krótkie zapytania i lakoniczne doniesienia o sobie, w rodzaju: „wczoraj potyczka, wyszedłem cało,” albo: „dziś wyruszamy dalej” i t. p. Jeden tylko list był dłuższy i zaopatrzony w dopisek: „Oddać żonie mojej wtedy dopiero, gdy minie niebezpieczeństwo wszelkie.” Ten list właśnie przeczytałam najpierw:

„Moje ty wszystko na świecie! Czy ty kiedykolwiek czytać będziesz te wyrazy? Ostatnia wiadomość, jaką otrzymałem od doktora, brzmiała: „Pacjentka ma silną febrę, stan groźny.” Groźny?—A może ten dobry człowiek chciał mi oszczędzić bóleści i nie powiedział: „beznadziejny...” Gdy ten list dostanie się rąk twoich, będziesz już mogła być pewną, że uniknąłś niebezpieczeństwa, ale wyobraź sobie, czego ja musiałem doświadczać, gdy w przeddzień bitwy otrzymałem wieść, że żona moja umiera; co będzie jutro, czy i mnie dosięgnie kula? O! gdybym naprzd mógł wiedzieć, że ciebie niema już na świecie, to wtedy kula najmilszymby mi była darem! Nie chcę jednakże umierać, gdy choćby isierka tleje nadziei, że ty będziesz uratowaną. I to biedne dziecko nasze, na którego przyjście tak się cieszyłem, i ono w grobie... Jeżeli wszakże ty jeszcze żyjesz i jeżeli

powrócę szczęśliwie, nieprzebrane czekać nas będą skarby szczęścia. Cieszyć się będziemy życiem, jeżeli przeznaczono nam żyć.

Dziś po raz pierwszy napotkaliśmy nieprzyjaciela, dotąd bowiem pochód nasz kierował się przez ziemie już zdobyte, które opuścili pobici Duńczycy. Strzechy wiejskie, z których dym się unosił, zboża potratowane, porzucone w drodze tornistry i broń, ziemia granatami poryta, kałuże krwi, padlina końska, zbiorowe kurhany — oto krajobrazy, jakie przedstawiały się oczom naszym, gdy szliśmy w ślad za pobitymi, ażeby dalej i dalej znaczyć pochód zwycięzki, podpalać wsie, tratować pola... Nawet dziś uczyniliśmy to samo, zdobyliśmy posterunek, a za nim stoi wieś w płomieniach. Na szczęście, mieszkańcy wieś tę wprawdzie opuścili, w stajni jednakże został koń zapomniany, usłyszałem tłuczenie łbem i rżenie rozpaczliwe biednego stworzenia i czy wiesz, co uczyniłem? Orderu nie otrzymam za to, to prawda, a jednak zadowolony jestem z siebie, zamiast zabić kilku Duńczyków, pobiegłem do owej stajni wyprowadzić nieszczęśliwe zwierzę. Zapóźno — płonął już żłób, słoma paliła się pod jego kopytami, nawet grzywa stała w ogniu. Wtedy wyjąłem z za pasa rewolwer i wypaliłem mu w skroń dwie kulki, padł nieżywy, wybawiony od śmierci straszliwej w płomieniach. Spelniwszy to poszedłem na bój wachać proch, pomieszany z wyziewami krwi ludzkiej, słuchać dzikiego huku wystrzałów, trzaskających i spadających belek, wściekłego ryku wojennego; przeważna część otoczenia mego, czy to przyjaciół, czy wrogów, wpadła w wojenny zawrót myśli, mnie jednak nie zdolało to pozbawić tak niepotrzebnej na wojnie trzeźwości umysłu. Na nienawiść do Duńczyków nie mogłem się zdobyć, bo i czem zawinili ci mężni, którzy napadli teraz na nas? Wszak wypełniali tylko swój obowiązek! Myśli moje biegły ku tobie, widziałem cię ciągle na katafalku, a wówczas niczę-

go nie pragnąłem gorącej, jak tylko, ażeby we mnie ugodziła kula. Nareszcie zabłysnął mi znów promyk nadziei i rzekłem sobie: „a jeśli ona żyje? — a jeśli ja powrócę?...“

Utarczka trwała przeszło dwie godziny, i my utrzymaliśmy pozycję, nieprzyjaciół pobity uciekł, nie goniliśmy go, gdyż na placu mieliśmy dużo do roboty. O kilkaset kroków pozostał folwark, którego nie zniszczył ogień, są tam liczne a puste pokoje, stajnie i inne zabudowania gospodarskie, tam spędzimy noc dzisiejszą i tam też ulokowaliśmy konnych naszych, na rano jutrzejszy pozostawiliśmy sobie pochowanie zabitych. Naturalnie, że w takich razach do dołu wspólnego wrzuci się także kilku żywych, do wydarzeń bowiem nierzadkich należy letarg po otrzymaniu ran ciężkich, lecz możliwych do wyleczenia. Innych zaś będziemy musieli pozostawić na miejscu, nie wiedząc wcale, czy oni zabici, ranni lub żywi, mianowicie tych, których przyniotły gruzy walących się domów. Ci z nich, którzy nie żyją, będą tu gnić zwolna — ranni zalewać się będą krwią, a żywi umierać muszą śmiercią głodową. A my? — Hej „hura!“ idźmy dalej na tę wojenkę wesołą!

Następne spotkanie będzie zapewne walną bitwą, o ile bowiem mi się zdaje, staną przeciwko sobie dwie wielkie armie, a wtedy ilość zabitych i rannych dosięgnie dziesiątków tysięcy, jeżeli bowiem armaty zaczną siać zniszczenie, to zwłaszcza pierwsze rzędy szybko będą wymiecione. Prawda, jakie to śliczne urządzenie! Lepiej jednakże będzie wtedy, gdy technika doprowadzona zostanie do takiej doskonałości, że każda armia raz tylko wystrzeli i tym jednym wystrzałem zabije cały zastęp wrogów; może wtedy ustana zupełnie wojna. Siła nie będzie wtedy rozstrzygała o niczem, obie bowiem strony walczące równą posiadać będą potęgę.

Dlatego jednak piszę to wszystko do ciebie,

dlaczego nie uderzę w ton hymnów pochwalnych na cześć rzemiosła rycerskiego, jak przystało bojownikowi? Oto dlatego, że pożądam prawdy, bez żadnych obślonek, że zawsze nienawidziłem frazesów kłamliwych, tembardziej, że brzydzę się niemi teraz, gdy śmierci z bliska patrzę w oczy i gdy ty również z nią się pasujesz. Niechaj tysiące innych ludzi myśli sobie inaczej, albo niechaj kłamię, jak im nakazuje przyzwyczajenie, ale ja muszę raz jeszcze powiedzieć, zanim padnę ofiarą, że wojny nienawidzę z duszy całej. Gdyby każdy, kto tak samo czuje, odważył się powiedzieć to samo głośno, jakiz wtedy groźny protest uderzyłby o strop nieba! Wszystkie rozbrzmiewające głośno „hura” razem z hukami armat, który im towarzyszy, zagłuszyłby okrzyk bojowy uszlachetnionej ludzkości, okrzyk zwiastujący zwycięstwo: Ja wypowiadam *wojnę—wojnie!*

3¹/₂ rano.

List powyższy napisałem wczoraj w nocy, poczem rzuciłem się na siennik i przespałem kilka godzin; przed półgodziną obudziłem się i zdążyłem jeszcze oddać ten list pocztą polowej. W obozie zapanał już ruch i wszyscy gotują się do wymarszu. Żał mi tych ludzi biednych—tak mało zaznali spokoju po bitwie wczorajszej—i tak mało wzmocnili się do czekającej ich dzisiaj roboty krwawej. Zdążyłem także przejść się po nowo zaimprowizowanym lazarecie, który zostaje na miejscu. Pomiędzy rannymi umierającymi zobaczyłem dwóch, którym z chęcią zrobiłbym to samo, co wczoraj uczyniłem koniowi, posłałbym im kulę w skroń i wybawił od męczarni straszliwej. Jednemu kula urwała całą szczękę dolną, drugiemu... nie! dosyć tego, ani ja im nie pomogę, ani nikt na świecie, jedna śmierć może się zlitować nad nimi, a niestety! na tę śmierć często przychodzi za długo czekać i kto ją w rozpacz powołuje, ten może być pewny, że ona głuchą będzie

na jego wołanie. Śmierć za dużo ma do czynienia, my zabieramy tych, którzy z głębi duszy pragną wyzdrowienia i wołają błagalnie: „Oszczędź mnie jeszcze.”

Koń czeka na mnie osiodłany—muszę kończyć ten list—bądź zdrowa, Marto! bądź zdrowa, jeżeli *żyjesz jeszcze!*...

* * *

Na szczęście, pomiędzy zwojem listów znajdowały się także wiadomości z najświeższą datą i o zapowiedzianej w liście bitwie mógł już Fryderyk donieść.

„I znów ukradłem dzień jeden—pozostałem niektnięty, że zaś wygraliśmy bitwę, więc odrazu ślę ci dwie nowiny: jedna niech służy ojcu twojemu, druga tobie. Czyż potrzebuję dodawać, że dzień ten na pozór tak świetnie zakończony, wielu, bardzo wielu rodzinom przyczynił boleści i łez?...”

W innym znów liście opowiada mi Fryderyk, że wypadkowo spotkał się z kuzynkiem swoim, Gotfrydem, tym pięknym chłopcem, którego poznałam w Berlinie.

„Wyobraź sobie, jaka mnie spotkała niespodzianka! Oto kiedy mijał nas oddział pruski, na czele ujrzałem ni mniej, ni więcej, jeno syna ciotki Kornelii. Wyobrażam sobie, jak ta biedna kobieta musi drzeć o jego życie. On wszelako jest pełen animuszu wojennego, co nietrudno dostrzedz z postawy dumnej i błyszczących oczów. Tego samego wieczora spotkaaliśmy się razem w obozie i ja kazałem go poprosić do swego namiotu: „Jakże to pięknie, mój kuzynku — rzekł w uniesieniu—że obok siebie, ramię w ramię, za jedną walczyny sprawę! Czyż to nie szczęście, że zaraz w pierwszym roku mojej służby, jako podporucznik, znalazłem się na wojnie? Teraz pewny jestem, że do domu wrócę z orderem za zasługi „na piersiach.”—A ciotka? jakże ciotka przyjęła

twój wymarsz?—zapytałem, patrząc na niego.—„Matka, jak matka, jak wogóle wszystkie matki, żegnała mnie łzami, które pragnęła ukryć, ażeby nie tłumili odwagi mojej, błogosławiła mnie na drogę, może troski miała odrobinię, ale więcej jeszcze dumy.“—„No, a jakże tobie było na duszy, gdy szedłeś po raz pierwszy wachać proch?“ — „Ja czułem się w siódmym niebie!“ — „Nie kłam przynajmniej przedemną, mój chłopcze i wyobraź sobie, że nie oficer sztabu pyta się ciebie o twoje uczucia *obowiązkowe*, ale człowiek, jak i ty, a przedewszystkiem bliski twój przyjaciel.“— „Jeszcze raz powtarzam, że rozkosznie mi było i podniośle, może... okrutne to trochę, ale w każdym razie wojna jest czemś wspaniałem. Już samo poczucie, że spełniam najwnioślejszą powinność mężczyzny, że walczę przy pomocy Boga za króla i ojczyznę, już to samo, że śmierć, która zwykle ukazuje się nam jak upiór i której tak się okropnie boimy w zwykłych czasach, tu obok mnie co chwilę rozpościera swoje skrzydła i śmiga kosą na prawo i na lewo—już to samo przenosi mnie w stan nadzwyczajny, rodzi się usposobienie prawdziwie epiczne. Czuję, że muza historii krąży teraz nad głowami naszymi i mieczom naszym udziela siły zwycięskiej. Gniew wzbiera we mnie szlachetny na widok tego zuchwałego nieprzyjaciela, który chciał podeptać prawa wszystkie i nad wyraz szczęśliwym się czuję, że mogę zaspokoić nienawiść swoją. Jest w tem coś dziwnego, coś tajemniczego, że człowiek może, że człowiek musi zabijać, a jednak nie jest mordercą, życie swoje stawiając na kartę...“

Chłopak bąkał w ten sposób jeszcze długo, a ja pozwoliłem mu się wygadać, boć przecież i ja podobnie byłem owiany uczuciami, gdy mnie ogarnął pierwszy animusz wojenny w pierwszej bitwie. Epopeją — tak epopeją jest wojna i to może najrozumniejsze ze wszystkiego, co powiedział, tak nas uczył od młodu, dziś jednak widzę, że kto morduje tylko dlatego,

ażeby mordować, kto w odkrytą skroń nieprzyjaciela bezbronnego tnę pałaszem, kto w pierś bez pancerza godzi celnym strzałem—ten nie jest bohaterem epicznym, ale tygrysem żądnym krwi. Nie będę nigdy takim, wierz mi, żono moja. „Jesteśmy braćmi—mówił dalej Godfryd—i zawsze będziemy walczyć razem.“ „Cóżbyś jednak powiedział, mój chłopcze — przerwałem—gdyby dziś jeszcze albo jutro stanęły wrogo przeciwko sobie armie austriacka i pruska?“—„To niemożliwe! zwłaszcza teraz niemożliwe, kiedy za dobrą sprawę walczymy obok siebie!“—„Niemożliwe? Przyjmij naukę od starszego od ciebie, że w polityce nie istnieją niemożliwości. Chrabąszcz żyje miesiąc tylko, ale i on dłużej jeszcze żyje, aniżeli przyjaźń w polityce.“

Spisuję to wszystko, Marto moja, nie dlatego, ażebym sądził, że ciebie biedną, chorą kobietę może to zająć, ani też nie dlatego, ażeby usprawiedliwiać się przed tobą, ale czynię tak jedynie w tym celu, że nie chcę, ażebyś ty nie znała poglądów moich, gdy śmierć mnie teraz zabierze. Wiem, że list mój może zginać i że nie twoich rąk dojdzie, ale przez innych będzie przeczytany. Wszystko mi jedno! Niech wiedzą, co się dzieje w duszy żołnierza, który czuje, myśli i dalej sięga wzrokiem. „Odważyłem się“—powiedział kiedyś Ulryk von Hutten, a te wyrazy niechaj i mnie służyć jako godło.“

Najświeższy list, jaki znalazłam, datowany był przed pięciu dniami, i wtedy opanowała mnie znów trwoga, że przez całych pięć dni mogły zajść rzeczy straszne...

Ojciec musiał znów wyjechać, opuszczał mnie zaś uspokojony, że niebezpieczeństwo minęło. Ciotka Marya została przy mnie, ażeby pielęgnować mnie i gdy będę już do tego stopnia silną, odwiedzić na wieś. Ciotka snuła najprzeróżniejsze plany, mnie zaś rościło się ciągle po głowie pytanie, „co się z nim dzieje?“

i chciałabym była co godzinę wysyłać telegram z zapytaniem: „czy ty żyjesz jeszcze?”

Pomimo starań lekarzy i opieki ciotki, nie przychodziłam tak szybko do zdrowia, jak się z początku spodziewałam. Niepewność ustawiczna o los Fryderyka sprawiała, że w nocy miewałam różne wizje i dnie trawiłam w trwodze i niepokoju. Nieraz gorączka opanowywała mnie tak silna, że dla uspokojenia musiano wnosić do pokoju małego Rudolfa.

Ojciec dopytywał się często o mnie, że zaś prędzej odemnie otrzymywał listę poległych, donosił telegraficznie: „Fryderyk żyje!” W ten sposób upłynęło kilka tygodni, aż znów wreszcie zawitał jaśniejszy promyk, nazwany ogólnie „zawieszeniem broni.” Dla mnie zawieszenie broni oznaczało to samo, co — pokój, a jakież to słodkie i jakie wzniosłe wyrażenie — pokój! Tego samego dnia wstałam po raz pierwszy z łóżka i ciotka rozradowana wołała:

— Bogu niech będą dzięki! teraz już zupełnie będziesz zdrową — a ja odrzekłam na to:

— Jeżeli tylko wzmocnię się na siłach, pojedę do...

— Gdzieżby, jeżeli nie do ojca?

— Nie, ciociu, pojedę na wyspę Alsen i tam odszukam miejsce, gdzie albo Fryderyk leży ranny, albo też...

Łzy, ciskające się do oczu, nie pozwalały mi mówić dalej, ciotka zaś zerwała się z miejsca i zawołała:

— Prędzej, prędzej, przynieście tu Rudolfa!

— Pozwól mi, ciociu, pozostać samą, może usnę, ale gdyby przyszedł listowy, obudźcie mnie natychmiast.

Pochyliłam się na kanapie, ciotka cicho wyszła z pokoju, a ja zdrzemnęłam się istotnie. W tym śnie przewinęło się wszystko przez myśl i całą przeszłość przebiegać zaczęłam od początku. Tak samo wtedy gorąco i parno było na dworze, tak samo ró-

że rozścielały woń swoją i tak samo w uszach brzmiał mi odgłos kapeli wojskowej...

Usnęłam i w tym śnie zdawało mi się, że opieram rękę na jego ramionach i tak razem płyniemy w wieczność... Woń róż coraz stawała się silniejsza, głuchły tony trąb ze swoim tra-ra-ra i sen stawał się coraz miłszy, coraz miłszy. We śnie ukazywał mi się Fryderyk i bezwiednie wyciągnęłam ręce, a napotkawszy na jakiś przedmiot, wstrząsnęłam się i lekko otworzyłam oczy.

— Fryderyku! to ty, mój najdroższy? — krzyknęłam przerażona.

— Ja, mój aniele!

— Czy to sen? Nie! Postawa, ramiona, które mnie obejmowały czułym uściskiem, wszystko to jego, jego... Nie, to nie sen!... To przebudzenie po nocy strasznej.

On żyje, a ja tulę się do jego piersi.

* * *

Podobnie, jak w chwili pożegnania, tak i teraz przy powitaniu, mniej było słów, ale więcej łez i pocałunków. Wiedziałam, że boleść może człowieka przyprawić o utratę zmysłów, teraz czułam, że radość jeszcze łatwiej te zmysły może pomieszać; tuląc drogą mi głowę Fryderyka, tołkałam, to śmiałam się naprzemian, to znów drżałam febrycznie, z ust wybiegały niezrozumiałe dla nikogo wyrazy i tylko całowałam go tysiącrotnie w skroń, oczy, usta...

Na pierwszy mój okrzyk radości wbiegła nic nie wiedząca o powrocie Fryderyka ciotka Marya, która też zawoławszy: „Jezus, Marya, Józef!” padła zdziwiona na pierwszy fotel z brzegu. Długiego potrzebowało czasu, zanim ochłonęliśmy z pierwszego wrażenia radosnego i mogli zadawać sobie pytania. Z odpowiedzi Fryderyka dowiedziałyśmy się, że on, odniósłszy lekką ranę, zatrzymał się w chacie wieśniaczek, podczas gdy pułk jego pomaszzerował dalej,

a chociaż rana nie była wcale ciężką, to jednak kilka dni przeleżał prawie bezprzytomny. W ostatnich dniach nie dochodziły go skutkiem tego listy, ani też on nie mógł ich wysyłać. Gdy wyzdrowiał, dowiedział się, że nastąpiło zawieszenie broni i że właściwie wojna dobiegła już do końca. Teraz nic nie stało już na przeszkodzie jego powrotowi do domu, nie pisał więc, ani nie telegrafował, ale pędził dniem i nocą, ażeby przybyć jak najwcześniej. Nie wiedział, czy jeszcze żyję i czy minęło już niebezpieczeństwo i nie dowiadywał się o to, ażeby radosnej podróży powrotnej nie psuć sobie wieściami smutnymi, w sercu jednak budziła się nadzieja, że najdroższą istotę znajdzie przy życiu. Nie omyliła go nadzieja, miał teraz przy sobie tę drogą istotę, uratowaną, zdrową, szczęśliwą, szczęśliwą prawie nad miarę.

Wkrótce przenieśliśmy się do wiejskiej posiadłości ojca mego; dla poratowania zdrowia otrzymał Fryderyk urlop dłuższy, nigdzie zaś spokoju, zaleconego mu przez lekarza i świeżego powietrza nie znalazłby więcej, aniżeli tam na wsi.

Szczęśliwy to był koniec lata tego roku i nie przypominam sobie, ażeby jakikolwiek okres w mojem życiu równie piękne i trwałe zostawił po sobie wrażenie. Połączenie się z gorąco umiłowanym jest już wielką radością, ale uczucie i pewność, że się odzyskało tego, który uważany był za straconego, najwyższą sprawia rozkosz. Serce moje skakało w pierś i każde przypomnienie sobie strachu, jaki mnie przejmował podczas wojny, sprawiało mi nie ból bynajmniej, ale uciechę wielką. Czułam, że kocham go więcej, stokroć więcej, aniżeli przed wojną, nie bogatą już byłam, ale posiadałam nieprzebrane skarby. Niedawno zdawało mi się, że jestem żebraczką, a teraz miliony rozkoszy czekały na moje skinienie.

Na wsi cała rodzina nasza znalazła się w kompiecie, był więc także brat mój Otto, przeprowadzający

wakacje. Chłopiec to był piętnastoletni, który jeszcze trzy lata miał przebyć w wiedeńskiej akademii woj-skowej, serdeczny, dzielny, będący ulubieńcem i chluba ojca.

On też, pospołu z Lili i Rózią, napelniał dom cały wesołością, a śmiechom, grze w piłkę, w krokieta i wszelkiego rodzaju figlom nie było końca od rana do nocy. Wtórował im dzielnie kuzynek Konrad, którego pułk stał niedaleko załogą i który często przyjeżdżał, ażeby dotrzymywać placu rozmaitym wy-brykom młodzieży. Towarzystwo całe podzieliło się na dwie części, z jednej strony młodzież, z drugiej osoby starsze, mianowicie ciotka Marya, ojciec mój i kilku przeprowadzających u nas lato przyjaciół ojca. Ta druga część zawzięcie grywała w karty, umiarkowanie używała przechadzek po parku i politykowała, ku czemu wyborne pole dawały wypadki wojenne, oraz kwestya szlezwicko-holsztyńska. Fryderyk i ja, zajęci własnem szczęściem, trzymaliśmy się zdaleka, załedwie na obiadach i kolacyach spotykając się z cał-em towarzystwem. Nie przeszkadzano nam wcale, ojciec mój bowiem zawyrokował, że potrzebną nam jest samotność, jako tym, którzy przechodzą teraz drugą fazę miodowych miesięcy. W samotności największe znajdowaliśmy zadowolenie, po tylu bowiem troskach ciężkich nie moglibyśmy byli podzielać naiwnej uciechy młodzieży, ani tem mniej sympatyzować z nudnemi opowiadaniem starsuszków. Przedsiębraliśmy zatem wspólnie dłuższe spacer-y, a wieczorem po herbacie zasiadaliśmy w bibliotece i najchętniej opowiadali sobie o przebytych niebez-pieczestwach. Gdy wtedy mówił o wypadkach wojennych, gdy malował przejmujące grozą epizody z pola bitwy, głos jego drżał i nie krył się wcale z niechęcią i bólem nad okropnościami wojennymi. Czy ludzkość zgniecie w sobie kiedyś porywy barbarzyńskie, czy cywilizacya wpłynie na zaprzestanie mordu masowego? Oto pytania, nad których rozwiązaniem

trawiliśmy godziny całe. Jakże inaczej opowiadał Fryderyk, gdy go ojciec mój i Otto prosili o szczegóły z ostatniej kampanii! Wtedy ograniczał się wyłącznie na szczegółach dotyczących taktyki i obrotów wojsk, przedstawiał wyniki potyczek, wymieniał nazwiska wziętych pozycyj, przedstawiał niektóre sceny z życia obozowego i powtarzał wyrazy słyszane z ust wodzów. Słuchacze zachwycali się, ja tylko jedna nie znajdowałam przyjemności w tych suchych opisach i kiedy ojciec nie spuszczał oka z mówiącego, kiedy Otto z podziwem patrzył, a generałowie z powagą krytykowali obroty, czułam, że mąż mój nie dopowiada myśli swoich i nie wygłasza poglądów, o których mówiliśmy tak często. W cztery oczy zrobiłam mu nawet zarzut z tego, ale on odpowiedział:

— Nie czynię tego ani przez fałsz, ani z braku szczerości i odwagi wypowiedzenia zdania własnego; proste poczucie przyzwoitości skłania mnie do tego. Zapewne przypominasz sobie naszą podróż poślubną, a więc wyjazd z Wiednia, pierwsze sam na sam w wagonie, noc w hotelu w Pradze... Czy jednak o tych wszystkich szczegółach opowiadałaś kiedy przyjaciółkom swoim i krewnym?

— O takich rzeczach nie mówi żadna kobieta.

— Otóż wiedz teraz, że są rzeczy, o których również nie może mówić mężczyzna. Wam nie wolno się zwierzać z uciech miłosnych, nam nie wolno rozprawiać o cierpieniach wojennych, bo pierwsze mogłyby na szwank narazić cnotę waszą, drugie oddać na pośmiewisko męstwo nasze. Coby ludzie powiedzieli, gdyby usłyszeli, że ty zmysłowość swoją posunęłaś aż do płaczu z zachwyty miłosnego, albo, że ja byłem tak tchórzliwy, iż krzyczałem w duszy, kiedy kule świszczały i śmierć kościła głowy ludzkie. Jeżeli nie krzyczałem na głos, to tylko dlatego, że wiedziałem, iż ból mój nie będzie odczuty przez ni-

kogo, 999-ciu na 1000 nie wyda się, że cierpi, chociaż ból szarpie ich serca.

— Ogół nie chce myśleć—rzekłam w zamyśleniu—i to właśnie największe nieszczęście, że się ludzie nie umieją zastanowić nad okropnościami wojny i nie zdolni są do pomyślenia głębiej.

* * *

Nareszcie po długich namowach udało mi się skłonić Fryderyka do porzucenia służby wojskowej.

Postanowiliśmy za kapitały moje, złożone w banku, kupić majątek ziemski, którego zarząd da pole dostateczne Fryderykowi do ustawicznego zajęcia.

Ojcu i rodzinie nie wspominaliśmy nic o zamiarach naszych, przypuszczać bowiem należało, że stawiać będą zarzuty, udzielać rad, przyganiać, a to na razie było zbyt ciężkie. Później potrafimy okazać się wyższymi nad błędne ich pojęcia, gdzie bowiem dwoje ludzi tak zgodnie coś postanowi, wszelkie perswazyje odbiją się od nich jak groch o ścianę. Ta przyszłość rojona czyniła jeszcze miłszą chwilę teraźniejszą i znów powtórzyć muszę: piękny to był okres życia mojego.

Rudolfek, chłopiec już siedmioletni, rozpoczął naukę czytania i pisanie, nauczycielkę zaś miał we mnie; żadnej bonie nie odstąpiłabym przyjemności rozwijania młodej duszyczki i patrzenia na to, z jaką gorliwością brał się do nauki. Często chłopiec towerzył nam i zarzucał nas pytaniami, na które musieliśmy najdrobiazgowiej odpowiadać. Przyjęliśmy za zasadę nie dawać nigdy fałszywych objaśnień, woleliśmy wprost mówić, gdy nas o coś zapytał, czegośmy sami nie rozumieli, że tego nie wiemy. Pomimo pieczy naszej, chłopiec nie wiadomo zkąd nauczył się pojęć o „nieprzyjacielu“, o walkach, bitwach i t. p. Pewnego dnia zobaczyliśmy, że Rudolf nielitościwie okłada szpicrutą dwa skomlące pieski.

— Co ty robisz?—zawołał mi się zdaleka,

— Bije—odparł z ogniem w oczach—bo to podły Włoch, a ten drugi bezczelny Duńczyk.

Fryderyk wyrwał małemu pogromcy narodów szpicrutę z ręki i okładając go nią, zawołał:

— A ty jesteś Austriak bez serca!

„Podły Włoch“ i „bezczelny Duńczyk“ uciekli zadowoleni, ich skomlenie zastąpił teraz płacz Austriaka.

— Czy gniewasz się, Marto, że wybiłem syna twojego? Nie jestem zwolennikiem karania różgą dzieci, ale okrucieństwo względem zwierząt porusza mnie do żywego.

— Nie tylko, że się nie gniewam, ale pochwalam najzupełniej twój postępek.

— Tak?... więc tylko... względem ludzi... można być okrutnym?—zapytał, szlochając, Rudolf.

— Tem mniej wolno być okrutnym dla zwierząt—odparł Fryderyk.

— A przecież ty sam, ojczy, biłeś Włochów i Duńczyków?

— To byli nieprzyjaciele nasi.

— Więc nieprzyjaciół wolno bić, co się zmieści?

Fryderyk popatrzył na mnie i rzekł cicho:

— Dziś lub jutro nauczę go wzniosłego przykazania: „Kochaj bliźniego swego, jak siebie samego“—o ty logiko ludzka! Potem zaś rzekł głośno do Rudolfa: — Nie dlatego bije się nieprzyjaciół, ażeby mieć w tem przyjemność, jeno dlatego, że oni na nas uderzają.

— A dlaczego oni na nas uderzają?

— Dlatego, że my...—urwał i znów zwrócił się do mnie — oto i błędne koło, z którego wybrnąć nie sposób. Pobaw się teraz, Rudolfsku, my ci przebaczymy, a na przyszłość nie czyni tego więcej.

Kuzynek Konrad, jak mi się zdawało, czynił pewne postępy w sercu Lili. Niema to jednak, jak wytrwałność! Co do mnie, popierałam jego zamiary i z przyjemnością obserwowałam, że oczy siostry mo-

jej rozjaśniały się, gdy zdaleka postyczała tentent kopyt końskich, i że wzdychała, gdy Konrad nas opuszczał. Nie starał się już teraz nadskakiwać jej, nie mówił nigdy o miłości, nie oświadczył się ponownie, ale podług wszelkich zasad strategicznych, prowadził najprawidłowsze oblężenie serca wybranej.

— Różne są sposoby zdobywania fortec — oświadczył mi poufnie — można fortecę wziąć szturmem, można ją ogłodzić i t. p. Tak samo istnieją też różne sposoby zmuszenia serca kobiecego do kapitulacji, ja zaś uważam za najlepiej wiodący do celu system praktykowania uporu i wzbudzania litości, boć przecie rozczulić ją musi, że ją tak uparcie ją kocham, że tak uparcie milczę i z uporem ustawicznie powracam na swoje stanowisko. Gdybym zniknął z jej oczu, nie odczuwałaby może wcale braku, ale gdy tak dłużej prześladować ją będę osobą swoją, to ręczę, że za kilka miesięcy nie będzie mogła prosto bezemnie wytrzymać?

— Czy obliczyłeś, ile czasu potrzeba, ażeby ona nie mogła aż wytrzymać?

— Dokładnie jeszcze nie obliczyłem sobie, ale będę dopóty jej się narzucał, dopóki sama nie powie: „bierz mnie, Konradku!“

— Podziwiam stałość twoją, czyż bowiem nie ma już innych panien na świecie, oprócz Lili?

— Dla mnie niema, Lili wpakowała mi się w głowę i basta. Ma coś takiego w kącikach ust, w chodzie, w sposobie mówienia, że żadna inna nie mogłaby mnie jej zastąpić. Ty, Marto, jesteś np. dziesięć razy ładniejsza, sto razy rozumniejsza...

— Dziękuję za komplement — roześmiałam się szczerze, on zaś, nie zważając na to, kończył:

— Ale widzisz, za żonę miećbym cię nie chciał...

— Tem więcej ci dziękuję.

— Wiesz, dlaczego bym nie chciał? Oto dlatego,

że jesteś za rozumna i traktowałabyś mnie z pewnością z góry; tobie nie imponuje ani mój krzyżyk na piersiach, ani szabla moja, ani ostrogi. Co innego Lili, ona ma szacunek dla siły zbrojnej.

— Pomimo to, jak widzisz, dwa razy poślubiłam oficerów—odparłam ze śmiechem.

* * *

Nadeszła jesień; dnia 30 października podpisano w Wiedniu pokój, nadeszła zatem upragniona chwila, kiedy spełnić się miało najgorętsze życzenie moje, t. j. podanie się Fryderyka do uwolnienia z wojska. Tymczasem, jak to bywa na świecie: „Człowiek strzela a Pan Bóg kule nosi.“ Zaszedł wypadek który jak grom w nas uderzył i zniweczył odrazu marzenia nasze gorące. Dom bankierski, w którym ulokowany był cały mój majątek, zbankrutował i ja straciłam wszystko. To bankructwo było także tylko następstwem wojny, kartacze bowiem i granaty nie tylko burzą mury domów, w które są wycelowane, ale walą także budowle okoliczne...

Utrata majątku osobistego nie przyprowadziła mnie jeszcze do kija żebraczego; ojciec mój nie pozwoliłby na to, ażebym cierpieć miała niedostatek, ale o podaniu się Fryderyka do dymisy w tych warunkach nie mogło już być mowy. Przestaliśmy być ludźmi niezależnymi zupełnie i pensja męża mojego jedynym stać się odtąd musiała źródłem utrzymania, chociaż bowiem ojciec dodał sporo, to jednak nie mogliśmy zdać się zupełnie na jego łaskę.

Trzeba się było poddać losowi. Nie wiedziałam nawet, ile wynosił majątek mój, wiem jednak, iż chodziło tu o kilkakroć sto tysięcy; w innych warunkach nie żałowałabym ich nawet, ale teraz przykro mi było niezmiernie, że ten domek z kart, jaki już sobie wybudowaliśmy w wyobraźni naszej, runął za jednym podmuchem. Jedno mnie tylko pocieszało, że horyzont polityczny był zupełnie pogodny i że liczyć

można było na jakieś dziesięć lub dwadzieścia lat pokoji, a do tego czasu ileż się jeszcze różnych rzeczy stać może!...

Szczerba, wyrządzona nam przez Włochy wyrównała się teraz sławą oręża, osiągniętą w zapasach szlezwicko-holsztyńskich, ambicya przeto mogła być zaspokojoną i na całym niebie ani jednego nie widać było „czarnego punktu“. Zwykle po deszczu pojawia się słońce, a w blaskach jego zapominamy o wodzie, która spadała na ziemię, trzęsienia ziemi i wybuchy wulkanów nie odstraszały ludzi od budowania coraz nowych domów, nikt wtedy nie myśli o niebezpieczeństwach, ani o tem, że katastrofy mogą się powtórzyć. Tylko zapomnienie o troskach i bólach daje nam energię do życia. Przez zimę staliśmy kwaterą w Wiedniu, Fryderyk bowiem otrzymał teraz zatrudnienie w ministerjum wojny, co miłszą było czynnością, aniżeli służba koszarowa. Siostry moje z ciotką Maryą pojechały na karnawał do Pragi. Dlaczego do Pragi? Pulk Konrada odkomenderowany został do stolicy Czech, ale to chyba wypadek tak zdarzył! Czyżby wzgląd ten wpłynął na postanowienie sióstr moich? Przypuszczenia te moje wyraziłam głośno Lili, ona zaś zaczerwieniła się, ruszyła ramionami i nie patrząc mi w oczy, odrzekła:

— Wiesz przecież, że ja go nie chcę...

Ojciec sprowadził się do dawnego mieszkania swojego i zaproponował nam, ażebyśmy zajęli część pokojów, my jednak woleliśmy pozostać sami z sobą i najęliśmy mały domek na skwerze Franciszka Józefa. Pensja męża i dodatek, otrzymywany od ojca, wystarczały nam na skromne, ale przyzwoite utrzymanie. Naturalnie, że musieliśmy zrezygnować z abonamentów łóż, z wszelkich balów dworskich, słowem z życia w tak zwanym „wielkim świecie“. Łatwo nam to przyszło i nawet przyjemnie nam było do pewnego stopnia, że strata majątkowa służyła za wytłomaczenie. Szczerze bowiem pragnęliśmy żyć na ustronie

niu. Pomimo to dla małego kółka krewnych i przyjaciół dom nasz stał zawsze otworem. Najczęściej odwiedzała mnie przyjaciółka z lat dziecińczych, Laura Griesbach, nie powiem jednak, ażeby w jej towarzystwie zbyt często teraz znajdowała przyjemność. Sposób jej opowiadania, który dawniej już razł mnie płytkością swoją, męczył mnie teraz poprostu, widnokrąg jej myśli tak był ciasny, że nie wystarczał dla przyjemnej pogawędki. Mówiono, że temu i owemu zawróciła w głowie, ale bo też była jak zawsze ładną, ożywną i trochę kokiетką. Nieprzyjemnie uderzyło mnie spostrzeżenie, że Fryderyk wpadł jej w oko i że nieraz tak na niego patrzyła, jak gdyby pragnęła wzbudzić żywsze uczucie w jego sercu. Mąż Laury, ozdoba Jockey-klubu, placu wyścigów i bohater z za kulis teatralnych, nie należał do wiernych małżonków, nie możnaby przeto nawet potępić jej zbyt, gdyby zapragnęła odplacić mu pięknem za nadobne. Niechajby jednak wybrała sobie kogo innego, nie Fryderyka.

Byłabym zazdrosną? Na samo to przypuszczenie rumieniłam się po uszy. Serca jego byłam pewną, on żadnej, żadnej kobiety nie mógł kochać oprócz mnie, Laura tymczasem nie kłamała nawet przedemną, że jej Fryderyk się podoba, raz bowiem rzekła do mnie:

— Pilnuj dobrze męża swojego, zazdroszczą ci bowiem kobiety tak przystojnego mężczyzny.

— Nie zachodzi potrzeba pilnowania — odparłam — zbyt pewną jestem jego wierności.

— Wszyscy oni z jednej ulepieni gliny i nie znam ani jednego z naszych panów, któryby nie starał się o moje względy, pomiędzy nimi wielu jest żonatych, a czegoż oni chcieć mogą? Chyba ani mnie, ani siebie nie chcą ćwiczyć w wierności małżeńskiej.

— Czy może i Fryderyka zaliczasz do falangi

tych starających się o względy twoje? — zapytałam z uśmiechem.

— Gdyby tak było nawet, to jeszcze nie powiedziałabym ci tego, bądź więc zadowoloną przynajmniej, że cię ostrzegłam.

Roześmiałyśmy się obiedwie, chociaż w sposobie jej mówienia było coś takiego, co zdolne było porużyć w sercu strunę zadróści.

Mąż Laury nie brał udziału w wojnie szlęswicko-holsztyńskiej i to gniewało zarówno jego, jak i ją; skarżyła się nawet przedemną.

— Taka ładna była ta wonja zwycięzka, gdyby mąż mój był poszedł na nią, z pewnością byłby już kapitanem. Ha! trudno, trzeba się pocieszyć, że przy najbliższej okazji powetuje sobie to nieszczęście.

— Co też ty mówisz, kobieto! — wykrzyknęłam — teraz najmniejszych nawet nie ma widoków na wojnę, o cóż bowiem i z kim miałyby wybuchnąć?

— Nie kłopotuję się o to z kim i dlaczego, ale to wiem, że wojny przychodzą same z siebie. Co pięć lub sześć lat musi przyjść do czegoś, taki już jest porządek na świecie. Zostawmy to dyplomatom, co my bowiem kobiety możemy wiedzieć o powodach! Ja mam już taki zwyczaj, że gdy nastanie burza, błyska się i pioruny biją, wtedy się modłę, a gdy przyjdzie do wojny, cieszę się...

* * *

Zdawałoby się, że gdy dwa serca zespoliły się w jedno, dopiero wtedy tworzą całość nierozdzielną, a jednak malej nieraz potrzeba rzeczy, ażeby te serca rozbiły się na drobne atomy. Niesmaczne odezwanie się Laury źle oddziało na nas, a jeszcze gorzej inne wydarzenie, jakie nastąpiło wkrótce potem. Następstwem i jednego i drugiego była silna febra nerwowa, która przez sześć tygodni trzymała mnie w łóżku. Na pozór smutne to bardzo wydarzenie, a jednak dziś tyle i tak przyjemnych wspomnień się z niem kojarzy...

Podejrzenie, rzucone przez Laurę i choroba sama wpłynęły na to, że z Fryderykiem pojmowaliśmy się i rozumieli coraz lepiej, coraz bliżej—słowem już podczas choroby samej, a tem więcej po jej przebyciu, jeszcze pewniejszą byłam tego, że jestem kochaną gorąco. Śmierci bałam się bardzo, żalby było mi opuścić ten świat tak piękny, gdy na niego padają promienie miłosne, żalby mi było niezmierny opuszczać Fryderyka, przy którego boku chciałam doczekać starości, i Rudolfa, którego pragnęłam wychować na człowieka. Kokolwiekby mówiono, nie ulega wątpliwości, że człowiek, który sam kocha i otoczony jest ludźmi kochającymi, nie może nigdy pożądać śmierci.

Ojciec odwiedzał mnie podczas choroby codziennie i wielkie okazywał współczucie, wątpię jednak, czy śmierć moją wziąłby tak głęboko do serca, jak Fryderyk, i dziwić mu się nie można, byłam już zamężną, miałam swój dom i rodzinę swoją, młodsze zaś siostry moje żyły z nim razem, brat mój, Otto, jako jedyny, stał się chlubą i pociechą ojca starego. Przytem zapatrywania moje sprawiły, że niejako obcą mu się stałam, chociaż więc zapraszał nas, ażebyśmy po wyzdrowieniu pojechali z całą rodziną do Grumitz, nie uczyniłam tego i wyszukaliśmy z Fryderykiem mieszkanie letnie w pobliżu Wiednia.

Siostry moje, ciągle pod opieką ciotki Maryi pozostające, wyjechały do Marienbadu. Po drodze zatrzymały się w Pradze, zkąd otrzymałam list od Lili:

„Przyznam ci się otwarcie, że Konrad przestaje mi być wstrętny; podczas niejednego kotyliona byłam nieraz tak usposobioną, że gdyby mi był postawił swoje zwykłe zapytanie, kto wie, czy nie odpowiedziałabym: „Tak!“ Dziwny człowiek, że stanowczego kroku nie umiał zrobić w chwili właściwej, dopiero, gdyśmy wyjeżdżali, oświadczył mi się znów, ale ja byłam w takim humorze, że znów mu dałam odkosza. Nie zrobiło to na nim wielkiego wrażenia, gdy na zapytanie jego, po raz setny zdaje się posta-

wione: „Czy jeszcze nie zdecydowałaś się zostać moją żoną?“ odpowiedziałam: „Ani mi się marzy!“ Tym razem jednak dodałam jeszcze: „Zapytaj się znów za sześć miesięcy.“ Wiesz, dlaczego mu w ten sposób odpowiedziałam? Oto chcę przez lato wypróbować serce swoje i jeżeli tęsknić będę za nieobecny, jeżeli w sezonie polowań nikt nie robi na mnie odpowiedniego wrażenia, wtedy, ha! wtedy... zwycięży wytrwałość kuzynka Konrada.“

W tym samym czasie otrzymałam list od ciotki Maryi.

„Droga moja siostrzenico! Dawno już nie zmęczyłam się tak, jak w ciągu upłynionego kwartału i chyba nie wróci mi już spokój, dopóki Różia i Lili nie znajdą odpowiednich partyj. Co prawda, partyj tych było dosyć, każda miała najmniej po czterestu konkurentów, nie wliczając już w to *nieodczownego* Konrada, cóż, kiedy takie są wybredne! Teraz będę znów miała plagę w Marienbadzie.

Cieszę się niezmiernie, że znów jesteś zdrową, a byliśmy w wielkim strachu, mąż twój bowiem pisywał takie listy rozpaczliwe, jakbyś już bliską była śmierci. Bóg zachował cię widocznie dla twojego małego Rudolfa; uściskaj go odemnie i powiedz niech się uczy gorliwie na pociechę naszą. Opowiadaj mu o sławnych ludziach, jak ja to robiłam bratu twojemu, Ottonowi, który jeszcze pięciu lat nie miał, a już wiedział, kto był Aleksander Macedoński, Juljusz Cezar i inni zdobywcy.

Dowiedziałam się, że lato chcesz spędzić w bliskości Wiednia; źle robisz, moje dziecko, bo staremu ojcu nudzić się będzie bez ciebie, a zresztą dla szczęścia małżeńskiego jest bardzo dobrze, wierząc starej i doświadczonej kobiecie, gdy mąż z żoną rozłączają się na czas niedługi. Najszczęśliwsze związki są te, gdzie żona nie jest wiecznie jak kula u nogi na oczach męża, i gdy mąż bodaj na tygodni parę odzyskuje trochę swobody.

A teraz bądź mi zdrowa, ochraniaj się, ażeby nie nastąpiła recydywa, i zastanów się nad tem, co ci napisałam. Niech Bóg łitościwy ma ciebie i Rudolfka w swojej opiece. Codzień modli się za was gorąco kochająca cię

Ciotka Marya.

P. S. Mąż twój ma krewnych w Prusach (na szczęście, nie jest taki bezczelny arogant, jak jego współziomkowie), zapytaj się go przeto, co tam w Prusach mówią o sytuacji politycznej, która przedstawia się bardzo groźnie.“

* * *

List ciotki Maryi przywiódł mi na pamięć, że są na świecie jakieś „sytuacje polityczne.“ Oddawna nie kłopotano się o to i zarówno podczas choroby mojej, jak i po wyzdrowieniu, czytywałam pisma codzienne, tygodniki, miesięczniki, ale systematycznie opuszczałam wszystkie artykuły polityczne i wstępne; przestawałam zadawać sobie pytanie, czy będzie wojna, czy też nie — i dopiero przypisek ciotki skłonił mnie do rozczytywania się w sprawach polityki bieżącej. Tego samego też dnia jeszcze zapytałam się męża:

— Powiedźże mi, mniej od innych, ale zawsze „bezczelnie arogancki Prusaku“ — co ciotka rozumie pod tym wyrazem „groźne?“ Czyżby pojawił się znów jaki punkt czarny?

— Te punkty znajdują się zawsze — odpowiedział — polityka jest jak temperatura, dziś ciepła, jutro zimna, a zawsze zawodna.

— Siadaj przeto i opowiedz mi wszystko dokładnie, czyżby znów te ksiąstewka nadelbiańskie?...

— Nigdy tyle o nich nie mówiono, co obecnie, sprawa bowiem ani w części nie jest doprowadzoną do końca, mieszkańcy Szlezewigu i Holsztynu, poznawszy się na tej, jak ciotka pisze, „bezczelnej aroganicy“ Prusaków (tacy bowiem, niestety, jesteśmy), chcą

się jej gwałtownie pozbyć i powiadają dziś: „Już wolimy lepiej znosić Duńczyków, niż tych przebrzydłych Prusaków!“ Wiadomo już dzisiaj, że pokój wiedeński nie załatwił właściwie nic i kwestya szlezwicko-holsztyńska jak przedtem, tak i teraz zawisła w powietrzu.

— Czegóż jednak chcą Prusy? — zapytałam.

— Napoleon III doradza Prusom, ażeby one zajęły obadwa księstwa aż po ten pas, gdzie rozpoczyna się język duński, Prusy jednakże idą dalej i w dniu 22-m lutego sformułowały ostatecznie żądanie swoje w ten sposób: Wojska pruskie zostaną w kraju, port Kilonii przejdzie do Prus, jak również poczta i telegraf, księstwa muszą przystąpić do związku celnego. Żądania te gniewają, nie rozumiem zupełnie dlaczego, ministra naszego, Mensdorfa-Pouilly, tem mniej jeszcze rozumiem gniew państw środkowo-związkowych. Król Wilhelm jedzie do Gasteinu, cesarz Franciszek Józef do Ischlu, a hrabia Blume krąży pomiędzy jednym miejscem kąpielowem a drugim i zmierza do tego, ażeby Austria, odzyskawszy dwa miliony talarów odszkodowania, w połowie miała te same prawa przy obsadzeniu kraju. Przyznam się, że te dwa miliony nie napelniają wcale dumą moich uczuć patriotycznych, chociażby bowiem co się przecież nigdy nie stanie, rozdzielono tę sumę, to i cóż znaczą dwa miliony na 36 milionów mieszkańców! Czyż one choćby w części wyrównają straty, jakie naprzykład ponieśliśmy przez upadek domu bankierskiego? Cóż dopiero mówić o łzach wylanych!...

Dnia 14 sierpnia podpisano w Gasteinie nowy układ, ja zaś tak się ucieszyłam z tego wypadku, że nie przypuszczałam dalszych powikłań; nie wiedziałam jeszcze wtedy, że nawet najbardziej przyjaźnielskie układy zawsze stać się mogą „casus belli.“

* * *

Odtąd, podniecona przez ciotkę, zaczęłam znów rozczytywać się w artykułach wstępnych, rozbierają-

cych sytuacje polityczne, ze wszystkiego jednak, co przeczytałam, nie wywnioskowałam wcale, że przyjdzie do wojny. „Arogancja pruska“ weszła już w zwyczaj jako najzwyczajniejsze określenie, przebąkiwano też wszędzie, że Prusaków strzedz się należy. — Ten król Wilhelm chciałby widocznie naśladować Wiktora Emanuela — mówiono wszędzie; inni znów powtarzali, że Austria pocichu dąży do pozyskania Szląska; wszystko to jednak przemijało bez znaczenia.

Na zimę cała rodzina nasza sprowadziła się znów do Wiednia; Róża i Lili bawiły się wprawdzie doskonale w Marienbadzie, ale nie zareczyła się z nich żadna, skutkiem czego akcje Konrada poszły znacznie w górę. W jesieni ojciec wyprawił kilka polowań wielkich, pomimo jednak gorących zaprosin, nie dałam się nakłonić do wyjazdu na wieś. Fryderyk nie otrzymał urlopu, rozłączenie się zaś z nim bez koniecznej potrzeby wywołałoby boleść w sercu mojem; przytem bałam się, ażeby wpływ dziadka nie oddziaływał źle na umysł mojego Rudolfa i nie obudził w nim skłonności wojowniczych. Już i bez tych wpływów syn i wnuk rodu rycerskiego miał skłonności wrodzone, które przytłumiać należało, ale nie rozbudzać.

* * *

Nowy Rok 1866. Dla powitania tego roku nowego, który miał być tak strasznym w dziejach, zebraliśmy się w domu ojca i skupili około stołu w nader wesołym usposobieniu. Powodów do wesołości było aż dwa: Noc Sylwestrowa i jednocześnie zaręczyny Konrada z siostrą moją Lili. Kiedy wskazówka na zegarze zbliżyła się do 12-ej, kiedy na ulicy rozległy się wystrzały, kuzynek Konrad schwycił siedzącą obok niego Lili w pól, ku naszemu zdziwieniu wycisnął na jej ustach pocałunek i zapytał, patrząc śmiejącami się oczyma:

— Chyba zechcesz mnie nareszcie w tym nowym roku 1866-ym?

— Cóż mam robić — odpowiedziała Lili — kiedyś taki uparty?

Wszyscy podnieśliśmy szklanki nasze w górę, zaczęli trącać się z młodymi i całować się, ścisnąć ręce, a powinszowaniom i błogosławieństwom nie było końca; ja jednak pomyślałam sobie w duszy, że Konrad, chociaż jest najlepszym chłopcem, nie zapewni nigdy takiego szczęścia siostrze, jakiego ja doznaję w pożyciu z Fryderykiem, ale bo też niema drugiego takiego człowieka na świecie całym...

Gwarowi, jaki powstał, położył koniec ojciec mój, uderzając sygnetem herbowym w pełną szklanicę szampana i zagajając w ten sposób:

— Dzieci moje i zebrani tu przyjaciele! Rok 1866 już w pierwszej chwili wypełnił najgorętsze życzenie życia mojego, którem było, chociaż o tem nie mówiłem nic i nikomu, pozyskanie Konrada na zięcia, pocieszam się więc nadzieją, że i Póza niezadługo włoży sobie czepiec na głowę. Tego jej i sobie życzę gorąco, tobie zaś Marto życzę, ażeby znów bocian przyszedł do was w odwiedziny. Tobie! panie doktorze Bresser, chociaż to nie licuje z życzeniami naszymi noworocznymi, życzę niezliczonej ilości chorych; tobie, siostró Maryo, zupełnego odpustu w niebie za tę twoją pocziwość i dobroć, ckazywaną córkom moim, tobie, mój jednaku Ottonie, ażebyś wyrósł na chwałę oręża naszego, na chwałę Austrii, która oby w tym roku odzyskała albo Lombardję albo Szląsk. Nie wiadomo, co nas czeka i kto wie, czy ten rok nie jest przeznaczony, ażebyśmy odebrali tym bezczelnie aroganckim Prusakom ziemię, którą oni w tak haniebnym sposób ukradli wielkiej cesarzowej naszej Maryi-Teresie.

Nie wiem, co ojciec mówił dalej, ale już w tem, co powiedział, przebijało się znów życzenie wojny. Zabolalo mnie to i rada byłam, że Fryderyk przerwał słowami:

— Nie, drogi ojcze, wszakże i Włosi i Prusacy

święcą dzisiaj rok nowy, nie zakłócajmy więc im spokoju, raczej życzymy sobie, ażeby w r. 1866-ym, ludzie szczęśliwsi byli i zgodniej żyli z sobą, aniżeli poprzednio.

— Mówisz jak marzyciel — odparł ojciec — nie jak żołnierz.

— Nie, mówię raczej, jak mi nakazuje serce, prawda wszędzie jest jednaką i nie można rzeczy, która jest *czarną* we Włoszech, nazywać *białą* w Austrii, ani tej, która jest *zieloną* w Berlinie, przedstawiać jako *czerwoną* w Wiedniu.

Ojciec udawał, że nie słyszy, Fryderyk zaś kończył:

— Mojem zdaniem, chmury, gromadzące się, powinny zniknąć

Minęły dwa miesiące od owego przyjemnego wieczoru, gdy 12 go marca pod nieobecność Fryderyka wszedł do mnie ojciec, a w oczach jego błyszczała radość.

— Wiwat! — krzyknął — z dobrymi przychodzę wieściami!

— Z dobrem? to znaczy chyba, że chmury zupełnie się rozproszyły!...

— Co ty gadasz, kobieto! Przeciwnie, mam dobrą wiadomość: Wczoraj zwołano wielką radę wojenną i pokazało się, jakimi dysponujemy siłami zbrojnymi! Teraz może się Prusak arogancki w myśnię jamę schować wobec naszych 800,000! Przytem nasz Benedek wszystkich strategów niemieckich zje w kaszy, gdy nareszcie został wodzem naczelnym z władzą nieograniczoną. No! teraz powiem ci z całym zaufaniem, dziecko moje, Szląsk możemy w każdej chwili odzyskać.

Serce moje zadrżało trwogą i rzekłam:

— I ty sobie tego życzysz, ojczel! Prusy cofną się, one takie małe, nie podniosą głosu na nasze *prestige*.

— Ho, ho, to aroganci, dla których nic nie znaczy równowaga europejska...

— Równowaga europejska powinna oznaczać pokój—wtrąciłam—pocóż wysławiać ją jako kłamstwo i fałsz? Jeżeli chodzi o równowagę, to chodzi także o pokój, a czyż tego pokoju zaznają ludy, gdy znów wyszukujecie jakieś kwestye sporne. Gdy jedna i druga strona zaciska pięści i pokazuje sobie zęby, to wtedy nie może być mowy o szczęściu ludów.

W ten sposób mówiłam coraz goręcej, z coraz wzrastającym przekonaniem i nie pozwoliłam ojcu przyjść do słowa, aż wreszcie, ku wielkiemu zdziwieniu ojca, wybuchnęłam płaczem serdecznym.

* * *

Nastąpiły teraz czasy strasznego oczekiwania, nadziei i obaw. Dziś mówiono, że pokój jest zapewniony, jutro, że wojna wisi w powietrzu. Z doświadczenia już wiedziałam, że następstwem wszelkich takich rozważań bywa wojna i że z małego, nieznacznego jajka wykluwa się zwykle wielkie nie-szczęście.

W dniu 24-ym marca Prusy rozesłały okólnik do mocarstw, w którym skarżą się na zbrojenie się austriackie, przeczytawszy zaś o tym okólniku, zapytywałam się siebie, dlaczego Austria zbroi się tak gwałtownie, jeżeli ustawicznie zapewnia, że nie dąży do wojny? Odpowiadano mi na starą maksymą rzymską, głoszącą: „*Si vis pacem — para bellum.*“

W dniu 31-ym marca odpowiedziało na ten okólnik ministerium austriackie, że wszelkie pogłoski o zbrojeniu się z gruntu są fałszywe i że Austrii nawet w myśli nie powstało zaczepiać Prus. Natomiast Austria żąda, ażeby Prusy się nie zbroiły.

Rząd pruski znów odpowiedział, że on bynajmniej nie myśli zaczepiać Austrii, wobec zarządzeń

jednak austriackich musi być na wszystko przygotowany.

W dniu 7-ym kwietnia jeszcze raz Austria zaprzeczyła urzędowo, jakoby się zbroida, na co znów Prusy odparły, że na granicy stoją całe korpusy wojska. Wtedy gabinet wiedeński zadeklarował w dniu 23-im kwietnia, że cofnie wojska, jeżeli Prusy uczynią tak samo.

Odetchnęłam głęboko, zdawało mi się, że wszystkie chmury odrazu się rozpięchły i zapisałam ten wypadek na kartkach mojego czerwonego kajetu.

Jakież wielkie było moje złudzenie!... Tyle zawsze jest powodów do zaczepki, ot! chociażby nawet tylko owa „równowaga europejska!“ Zaczęto więc znów mówić o tem, że Austria tak energicznie wystąpiła w obronie Augustenburga, iż Prusy są tem dotknięte, a ze wszystkich pism rozlegał się jeden okrzyk: „Wojna w powietrzu.“

Człowiekiem najwięcej znienawidzonym w Europie stał się ten, który parł do tej wojny bratobójczej, a nazwisko jego brzmiało — Bismark.

W dniu 7-ym maja wykonano na tego męża stanu zamach morderczy, a ja znów zadawałam sobie pytanie, czy gdyby Blind był sprzątnął ze świata Bismarka, burza grożąca byłaby zażegnana?

Ciotka męża mojego, Kornelia, która dość często pisywała do nas, donosiła nam z dumą, że Prusy liczą milion wyborowych żołnierzy, że jednak opinia publiczna zżyma się na Bismarka, iż on prowadzi na rzeź brata przeciw bratu. Pisała także, iż królowa Augusta, przeniknąwszy zamiary Bismarka, rzuciła się do nóg mężowi swojemu, królowi Wilhelmowi, ażeby zaniechał morderczej walki bratobójczej, a ja uklęknęłam przed nią i błagała na kolanach:

— O pani dostojna, spraw, niech pokój zakwitnie na ziemi i niech ludzie, od których to zawisło, wydadzą jeden wielki okrzyk: „Precz z orężem!“

Gdyby nasza, ta młoda, ta piękną cesarzowa

uczyniła była to samo, co królowa Augusta, gdyby spłotła swoje ręce i tak samo gorąco błagała — może nie doszłoby do wojny... Za wiele jednak było doradców, pochlebców, za wielu krzykaczy, za wielu ambitnych, którym nawet tron oprzeć się nie może.

* * *

Dnia 1-go czerwca oświadczyły Prusy na sejmie związkowym, że gotowe są rozbroić się natychmiast, jeżeli Austria i Saksonia dadzą przykład, na co bez ogródki oświadczone w Wiedniu, że Prusy w związku z Włochami oddawna uplanowały zaczepienie Austrii, skutkiem czego ta ostatnia postanowiła rzucić się w ramiona związku niemieckiego i wezwać go o rozstrzygnięcie w sprawie księstw nadelbiańskich. Równocześnie postanowił gabinet wiedeński zwołać stany holztyńskie, ażeby one wypowiedziały życzenia swoje. Prusy założyły protest, uważając tego rodzaju oświadczenie za sprzeciwiające się traktatowi gasteinskiemu, na mocy którego Prusy mają równe prawo z Austrią zająć Holzstyn.

Równocześnie z tym protestem wkroczyły pułki pomorskie do Holzstynu, Gablenz zaś cofnął się, nie wydobywszy wcale pałasza z pochwy, ale zaprotestował ze swej strony przeciwko wtargnięciu.

Już przedtem oświadczył Bismark w komunikacie rozesłanym mocarstwom, co następuje:

„W Wiedniu nie napotkaliśmy na życzliwość, przeciwnie, uszu króla pruskiego doszły ze źródła autentycznego opinie, jakie wyrazili politycy austriaccy i doradcy cesarza (babskie plotki!), opinie zaś te dowodzą, że ministrowie wiedeńscy za wszelką cenę starają się wywołać wojnę (jakież to straszne oskarżenie dla ministrów naszych, że oni życzą sobie mord!). Po części liczą oni na pomyślny wynik na polu walki, po części zaś tą drogą pragną odwrócić oczy poddanych od palących kwestyj wewnętrznych, pragną także kontrybucją pruską wyrównać nadwę-

rażone finanse swoje (to się nazywa „rozum stanu!“).

9-go czerwca oświadczyły Prusy w sejmie związkowym, że sejm nie jest wcale prawomocny decydować w sprawie szlezwicko-holsztyńskiej.

Odtąd prasa wszelkich odcieni nabrała zabarwienia wojowniczego i, jak nakazuje obowiązek patriotyczny, wróżyła pewne zwycięstwo; we wstępnych artykułach malowano już wkroczenie Benedeka na czele armii do Berlina i mówiono, że gdy tam wejdą Kroaci, z pruskiej stolicy nie zostanie nawet kamień na kamieniu. Nie można było dalej posunąć pogardy dla nieprzyjaciela, gazety wiedeńskie mianowały wojska pruskie „czeladnikami krawieckimi“, a generał adjutant hr. Grünne wyraził się głośno, że „tych Prusaków zarzucimy ścierkami mokremi.“

11-ty czerwca. Austria zażądała, ażeby związek wystąpił przeciwko samowoli Prusaków w Holsztynie i ażeby uruchomił całą armię związkową.

14-ty czerwca. Przyjęto wniosek austriacki dziewięciu głosami przeciwko sześciu.

Ach te trzy głosy! Ile jęków, ile łez spowodowały te trzy głosy!

Stało się; ambasadorowie otrzymali z powrotem swoje listy uwierzytelniające, 16-go związek wezwał Austrię i Bawaryę o przyjsie w pomoc zaczepionym przez Prusy Hanowerczykom i Bawarczykom, 18 go wyszedł w Berlinie manifest do narodu, wślad za którym poszedł taki sam manifest cesarza Franciszka-Józefa: „Do mojego narodu“ i proklamacya Benedeka do armii; 22-go książę pruski, Fryderyk-Karol, wydał rozkaz do wojska i... wojna się zaczęła...

Księga czwarta.

ROK 1866.

I oto zjawilo się znów w całej grozie swojej to największe z nieszczęść, i oto ludność powitała straszliwy wypadek zwykłą w takich razach radością. Pułki wymaszerowały w pełnym rynsztunku (jakże też one powrócą?), towarzyszyły im okrzyki uliczników, błogosławieństwa starców i łzy pozostałych.

Fryderyka na krótki czas przed wybuchem wojny odkomenderowano do Czech. Pojechał on tam z ufnością, że ten nieszczęsny, a w naszym pojęciu tak mało znaczący spór o księstwka, będzie polubownie ulagodzony. Pojechał do Czech bezemnie i tym sposobem oszczędził sobie rozdzierającego serce pożegnania. Od dni czternastu byłam samą, gdy ojciec z tryumfem w oczach przyniósł mi wiadomość, że wojna się zaczyna; w ostatnich chwilach byłam jak ów zbrodniarz w swej celi więziennej, czekający na przeczytanie wyroku śmierci. Schyliłam przeto głowę i nie odpowiedziałam nic, kiedy jednak ojciec zaczął mnie pocieszać w swój sposób i kiedy w różnych kolorach malował korzyści wojny, ręce złożyłam błagalnie i rzekłam:

— Ojciec mój, o jedną proszę cię łaskę: zostaw mnie samą!

Nie płakałam, uderzenie w skroń zbyt było silne, wzdychając tylko ciężko, siedziałam zdrętwiała cała, patrzyłam bezmyślnie przed siebie, potem podeszłam do biurka mojego i zapisałam w czerwonym kajecie:

„Dziś odczytano mi wyrok śmierci... Sto tysięcy ludzi poszło na śmierć nieuchronną; czy Fryderyk będzie pomiędzy nimi? Gdyby umarł, poszłabym za nim do grobu, bo czyż lepszą jestem od tych stu tysięcy? Chciałabym dziś już leżeć w trumnie...”

Tego samego dnia jeszcze otrzymałam od Fryderyka kilka wierszy, skreślonych pospiesznie:

„Żono moja!

Bądź mężną, bardzo mężną! byliśmy bardzo szczęśliwi, a tego szczęścia, które minęło, nikt już nam wydrzeć nie zdoła, nawet gdyby zapadł dekret, że skończyło się. Dziś wyruszamy na wroga, może wśród tych wrogich zastępów zobaczę kilku przyjaciół i towarzyszków broni z pod Dyplów albo Alsen, może celować będę zmuszony do mojego kuzynka, Gotfryda... Pułk nasz idzie wprost do Liebenau, jako awangarda hr. Clam-Gallasa. Odtąd niema już czasu na długie pisanie, nie oczekuj więc listów, co najwyżej bowiem, jeżeli sposobność się nadarzy, dam znak o sobie, że żyję. Przedtem chciałbym wynaleźć taki wyraz, któryby zdolny był określić całą miłość, jaką przepełnione jest serce moje dla ciebie, i znajduję tylko jedno: „Marto!” ty już wiesz, co ten okrzyk oznacza.”

* * *

Konrad Althaus musiał także wyruszyć w pole, a chociaż pełen był zapału i animuszu wojennego, chociaż wzbudził w sobie nienawiść do Prusaków, to jednak pożegnanie było mu ciężkie.

— O Lili, Lili — mówił z boleścią, żegnając się z narzeczoną — dlaczego tak długo się wahałaś? teraz kto wie, czy powrócę!

Biedna siostra moja uczuła skrucę, uczuła miłość gorącą do tego tak długo we wzgardzie będącego kuzynka, kiedy też odjechał, padła w ramiona moje i mówiła, szlochając:

— Ach! dlaczegoż dawniej nie zgodziłam się na ten związek! Byłabym dziś jego żoną...

— Wtedy rozłączenie byłoby jeszcze boleśniesz, moja droga Lili.

Ona zaprzeczyła głową, a ja zrozumiałam, co się dzieje w jej duszy. Trzymać puhar przy ustach i nie móc się napić, to podwójna męczarnia.

Ojciec, siostry i ciotka Marya przesiedlili się teraz do Grumitz i ja dałam się do tego nakłonić. Własne moje ognisko domowe zdawało mi się wymarłem od czasu, gdy w niem zabrakło Fryderyka. Czasami dla osłodzenia tej żałoby czarnej zjawiał się przeblask jaśniejszy i w uszach dzwoniło mi wtedy: „Przecież on żyje jeszcze i może powrócić...” Częściej jednak opanowywały mnie wizye straszliwe, że on wie się w boleściach okropnych, że dogorywa gdzieś w rowie, że tratuja go kopyta końskie, wozy ładowne rozgniatają kołami swemi jego rany, że mrówki i komary piją krew, albo, że ludzie, uprzętając pobojowisko, mają go za umarłego i za życia grzebią we wspólnym grobie... tu przychodzi on nagle do siebie i...

Krzyknęłam przeraźliwie, niezdolna dokończyć tego obrazu.

— Co ci się znów stało, Marto? — zrzędził ojciec — dziecko, ty jeszcze zwaryujesz, gdy ciągle pracować będziesz wyobrażnia! To grzech, nieprzyzwoitość i głupota! Takie wypadki mogą się zdarzyć (co najwyżej jeden na tysiąc) u zwykłych szeregowców, ale pułkownika, jakim jest mąż twój, nikt na polu nie zostawi bez opieki. Nie trzeba myśleć o takich rzeczach.

— Zawsze mówicie mi jedno i to samo — odparłam — nie wolno myśleć! Bardzo to wygodna za-

sada, gdy się nie chce widzieć nędzy ludzkiej; na takiej zasadzie możnaby oprzeć każdy wybryk barbarzyństwa.

Doktora Bressera nie było tym razem z nami, zaciągnął się on bowiem dobrowolnie do korpusu sanitarnego i razem z wojskiem poszedł na teatr wojny. W umyśle moim rodziła się myśl, czy i ja nie powinienam stawieć się tam jako dozorczyńni chorych? O, gdybym była wiedziała, że się znajdę w bliskości Fryderyka, nie wahałabym się ani chwili, ale czynić to dla innych, na to zbrakło mi siły i odwagi. Patrząc na konających, słyszeć ich rżenie, chcieć stu wzywającym pomocy dopomódz i nie módz tego zrobić i zamiast wzmocnić widoki zobaczenia się z ukochanym, przeciwnie zmniejszyć je jeszcze, boć dozorczyńnie często bardzo są wystawione na niebezpieczeństwa, nie, na to nie umiałam się zdobyć. Zresztą ojciec objaśnił mnie, że nie dopuszczonoby mnie nawet do szpitali polowych, gdzie co najwyżej czynne być mogą tylko siostry miłosierdzia.

— Skubcie lepiej szarpie — rzekł — posyłajcie środki opatrunkowe, resztę pozostawcie innym.

A kiedy widział nas przy tej pracy, mówił uradowany:

— Dzielnie się spisujecie, moje dziewczęta, widzę, że jesteście pilne, a nie uwierzycie, jak wielkie znaczenie dla rany ma taka mała paczka szarpi. Ja sam, kiedy otrzymałem ranę pod Palestro i t. d.

My z Lili wzdychałyśmy, Rózię zaś bawiła czynność skubania szarpi.

Dlaczego Austria nie utworzyła jeszcze wtedy instytucji Czerwonego Krzyża, dlaczego nie oddziaływała na nią pełna rozdzierających serce szczegółów odezwa Dunanta z Genewy? Inne państwa czyniły już starania, ale u nas zawyrokowano, że: „wprawdzie idea sama jest bardzo piękna, ale niewykonalna, gdyby zaś była wykonalna, to jeszcze pod pewnemi względami niedogodna. W wojnie względy

taktyki nie mogą ustąpić uczuciom miłosierdzia, któżby bowiem zaręczył, że owi nibyto dobrodziejcy, nie są szpiegami. Wojna kosztuje dużo i nie można powiększać jeszcze wydatków na nową instytucję.“

O ty mądrości, płynąca od stołu dyplomatów! Jakież to zimne, bezduszne słowa, jakie uczone wywody, jaka głęboka znajomość rzeczy i jaka przytem bezdennie głupia...

* * *

Pierwsze zetknięcia się wojsk naszych z nieprzyjacielem nastąpiło 25 czerwca pod Liebenau; wiadomość o tem przyniósł ojciec z miną tryumfującą:

— Wspaniały początek! — mówił. — Damy się we znaki przewrotnym Prusakom, zobaczycie! Zwyczajtwo nasze pod Custozzą należy do najwspanialszych w historii świata. Zawsze utrzymywałem, że odzyskamy Lombardję!... Według mnie, wojna już rozstrzygnięta; kiedyśmy się załatwili z Włochami, którzy mają regularne i wyćwiczone wojsko, to już łatwiej nam pójdzie z „krawczykami“ Landwera! ależ tylko pruska zarozumiałość mogła nazwać wojskiem tę zbieraninę cywilistów! Ludzie, oderwani od kantorków, warsztatów, nieprzywykli do ćwiczeń wojennych, nie mogą dotrzymać pola zahartowanemu żołnierzowi. Ba, to jeszcze nie wszystko, lepsze mam dla was wiadomości: korespondent *Gazety Wiedenskiej* donosi, że na Śląsku pruskim wybuchnęła zaraza na bydło i przybiera groźne rozmiary!

— I to nazywasz, ojczu, dobrymi wiadomościami? — zapytałam zdumiona.

Ojciec nie dosłyszał i w dalszym ciągu opowiadał:

— W pułkach pruskich nad Nissą panuje febra, ludzie padają jak muchy. Masz dzienniki, Marto, w nich więcej jeszcze znajdziesz dobrych wiadomości.

Istotnie, wszystkie gazety były pełne *dobrych* wieści, a że ojciec radził mi je zachować, więc wy-

dobynam je z ukrycia. Tak powinno się zawsze czynić, ażeby dopiero po faktach dokonanych mózgi ocenić wszelkie chępliwe prorocstwa dziennikarskie.

Naczelnym wódz Benedek rozesał biuletyn o zwycięstwie armii południowej, który to biuletyn miał pouczyć armię północną; z Werony nadszedł telegram następujący:

„Armii północnej i jej wodzowi, dawniejszemu naszemu ukochanemu komendantowi, przesyła życzenia armia południowa, przekonana, że i my wkrótce cieszyć się będziemy ze zwycięstw waszych.“

— „Przekonani, przekonani...“ czyż wam serce nie skacze, gdy czytacie coś podobnego! — wykrzyknął mój ojciec — czy nie umiecie wzbudzić w sobie na tyle uczucia patryotycznego, ażeby drobne sprawy osobiste rzucić w kącie wobec takich poważnych tryumfów? Co znaczy, że twój Fryderyk, Marto, albo twój Konrad, Lili, narażeni są na niebezpieczeństwa? Najprawdopodobniej z niebezpieczeństw tych wyjdą cało, teraz zaś dzielą los wszystkich najlepszych synów ojczyzny i zdobywają sobie nieśmiertelną sławę, niema bowiem żołnierza, któryby nie umierał chętnie z zamierającym na ustach okrzykiem: „Przy pomocy Boga za ojczyznę i za cesarza!“

— Wątpię, ażeby taki okrzyk wydawał ten — przerwałam — kto po bitwie przegranej z roztrzaskanymi członkami leży czasami cztery albo pięć dni i nocy, pragnąc i łaknąc wśród bóli niewypowiedzianych, kto gnije za życia i wie, że śmiercią swoją nie przyczynił się wcale do sławy ojczyzny, ale za to o rozpacz przyprowadził najbliższych sercu swojemu!

— Nie bluźnij!... mówisz w sposób, który w ustach kobiety jest nieprzyzwoity.

— Wiem, że odkrycie prawdy jest zawsze blu-

żnierzstwem i nieprzyzwoitością, frazes, ustawicznie powtarzany, powinien nam wystarczyć.

* * *

Konrad bił się na południu, Fryderyk na północy. Pierwszy z wielką radością donosił o zwycięstwie odniesionem pod Custozzą, drugiego listy nie brzmiały tak radośnie, pisał np.:

„Rzecz niesłychana!... Klęska po klęsce! Naprzód wzięto nam wieś Podol, obarykadowaną doskonale przez Clam-Gallasa, i to zdobyto ją bagnetami wśród nocy, przy blasku księżyca i pochodni; potem straciłmy Giczyn... Iglicówkę, to przeklęta broń, sieje śmierć, sprzątając całe szeregi naszych. Teraz połączyły się oba korpusy nieprzyjacielskie, jeden prowadzony przez następcę tronu pruskiego, drugi przez księcia Fryderyka Karola i dążą razem pod Münchengrätz...“

— Niechaj przyjdą — mówił mój ojciec — a w Czechach naszych znajdą śmierć aż do ostatniego; wybrnąć nie będą mogli z matni, obsadzimy ich, opaszemy, z resztą zaś poradzi sobie sama ludność miejscowa. Niechaj oni nie myślą, że operacje wojenne w kraju nieprzyjacielskim są łatwe! Wtedy ma się przeciwko sobie nie tylko wojsko, ale i ludność całą. Pokazało się to już w Trautenu, gdzie mieszkańcy z okien swoich leli ukrop wody i oleju ¹⁾.

Wstrętem przejęły mnie te wyrazy, ale ojciec oburzył się:

— Czegoż ty chcesz, kobieto? Prawda, że to okropne; ale wojna to nie przelewki.

— Nie mówcież przynajmniej, że wojna człowieka uszlachetnia. Woda wrząca i olej, wylewane na człowieka, ależ to ohyda!...

— A te iglicówki! czy ty myślisz, że one przyjemnie oddziałują na żołnierzy naszych?

¹⁾ Historycy wojny wykazali, że pogłoska ta nie miała najmniejszej podstawy. (Przyp. tłómacza).

I ojciec tiomaczyć nam począł wypadki wojenne.
 — Niewątpliwie, że w samych początkach popelniono kilka grubych błędów, przedewszystkiem trzeba było, ażeby Benedek natychmiast przeszedł granicę pruską. Zaczynam teraz powątpiewać, czy nie lepiejby było, ażeby Benedek objął komendę armii południowej, arcyksiążę zaś Albrecht armii północnej, chociaż dziś trudno jeszcze o tem sądzić, dotąd bowiem były to tylko potyczki przedwstępne, które Prusacy chcą rozdmuchać i głoszą, jakoby odnieśli ogromne zwycięstwa, bitwy jednak stanowcze nastąpią teraz dopiero. Obecnie koncentrujemy całe nasze siły pod Königgrätz, gdzie w sto tysięcy chłopów oczekiwać będziemy na nieprzyjaciela i gdzie sprawimy im łaźnię podobną do tej, jaką otrzymały Włochy pod Custozzą.

Tam będzie się także bił Fryderyk, ostatnia bowiem kartka, którą od niego w tym samym dniu jeszcze otrzymałam, brzmiała: „Maszerujemy na Königgrätz.“

Dotąd mniej więcej regularnie otrzymywałam wieści od niego, pomimo, że w pierwszym zaraz liście ostrzegał mnie, iżbym zbyt wiele na to nie liczyła; korzystał on z każdej sposobności i pisał piórem, ołówkiem, na koniu, w namiocie, kartki wyrwane z notesika, często tak nieczytelnym pismem, iż tylko ja mogłam je odcyfrować. Nie zawsze miał sposobność wysłać je natychmiast, więc też niektóre doszły dopiero po ukończeniu wojny, całość jednak utworzyła obraz zupełny, który tu czytelnikom moim przedstawię. Nie wszystko pochodzi od Fryderyka, ułożyłam jednak wiązanek, a czem ona jest, nie umiałabym nawet powiedzieć. Oto niektóre urywki:

Na biwaku.

Nie mamy namiotów... noc letnia, przepiękna; niebo, to wielkie niebo, jak zawsze obojętne, lśni mi-

ryadami gwiazd... ludzie nasi pokładli się na ziemi, wyczerpani długimi, męczącymi marszami; jedynie dla nas oficerów sztabowych rozbito kilka namiotów. Współtowarzysze moi śpią i tylko ja usiadłem przy stole, z którego nie sprzątnięto jeszcze wypróżnionych szklanic od ponczu i na którym, parszkając, pali się świeca. Przy słabym jej blasku piszę do ciebie, kochana żono moja. Żałuję, że zabrałem z sobą psa, poczciwego Puksla, nieprzyzwyczajony on bowiem do trudów wojennych i teraz zmęczony biedak chrapie sobie słodko. Przypuszczam, że on śni w tej chwili o swoim dawniejszym panu, o małym hrabi Rudolffie Doczkym, ja tymczasem śnię na jawie, ale tylko o tobie.

Wyszedłem na chwilę z namiotu i wydało mi się, że gwiazdy obojętniej niż zawsze spoglądają na ziemię, na której snują się cienie różne ściągających do obozu maruderów. Wielu ubyło nam w drodze, ale teraz, zobaczywszy zdaleka ogniska, przyciągnęli do obozu, zdobywając się na resztkę sił. Nie wszyscy jednak powrócili, wielu, bardzo wielu z nich leży gdzieś w rowie oddalonym, albo wśród kłosów żyta, czy pszenicy. Padali jak muchy w tym marszu forsownym, ale bo też słońce słało na ziemię żary prawdziwie piekielne. Paliło ono, jak gdyby chciało przepalić mózg, przytem uwierał poranione ramiona tornister ciężki i cięższy jeszcze karabin... a jednak nie sarkał nikt, chociaż upadali i nie mogli iść dalej. Dwóch, czy trzech doznało porażenia słonecznego, trupy ich położyliśmy na wóz ambulansowy.

Noc czerwcową, tak zawsze piękną, niema takiego jak zwykle uroku, nie wita cię piosnką wesołą skowronek, nawet świerszcza nie posłyszysz w polu; nie rozlewa się woń róż, ani jaśminu, w miejsce słodkich tonów ptasząt, słyszysz tylko rzenie koni, ale i te głosy nikną, przytłumione krokami patrolujących żołnierzy; słodkie wonie kwiatów wypiera za-

duch siodeł i butów juchtowych. Nie na tem kończy się jednak! zdaleka slychać krakanie kruków i unosi się zapach prochu i krwi ciekącej, a to wszystko *ad majorem patriae gloriam*. Rzecz dziwna, jak ludzie są zaślepieni! Tortury średniowieczne wzbudzają w nich wstręt, ale z morderczej broni swej są dumni... świeca gaśnie, cienie w rogu namiotu znikają — położę się spać obok naszego wiernego Puksla.

Panowie malarze obrazów z placu boju wiedzą najlepiej, z kąd najpiękniejsze przedstawiają się widoki, któreby mogły estetycznością swoją zachwycić tłumy. A więc na pagórku, w otoczeniu generałów, z lunetą w rękę stoją zwykle oficerowie. Istotnie z pagórka patrzając, możnaby wnioskować, że wojna—to najszczytniejsza poezja czynu, wspaniały bowiem odsłania się widok! Malarz znajduje się w dostatecznem oddaleniu, gdzie go nie dosięgną kule, ani gdzie nie dojrzy całej grozy mordy; nie usłyszy on rżenia umierających, nie ujrzy krwi płynącej obficie z ran i tylko dostrzeże linie poetyczne i grę kolorów. Długim sznurem ciągnące się kolumny wojsk, nieprzejrzany pochód pułków pieszych, baterie artylerii i snujące się oddziały kawalerii, tabory z amunicją, wozy chłopskie, konie objuczone—wszystko to patrzącemu zdaleka wydaje się wspaniałem. Cóż dopiero, gdy naprzeciw siebie, rozciągnięte w długim froncie, staną dwie wrogie sobie armie, gdy błyszczą wyciągnięte szable, gdy chorągwie powiewają, gdy konie stają dęba, a w słońcu błyszczą mundurzy wszelakiej barwy! Nad tem wszystkim unosi się tuman kurzu, tworząc rodzaj welonu, co jeszcze więcej zdobi obraz piękny. Nie czujesz wtedy, że za chwilę wszystko zmiesza się w jednym, strasznym okrzyku: śmierć—śmierć—śmierć!... „No! cóż—rzekł do mnie jeden z generałów, stojących obok mnie na pagórku—czy to nie widok imponujący? Nasze wojsko przedstawia

się wspaniale, prawda? No! o czem że ty myślisz?“ O czem ja myślałem wtedy?... Tego nie mógłbym powi dzieć zwierzchnikowi mojemu, więc też z całą uniżonością, przepisana subordynacją, bąknąłem coś niewyraźnie. Subordynacja i prawdomówność to takie dwie rzeczy różne, że się chyba nigdy nie zgodzą z sobą...

„Wzięliśmy wieś“ — „nie! nieprzyjacieli ją wziął“ — „ależ nie! znów nasza“ — „eh! znów nieprzyjaciela“ — Takie wykrzykniki krzyżowały się wzajemnie, chociaż wieś nie była już naprawdę wsią, ale tylko stertą dygniących się zgłiszczy. Mieszkańcy, jedynie prawi właściciele wioski, opuścili ją już przedtem i rozpierchli się po świecie; jedna tylko rodzina pozostała, złożona z dwojga rodziców staruszków i córki w pòłogu. Mąż tej kobiety służył w naszym pułku; człowiek ten miał widocznie zaufanie do mnie, bo kiedyśmy się tu zbliżali, przyszedł do mnie i rzekł: „Tam, proszę łaski pana pułkownika, w tym domu, krytym czerwoną dachówką, znajduje się żona moja z rodzicami.“ — „Dlaczegoż nie uciekli?“ — zapytałem, na co on odrzekł mi z westchnieniem: — „Nie mogli uciekać biedacy, żona moja spodziewała się każdej chwili pòłogu, a starzy są na pół sparaliżowani...“ „Cóż ja ci poradzę, mój biedny człowieku?“ — „Na miłość Boską! niech mnie pan pułkownik odkomenderuje w ich stronę...“ Biedny chłopiec! pozwoliłem mu pójść do żony pòłożnicy, ale kiedy doszedł do mieszkania, wpadła bomba i pękła tuż koło łóżka, a on patrzył jeszcze, jak umierała żona i nowonarodzone dziecko... Co się stało z rodzicami, nie wiem, prawdopodobnie przywały ich gruzy, dom to był jeden z pierwszych, które stanęły w ogniu.

Walka w otwartem polu jest już wstrząsającą grozą swoją, ale wewnątrz budynku się znajdować wtedy, kiedy fruwają bomby, czekać na śmierć pod

gruzami, to okropne... W innym domu mieszkańcy zabarykowali się w ten sposób, że z trupów poległych utworzyli wał, osłaniający ich siedzibę; tego muru z trupów nie zapomnę do końca życia... Widziałem wyraźnie, że jedno z ciał ludzkich poruszało się jeszcze, drgało, a jednak musiało służyć za cel pociskom.

.

Dziś mieliśmy małą potyczkę kawaleryjską w otwartym polu. Ujrzyliśmy pułk dragonów pruskich, rozwijający się w linię bojową ostrym klusem. Z pałaszami wzniesionymi nad głową, zbliżali się ku nam. Nie czekaliśmy, aż się zupełnie przybliżą, ale daliśmy koniom ostrogi i poszli naprzód; nie zamieniliśmy ani jednego strzału i dopiero na kilka kroków jedna i druga strona krzyknęła grzmiąco „hura“ i—uderzyły na siebie. Koń wpadł na konia, kolano dotykało kolana, szable świstały w powietrzu, spadając na czaszki. Niedługo to jednak trwało, szeregi bowiem tak się zmieszały z sobą, że nie mogło być mowy o swobodnym władaniu orężem i ludzie bić się zaczęli na pięście, szamotać się, ściągać z siodła, podczas gdy konie wystraszone trątały kopytami. I ja znalazłem się na ziemi i blisko byłem kopyta końskiego.

.

Znów dzień marszu, połączony z dwiema, czy trzema potyczkami. Doświadczyłem dzisiaj wielkiej troski; smutny obraz dąży ustawicznie w ślad za mną. Zdawałoby się, że wobec tylu smutnych obrazów, które mnie otaczają wokół, tak właśnie drobny epizod nie powinien być rozbudzić wielkiego wrażenia i nie powinien boleć mnie tak bardzo! Cóż jednak pocznę, gdy on ciągle mnie prześladuje i ja pozbyć się go nie mogę... Puksl, ten nasz pocziwy, dobry, zadowolony z życia pinczer... Ah czemuż ja go nie zostawiłem w domu! byliby się w domu bawili z Ru-

dolfkiem... Jak zwykle, biegł za nami, gdy nagle zaskowyczał boleśnie, a ja ujrzałem, że odłam granatu oderwał mu nóżkę przednią. Gdy go zostawię, żyć będzie jeszcze, minie może doba, dwie doby i on żyć będzie... Zdawało mi się, że w oczach jego czytam skargę i prośbę: „O dobry panie, zabierz Puksla biednego z sobą...“ Co najwięcej mnie boli, to ta okoliczność, że biedne zwierzę w chwili konania musiało zapoznawać dobre moje chęci, chociaż bowiem odwróciłem się, słysząc jego skomlenie żalosne, to jednak nie mogłem zatrzymać się i musiałem zostawić go na drodze. Biedny pies myślał zapewne, że zimny jestem i bezlitośny. Nie rozumiało biedactwo, że pułkowi maszerującemu do ataku, przy którym zginie tylu ludzi, nie mogę zacomenderować „stój!“ dlatego tylko, ażeby zabrać psinę zranioną. Ludzie wzruszyliby ramionami, ale ty tego nie zrobisz, Marto, ja czuję, że i tobie łąza się kręci w oku na wspomnienie biednego, dogorywającego Puksla...

.

Co to jest, co się stało, na polu robi się ruch jakiś, stawiają rusztowania? czyżby schwytano szpiega? Tak jest i to—nie jednego, było ich siedemnastu; ustawiono ich w cztery rzędy, otoczono plutonem wojska i oni idą ze spuszczonej na dół głowami. Za nimi postępuje wóz, na którym spoczywają zwłoki umarłego. Do zwłok tych przywiązano sznurami chłopca dwunastoletniego, syna tego trupa—i on bowiem jest skazany.

Nie chcę patrzeć na egzekucję, oddalam się, ale słyszę strzały i zatykam uszy napróżno. Ponad mury domów wzniosł się dym prochu... już po nich... i... po dwunastoletnim chłopcu także...

.

Nareszcie zdobyliśmy nocleg wygodny! Biedna ta miejscina!... Zapasy żywności, które wystarczyłyby mieszkańcom na miesiąc kilka, zabraliśmy im

drogą rekwizycyi. Jak to dobrze, że stworzono taką piękną nazwę: „rekwizycya!“ inaczej jakże nazwalibyśmy bezprawie...

Zadowolony jednakże się czułem, że znaleźliśmy wygodną kwaterę i dobrą kolację. Chciałem już pójść spać, gdy wszedł ordynans mój z oznajmieniem, że jakiś szeregowiec z pułku chce się koniecznie ze mną widzieć i że przynosi mi coś ważnego. „Niech wejdzie“ — odrzekłem, i człowiek ów zjawił się pokoju.

Kiedy odchodził, obdarowałem go sowicie, uściśnawszy go i przyrzekłem, że pamiętać będę o żonie jego i dziecku, gdyby mu się przytrafiło nieszczęście. Nie wyobrazisz sobie bowiem, co przyniósł mi ten człowiek zacy! Oto uwolnił mnie od troski wielkiej i sprawił radość ogromną, gdy wniósł do mojej kwatery biednego Puksla. Pies ranny był wprawdzie, z całym honorem lał krew swoją, ale żył i cieszył się, jak tylko cieszyć się umie pies wierny, że się znalazł znów u swojego pana. Dałem mu szklankę wody, opatrzyłem ranę, później wyprawilem mu wykwinną kolację mięsną i ułożyłem obok siebie na łóżku. Noc przespaliśmy wybornie, lecz gdy rano obudziliśmy się, on lizać począł rękę moją, wyprężył się, zaskomlał cicho a rzewnie i przestał oddychać. Biedny mój Pukslu! może lepiej dla ciebie, że się tak stało...

Czegóż ja dzisiaj nie widziałem?...“ Gdy oczy zamknę, przesuwają mi się sceny przerażające prawdą swoją — pełne bólów i grozy. Zastanawiam się też nad tem, dlaczego inni z wojny powracają pod wrażeniem wesołem i radosnem? Ha! ci inni zamykają serca swoje na ból i grozę, albo... albo milczą o tem. Gdy opowiadają straszne sceny zniszczenia, w tonie ich opowieści nie odbrzmiwa nuta szcze-

rości, bo oni powtarzają to, co gdzieś czytali, lub o czem tylko zasłyszeli.

Oto dwa obrazy, które wyryły mi się w pamięci:

Strome skaliste wzgórze — po nich, jak koty, wdrapują się spiesznie strzelcy; chodzi o zdobycie pagórka, z góry padają strzały nieprzyjacielskie, nagle, wyciągnawszy obie ręce, puszczają broń, głowę w tył przechylają, spadają i toczą się po ostrych załomach skały, druzgocząc o nie głowy.

A teraz widzę jeźdźca z boku po za sobą; granat pęka tuż przy nim. Koń rzuca się w bok i napiera na tył mego wierchowca — następnie przelatuje koło mnie. Jeździec został na siodle, ale odłam granatu rozdarł mu piersi i przewiercił w nich wielki krwawy otwór... Biedak przechyla się, lecz noga pozostaje w strzemieniu, a rozszalały koń wlece go po kamienistej drodze...

.....

Po rozmięklej stromej drodze pnie się w górę oddział artylerji. Koło armatnie grzęźnie w błocie, konie postępują z największym wysiłkiem, co chwila otrzymując nielitościwe smagania; jeden upada już ze znużenia, razy nie pomagają: chce ciągnąć, ale nie może, w żaden sposób nie może. Czyż nie widzi tego ów człowiek, smagający go po głowie. Gdyby ten człowiek, o dzikich na pozór instynktach, był woźnicą i wioził kamienie, dajmy na to do budowy domu, każdy członek towarzystwa opieki nad zwierzętami, każdy policyant, ja nawet kazałbym go zaareztować; — tymczasem ów kanonier spełnia tylko swój obowiązek. Kazano mu przeprowadzić wóz nadmierne obciążony, więc on słucha rozkazów, ale koń, to dobre, szlachetne zwierzę, wyężdżające wszystkie siły swoje, nie mógł wiedzieć, że taki rozkaz wydano jego panu. Co ono musiało sobie myśleć o takiej srogości i takiej głupocie? Myślało, jak wszelkie zwierzęta,

myśli swoich nie objawiało uczuciem, które tem jest dziwniejsze, im trudniej je wyrazić. Na określenie tego uczucia jest tylko wyraz jeden: jęk! Koń też jęknął padając ostatecznie, jęk ten zaś był przeciągły i tak żalorny, że dotąd dźwięczy mi w uszach i prześladował noc całą. Sny miałem okropne tej nocy. Zdawało mi się, że jestem koniem artyleryjskim, jednym ze stu tysięcy tych dobrych zwierząt... Ludzie wiedzą, albo przynajmniej wiedzieć powinni, dlaczego życie swoje wystawiają na niebezpieczeństwo. Oni mogą, gdy chcą, dać odpowiedź na pytanie: dlaczego? po co? My, biedne zwierzęta, nie wiemy nic, bo życie nasze jest jak noc ciemne. Ludzie z radością idą na nieprzyjaciela, a kiedy padną w boju, pozostawiają nas bezradnych. Pić nam się chce, pić i nikt nam wody nie poda...

W tem miejscu zbudziłem się i schwyciłem za karafkę z wodą, bo i mnie paliło pragnienie. Miałem gorączkę febryczną.

Znów bitwa, po ulicach miasteczka Saar. Z okrzykiem wojennym i hukiem armat miesza się trzask belek i łoskot walących się murów. Granat wpada do domu i pękając, wywołuje tak gwałtowne ciśnienie powietrza, że rozrzucone szczątki domu ranią kilku żołnierzy. Nad moją głową przelatuje okno z całą ramą. Spadają kominy; ornamenta i gipsowanie zamienia się w pył i zapelnia powietrze duszącym, gryzącym oczy tumanem kurzu. Walka przenosi się z jednej ulicy na drugą i dosięga rynku. Ah! jak te kopyta końskie uderzają o bruk uliczny! Pośrodku tego placu obsze-nego stoi posąg z kamienia, wyobrażający Matkę Najświętszą; Królowa Niebios trzyma Dziecię swoje na ramieniu, drugie zaś wyciągnęła, błogosławiąc. Około tego posągu największa wrzała walka, mąż przy mężu! Ktoś uderza na mnie, ja biję na prawo i lewo, a czy kogo trafiłem, czy za-

biłem—nie wiem, bo w takich razach opuszcza człowieka przytomność umysłu. Pomimo to jednak w duszy mej odfotografowały się dwa epizody, które chyba na zawsze pozostaną mi w pamięci:

Jakiś dragon pruski, wielki jak Goliat, a silny jak Samson, porwał z siodła jednego z oficerów naszych (ładny i zgrabny był to chłopiec — ileż dziewcząt marzyło niezawodnie o nim!) i roztrzaskał mu czaszkę o kamienie figury. Łagodna Matka Boga nieruchomo patrzyła na tę zbrodnię słodkimi oczyma swemi i... błogosławiła tłumy.

Inny dragon nieprzyjacielski schwycił tuż przy mnie stojącego żołnierza, przegiął go na siodle tak silnie, że wyraźnie słyszałem trzask łamanej kości pachcizowej.

Najświętsza Panna niemym ruchem podniesionej ręki... błogosławiła tłumy...

Patrzącym ze wzgórza oficerom sztabu inne przedstawiały się obrazy, pełne ruchu i urozmaïcenia. Widzieli oni np. załamanie się mostu w chwili, gdy przeprawiał się przezeń cały tabor wozów. Czy te wozy pełne były rannych? — Nie wiem, widziałem jednak jak wozy, konie, ludzie spadali do rzeki, w tem miejscu głębokiej, i znikali wśród nurtów bystrych. Dla nas wypadek ten był nadzwyczaj korzystny, tabor bowiem należał do „czarnych,” ja zaś w tej chwili wyobrażam sobie grę w szachy, gdzie „czarne” figury — to Prusacy, „białe” — to my. Most nie załamał się wcale wypadkiem, „białe” bowiem zrobili świetne pociągnięcie na szachownicy. — Oto wiedząc, że nieprzyjaciół będzie musiał tędy przeciągać, podpłiwali słupy...

Z tego samego wzgórza obserwować jednak można było ogromną pomyłkę „białych.” Pułk Khevenhüllera wpędzony został na trzęsawisko, dokąd

strzelano jak do kaczek i wystrzelano prawie wszystkich. Ranni padali w bagno i nawet krzyknąć nie mogli, w uszy, oczy, nos i usta tłoczył się muł. Omyłka jest rzeczą ludzką, a strata równa się zaledwie stracie pionka na szachownicy; jedno genialne pociągnięcie wieżą lub królową, a strata będzie powetowaną. Że tam muł i błoto udusiło setki rannych, to rzecz poboczna, gorzej, że popełniono naganny błąd strategiczny; taki błąd trzeba szybko wyrównać szczęśliwą kombinacją, bo inaczej dowódce ominą błyszczące orderzy i awanse. Najlepszemu graczowi mogą się zdarzyć błędne posunięcia przy grze w szachy, więc ktośby też brał za złe, że *nasz* 18-ty batalion strzelców ostrzeliwał przez kilka godzin w nocy *nasz* pułk imienia króla pruskiego i że dopiero skoro świt nastał, poznano omyłkę — albo że część pułku Gyulai'a wprowadzono do stawu...

Powziąłem dziś stanowczy zamiar, że po ukończeniu wojny opuszczę służbę wojskową. Pomijam już wszystko inne, ale byłoby to ohydne kłamanie samemu sobie, gdybym raz nauczwszy się ze wstrętem patrzeć na wojnę, miał służyć dalej. Już dawniej, jak ci wiadomo, że wstrętem w duszy i potępieniem na ustach szedłem na wojnę, dziś zaostrzyła się tylko moja odraza i niema powodów, któreby mnie mogły od tego kroku powstrzymać. Zapatrywania, jakie starano się wpoić we mnie przez wychowanie, zapatrywania na korzyść stanu wojskowego, starły się zupełnie na widok tych okropności, jakie się tu działy. Nie wiem, czy sprawiły to godziny spędzane wspólnie z tobą na czytaniu, dość, że poczułem, iż przekonanie moje dzieląją ze mną najwznioślejsze umysły tegoczesne. Rozmowy z tobą umocniły mnie na duchu i dopełniłbym krzywo-przysięstwo, gdybym dalej nie ludzkości chciał służyć, ale bożkowi Marsowi. Frazesy o męztwie nie zapa-

lają mnie już więcej, armaty nie dźwięczą w uszach moich jak organy w kościele, dym prochu nie wydaje mi się kadzidłem i nie mogę już z uszanowaniem patrzeć, gdy kultura zasadza się na mordowaniu drugich i słuchaniu jęków rozpacz. Ztąd pochodzi, że kartki te, zawierające wrażenie z wojny, w każdym wierszu wyrażają tylko ból głęboko odczuty.

* * *

Rozegrano bitwę pod Königgrätz... Nowa kłęska, tym razem, jak się zdaje, już decydująca...

Ojciec mój zakomunikował nam tę wiadomość takim tonem, jak gdyby tu chodziło o koniec świata.

Żadnego listu, żadnego telegramu od Fryderyka! Może ranny, może zabity? Konrad uwiadomił narzeczoną swoją, iż wyszedł nietknięty, lista poległych i rannych jeszcze do nas nie doszła, mówiono tylko, że straty nasze wynoszą czterdzieści tysięcy poległych i ranionych. Ostatnia wiadomość, jaką otrzymałam, brzmiała: „Maszerujemy na Königgrätz“...

Minęły trzy dni i jeszcze ciągle nie miałam znaku życia od niego! Płaczę i płaczę godzinami całemi i dobrze jeszcze, że mogę płakać, łudząc się resztkami nadziei. Gdybym wiedziała, że już po moim szczęściu, nie znalazłabym też dla ulżenia tak wielkiej bolesti.

Ojciec przygnębiony, brat mój Otto poprzysięga zemstę; chce on się zaciągnąć w szeregi ochotników, których pułk, jak mówią, tworzy się w Wiedniu. Mówią również, że Benedek złożony będzie z dowództwa, i że na jego miejsce przyjdzie zwycięzki arcyksiążę Albrecht, który z pewnością powstrzyma pochód na Wiedeń napełnionego pychą nieprzyjaciela. Obawa, wściekłość i rozpacz opanowały wszystkie umysły, a nazwa „Prusak“ synonimem jest wszystkiego, co godne nienawiści. Ja żyłam

tylko myślą o Fryderyku—a tu żadnej od niego, żadnej wiadomości. Po kilku dniach nadszedł list od doktora Bressera, który w pobliżu pola bitwy, pośpołu z doktorem Brauerem zajęci byli przy rannych.

Nędza, jak pisał, była tak bezgraniczna, jakiej najbujniejsza nawet imaginacja nie mogłaby sobie przedstawić. Doktor spodziewał się przybycia pani Simon, wielce miłosiernej damy z Saksonii, która to dama od chwili rozpoczęcia wojny czynną była w szpitalach drezdeńskich, teraz zaś oświadczyła gotowość przyjechania na pobojuwisko czeskie, ażeby nieść pomoc nieszczęśliwym w tamtejszych szpitalach polowych. Doktor Brauer razem z Bresserem mieli udać się w dniu oznaczonym do Königinhofu, ostatniej stacyi przed Königgratzem; prosili też nas oni, ażeby mogli, oprócz pani Simon zastać tam jeszcze paczkę szarpi i środków opatrunkowych.

Natychmiast po przeczytaniu tego listu postanowiłam sobie, że skrzynię z bandażami odwiezie sama. Może w którymś z tych szpitali leży Fryderyk?... Przyłączę się do pani Simon, a może odszukam tego najdroższego rannego i wtedy będę go pielęgnowała i uratuję napewno. Nie mówiąc nic rodzinie o zamiarach tych, pewna bowiem byłam, że natrafię na opozycję, w kilka godzin po otrzymaniu listu ruszyłam w drogę. Wyjazd mój usprawiedliwiłam chęcią przesłania z Wiednia rzeczy żądanych, mogłam więc bez żadnych trudności wyjechać z Grumitz. Z Wiednia zamierzałam napisać do ojca: „Odjeżdżam na plac boju.“ Powstawały wprawdzie w myśli i niejaki wątpliwości: moja nieudolność, niedoświadczenie, wstręt do ran, krwi, odpędziłam je wszakże. Błagalny i rozkazujący wzrok małżonka zwracał się ku mnie z łoża boleści, wyciągał do mnie ramiona, a ja wołałam ku niemu: „Idę już, idę, najdroższy...”

Wiedeń znalazłam w niewypowiedzianem wzburzeniu, ale i przygnębieniu zarazem, inaczej wygląda-

ły te twarze, aniżeli zwykle. Powóz mój mijał ustawicznie wozy napelnione rannymi, a ja wtedy wlepiałam oczy, czy nie ujrzę pomiędzy nimi Fryderyka... Ale nie! tęskne jego wołanie dochodziło mnie ze stron dalszych, z Czech; myślałam bowiem sobie, że gdyby go przywieziono do Wiednia, otrzymalibyśmy już o tem wiadomość.

Kazałam się zawieźć do hotelu, gdzie napisałam list do Grumitz; potem załatwiłam kilka drobnych sprawunków, przebrałam się w suknie najskromniejsze i pojechałam na dworzec północny. Chciałam wyruszyć najbliższym pociągiem, ażeby jak najprędzej stanąć na miejscu przeznaczenia.

Na dworcu panował ruch ożywiony; sień, sala, peron, pełne były rannych, z których niektórzy dogasali w oczach moich. Około nich grupowały się tłumy dozorców, żołnierzy oddziału sanitarnego, sióstr miłosierdzia, doktorów; wreszcie tłoczyli się mężczyźni, biegały kobiety wszelkich warstw towarzyskich, które stawily się na dworcu, ażeby zobaczyć, czy w transporcie nadeszłym niema drogich im osób; inne znów przyniosły rannym wino, cygara i t. p. Urzędnicy i służba niższa zadawali sobie trud powstrzymywania fal tłoczącej się publiczności, więc i mnie chciano się pozbyć:

— Czego pani tu chce?... nie zajmować napróżno miejsca, wręczanie podarków jest wzbronione, trzeba z tem się udać do komitetu.

— Nie przyszłam z podarkami — odrzekłam — ja muszę wyjechać; proszę mi powiedzieć, kiedy odchodzi najbliższy pociąg?

Długo nie mogłam otrzymać odpowiedzi w tym chaosie, w końcu zaś dowiedziałam się, że pociągów pasażerskich nie wyprawiano wcale w drogę, jeden miał tylko wyruszyć pociąg, przeznaczony dla wojsk rezerwowych, i drugi, przeznaczony wyłącznie dla komitetu pomocy, dla lekarzy, sióstr miłosierdzia, oraz

wiozący środki opatrunkowe, przeznaczone do Königgrätzu.

— Czy nie mogłabym zabrać się tym pociągim?

— W żaden sposób!

Coraz głośniejsze i głośniejsze, coraz bardziej błagające dźwięczała mi w uszach prośba Fryderyka o pomoc, skonać mogłabym była z rozpaczy, że jechać nie mogę.

Nagle przy wejściu do sali ujrzałam barona Suttnera, wiceprezesa komitetu, przeciskającego się przez tłum, i biegłam ku niemu.

— Na miłość Boską, dopomóż mi, baronie, wszak mnie pan poznajesz?

— Ależ naturalnie! Pani baronowa Tilling, córka generała hrabiego Althausa... Czemże mogę pani służyć?

— Wiem, że pan zajmujesz się wysyłaniem pociągów. Umierający mąż mój wzywa mnie do siebie... jeżeli, baronie, masz choćby odrobinę serca, to wysłuchasz prośby mojej.

Baron przytoczył kilka przeszkód, ale w końcu stało się zadość życzeniu memu, przywołał do siebie jednego z lekarzy i polecił mnie jego opiece.

Do odjazdu mieliśmy jeszcze całą godzinę czasu, chciałam tę godzinę przeczekać na sali, ale nie znalazł się tu ani jeden wolny kącik, salę całą zamieniono na szpital. Gdzie tylko wzrok się zatrzymał, wszędzie napotykał na wykrzywione, obwiązane, blade twarze. Nie miałam odwagi patrzeć na to, tę odrobinę bowiem energii, jaką posiadałam, chciałam sobie zachować na podróż i na pielęgnowanie chorego męża. Cała siła moja, całe uczucie litości wyłącznie należało do tego, który mnie tam wołał do siebie.

Nie było jednak w całym gmachu kolejowym miejsca, gdziebym nie widziała rannych i nie słyszała ich jęków uciekałam więc na peron i tu właśnie uj-

rzeć miałam obraz najsmutniejszy. Nadszedł właśnie długi pociąg, którego wszystkie wagony napelnione były rannymi, i rozpoczęło się ich wyładowywanie. Lżej ranni sami wychodzili z wagonów i powłócząc nogami, szli z wolna przed siebie, przeważną jednak część musiano umieszczać na noszach. Ilość noszy nie wystarczyła wszakże do pomieszczenia wszystkich, połowę zatem musiano złożyć na peronie, zanim przyjdzie na nich kolej. Tuż przy mnie, u nóg moich, siedziałam bowiem na jakiejś skrzyni, położono nieszczęśliwego, który bezustannie wydawał z siebie jęki gardlane, zbliżone do rżenia konających. Pochyliłam się nad nim, ażeby wzmocnić go słowami pociechy, ale z przerażeniem cofnęłam głowę i twarz całą ukryłam w dłoniach. Widok tego człowieka był straszny... To już nie twarz ludzka, ale jakaś z odstrzeżoną szczęką i jamą krwawiącą w miejsce oka. W tej chwili zaleciał mnie odór krwi i brudu... chciałam zeskoczyć ze skrzyni i uciec, ale zrobiło mi się niedobrze i głową uderzyłam o mur. Kiedy znów powróciła mi przytomność, gniewałam się sama na siebie, że tak bezsilnem i tchórzliwem jestem stworzeniem. Czegóż ja szukam w tych przybytkach nędzy i boleści? Przecież nie przydam się na nic tam, skoro mnie już tu opanowywa takie obrzydzenie! Myśl o Fryderyku dodała mi siły; gdybym go nawet znalazła w takim stanie, w jakim jest ten biedny, leżący u nóg moich żołnierz, przewyciężyłabym wstręt, ścisnęła go i całowała, bo ten wstręt rozplynałby się w miłość. „Idę już, mój Fryderyku, idę ku tobie!” — powtórzyłam na pół głośno, chociaż w tej chwili przeszła mi straszliwa myśl przez głowę: „a jeżeli ten mój Fryderyk... nie żyje?” I znów zebrać musiałam wszystkie siły, głowę podniosłam w górę i odrzekłam sobie: „Nie! on żyje!”

Długa i pełna niepokoju godzina oczekiwania minęła nareszcie; rzeźącego rannego odniesiono także, a kiedy go odnoszono, usłyszałam słowa lekarza wojkowego: „Tego nie można brać do szpitala, połóżcie go tam na ławie, on już w trzech czwartych nie żyje.“ Ten, w trzech czwartych umarły, zrozumieć musiał, co około niego mówią, bo w tej chwili z rozpaczą podniósł ręce ku niebu, wzywając ztamtąd ratunku.

W wagonie usiadłam obok dwóch lekarzy i czterech sióstr miłosierdzia. Udusić się można było z gorąca i zapachów szpitalnych, oparłam się przeto o ścianę boczną i przymknęłam oczy.

Pociąg ruszył i ja przypominać sobie zaczęłam ową podróż z Fryderykiem, gdy po ślubie jechaliśmy do stolicy Prus. Teraz celem podróży mojej było pobojuwisko, szpitala, miejsca cierpień i śmierci. Dreszcz mnie przeszedł; zauważył to jeden z lekarzy i rzekł:

— Zdaje mi się, że szanowna pani sama jest chorą, tak blade i cierpiąco wyglądasz na twarzy.

Spojrzałam na mówiącego i dostrzegłam, że mam przed sobą młodzieńca o sympatycznej powierzchowności. Prawdopodobnie pierwsze to było pole dla praktyki młodego doktora. Jakże to ładnie z jego strony, że pierwszą służbę poświęcił w takiej chwili krajowi! Pomimo podziwu dla współtowarzyszów podróży, zadałam sobie pytanie, co znaczy ten *lut* pomocy wobec całego *centnara* nędzy.

— Nie jestem chorą, panie doktorze—odrzekłam na pełne współczucia zapytanie młodego lekarza—czuję się tylko nieco osłabioną.

— Mówił mi baron Suttner, że mąż pani został ranny pod Königgrätz i że pani jedziesz go pielegnować, czy nie wiadomo pani, w której miejscowości leży mąż pani?

Tego nie mogłam wiedzieć, odrzekłam zatem:

— Celem podróży mojej jest Königinhof, tam

oczekiwać będzie na mnie zaprzyjaźniony z nami lekarz, doktor Bresser.

— Znam go wybornie, razem z nim przed trzema dniami przeszukiwaliśmy pole.

„Przeszukiwali pole...“ — powtórzyłam bezwiednie, drżąc w całym ciele — proszę, opowiedz nam pan...

— Opowiedz pan—nalegano ze wszystkich stron i młody lekarz zaczął mówić.

Opowiadania jego nie umiałabym dzisiaj powtórzyć, przytem przerywał często, nie chciał kończyć, wogóle mówił niechętnie, pomimo to jednak oderwane zdania na wyobraźni mojej wywołały cały szereg obrazów, które trwale wyrły się w pamięci. W innych warunkach nie byłabym tak zapamiętała całego opowiadania, zapomnialabym, jak się zapomnia o tem, co się czytało lub słyszało, teraz jednak znajdowałam się w stanie wysokiego napięcia nerwów, przy słowach zaś doktora żyłam życiem pobojuwiska. Wyobrażałam sobie, że Fryderyk jest osobą współdziałającą i skutkiem tego wypadki, opowiedziane w wagonie, spisałam na kartkach czerwonego kajeciku mego, spisałam zaś tak, jak się one odmalowały w duszy mojej.

„Ambulans znajduje się za wyniosłością pagórka, który go zasłania. Po tamtej stronie toczy się walka, ziemia drży od huku armat i broni ręcznej... Wysyłają patrole na plac boju dla zabrania i przeniesienia ciężko rannych. Czyż może być coś więcej bohaterckiego nad pochód wśród świszczących kul, wśród wszystkich okropności bitwy, z narażeniem się na wszelkie niebezpieczeństwa — ludzi nie biorących udziału w tym dzikim wirze? Według pojęć wojkowych, nie jest to zajęcie chlubne; do służby sanitarnej nie pójdzie żaden chwacki, dzielny człowiek. Żaden „felczer“ — chociażby nazywano ich lekarzami

pułkowymi—nie może się przecież porównać z walecznym dragonem.“

„Kapral korpusu sanitarnego prowadzi swych ludzi ku dolinie, którą praży ogień baterii. Idą wśród gęstej mgły dymu, padające u ich nóg kule podnoszą tumany kurzu z ziemi. Zaledwie uszli kilka kroków, znajdują łżej rannych, który wloką się sami. Jeden z nich pada; nie rana odbiera mu siły, lecz osłabienie. Dwa dni nie mieli nic w ustach... odbyli forsowny marsz w przeciągu dwunastu godzin... rozłożyli się na biwaku... we dwie godziny alarm i bitwa...”

Patrol postępuje dalej.

Na rumowisku kamiennem leży krwawy kłęb ciał; podoficer służby sanitarnej staje, robi kilka opatrunków; zabrać tych rannych nie może, najpierw trzeba pójść po znajdujących się w samym środku pobojowiska, tych może zabiorą—wracając...

Znów posuwają się dalej, zbliżają się do walczących; ranni ciągną coraz tłumniejszymi gromadami, wloką się sami, lub z trudem wspierają jedni drugich. Takim się rozdaje wino, opatrunki, wskazuje drogę do ambulansu. Przebywają parów. Tu leżą jedni na drugich, zabici i ranni; ostatni witają patrol sanitarny, jak aniołów zbawienia; błagają pomocy złamanym głosem, płacząc, jęcząc, dopominają się o jeden bodaj łyk wody... Niestety—zapasy prawie już wyczerpane... Wtem odzywa się przeciągły dźwięk sygnału, wzywający służbę sanitarną, po chwili nadjeżdża adjutant: „Służba sanitarna?” — „Jesteśmy na rozkazy!”—odpowiada podoficer.—„Za mną!”

Widocznie jakiś generał został raniony... Należy tamtych prostych żołnierzy porzucić. Pospiesznym krokiem dążą za adjutantem, który wskazuje im drogę. Nie zatrzymują się już wcale, chociaż na prawo i na lewo rozlegają się jęki i wezwania.“

Te i tym podobne uwagi zapelniają kartki czerwonego kajeciku; czasami gorsze jeszcze napotyka

się szczegóły. Podczas opatrunku np. padające kule i granaty nowe zadają rany; to znów zdarza się, że bitwa przenosi się na miejsce opatrunkowe, tuż przy ambulansach, i cały personel sanitarny, razem z lekarzami i chorymi, znajduje się naraz w tłumie walczących. Dzieją się wtedy rzeczy niewypowiedzianie straszne, szczególnie, gdy spłoszone konie, bez jeźdźców, pędząc przewracają po drodze nosze, na których złożono ciężko rannych, i gruchoczą, miażdżą ich bez litości. A oto obraz najstraszniejszy. W chacie umieszczono stu rannych, opatrzone ich i pokrzepiono. Wtem wpada granat i wzniesie pożar... W jednej chwili cały ten naprędce urządzony szpital stoi w płomieniach; krzyk, wycie raczej, jakie wydobywa się z kłębow dymu i zwojów płomieni, wstrząsa sercem najobojętniejszem, rozdziera pierś najzimniejszą.“

— Pani niedobrze — przerwał opowiadanie doktor, widząc, że drzę i błędę.

Upewniłam go, że chwilowe osłabienie wywołane zostało upałem i niewywczasem i prosiłam, ażeby opowiadał jeszcze. Zdawało mi się ciągle, że nie wszystko usłyszałam, że mnie nie oprowadził po wszystkich kręgach wojennego piekła, że pozostały do zwiedzenia najstraszniejsze.

Jest istotnie coś więcej jeszcze wstrząsającego nad sam opis boju, daleko większą bowiem zgroza przejmuje opis pobojowiska. Teraz nie grzmia już armaty, nie słyhać fanfary zagrzewającej, nie biją bębny, tylko wokoło rozlega się jęk i rżenie konających. W ziemi rozdeptanej kopytami końskimi i pełnej bruzd od kół armatnich, potworzyły się kałuże krwi, rozkładającej się na słońcu; praca rąk człowieczych obróciła się w niwecz, ani śladu zbóż, tylko gdzieś tam, jak oaza, pozostał drobny szmacik żyta lub pszenicy; drzewa lasków okolicznych czerniały, to i owo drzewo sterczy, jak węgiel opalony, ptaki uleciały z gniazd, które zburzyła kula karabinu. Na takim polu leży tysiące umarłych i konających—kona-

jących bez nadziei i pomocy. Oko nie dojrzy kwiatka przy drodze lub na łące, wszędzie tylko pałasze, bagnety, tornistry, płaszcze, przewrócone wozy z amunicją, armaty z potrzaskanymi lufami.

Przy tych armatach ziemia najwięcej jest roztrawiana i tam leży największa ilość poległych i rannych, literalnie *rozdartych* przez kule. Cały wóz wypełniony ciałami ludzkimi, tarzającymi się w błocie; prawdopodobnie nieszczęśliwi schronili się tu, ale nadjechała bateria i kopyta końskie i koła armatnie ich zmiażdżyły; wielu z nich żyje jeszcze, z tej krwawej masy niejednego dałoby się może uratować.

A jednak istnieje gorsze piekło, tem piekłem zaś jest ukazanie się najohydniejszych szumowin ludzkości — tak zwanej *hyeny pobojuwiskowej*. Potwory te skradają się po łup, węszą żer dla siebie, zginają się nad umarłymi i żywymi, ażeby zedrzeć z nich ubranie. Wyrazu „litość“ niema w ich słowniku, zdzierają więc buty z krwawiących się nóg, zdejmują pierścionki z wykrzywionych palców i jeżeli ręka zgięła się kurczowo, odcinają palce, choćby ofiara żyła i czuła jeszcze. Najgorzej tym, którzyby się chcieli bronić, bo hyena nie pyta i dla pierścionka, czy zegarka gotowa dobić, albo też wylupić oczy, ażeby później nie być poznana.

Krzyknęłam. Doktor opowiadał tak prosto, że widziałam oczyma duszy wszystkie te sceny okropne i zdawało mi się, że hyena wylupia oczy... Fryderkowi, te takie ładne, łagodne, niebieskie oczy.

— Daruj mi pani, ale sama życzyłaś sobie, ażebym opowiedział te szczegóły.

— Owszem, proszę, mów pan dalej, pragnę poznać wszystko. Czy sceny, które pan przed chwilą opisał, dzieją się za dnia?

— Nie, w nocy, gdy gwiazdy świecą, lub w braku gwiazd, przy świetle łuczywa. Jak bowiem pani wiadomo, patrole wysyłane do przeszukiwania po-

bojowiska zaopatrzone są w pochodnie i latarnie, któżby więc zdołał odróżnić zdaleka w takich warunkach patrol od hyeny.

— Jakże drugiego dnia przedstawia się to pole umarłych?

— Prawie straszliwiej jeszcze. Słońce, jak zawsze, wschodzi wolno i majestatycznie, ażeby przyświecać strasznej pracy ręki ludzkiej; w nocy jest jeszcze pewien urok fantastyczny, za dnia staje człowiek wobec wypadków bez nadziei i pociechy, teraz bowiem w całej grozie obliczyć można trupy leżące w koło, po drogach, na polach, w rowach, pod zwaliskami domów. Wszędzie, wszędzie śmierć rozpostarła swe ramiona... te trupy leżą obłupione, czasami nawet nagie zupełnie, w takim samym stanie znajdują się i ranni. Ci, pomimo całonocnej pracy korpusu sanitarnego, leżą gromadami na pobojuwisku, twarze ich przestały już być blade, stają się zielone prawie, wzrok ich błędny, zamierzającym zaś głosem, wijąc się w boleściach, błagają każdego, kto się znajdzie w pobliżu, ażeby ich dobito. Chmary wron obśiadają gałęzie drzew i głośnie krakaniem objawiają radość swoją z uczty, jaka ich czeka; setki psów z odległych wiosek przybiegają tutaj, ażeby lizać krew płynącą z ran, a tu i owdzie widać jeszcze te potwory ludzkie, operujące w dalszym ciągu... a potem następuje chwila grzebania ciał...

— Kto się tem zajmuje, czy także służba sanitarna?

— Czyżby ona mogła podobać jeszcze temu, gdy aż zaudało ma do roboty z rannymi?

— Więc chyba odkomenderowują ku temu oddział żołnierzy?

— I to nie; grzebaniem ciał zajmuje się, kto się przytrafi, najczęściej zgraja włóczęgów, ciurów obozowych, zajętych przy budkach markietanek, przy wozach z bagażami. Oni to, pospół z mieszkańcami chat okolicznych, spędzani zostają przez władze woj-

skowe, i kopią groby, odpowiednio wielkie, to jest szerokie, głębokich bowiem nie robi się z braku czasu. Do tych dołów wrzuca się ciała ludzkie, wszystko jedno czy wpoprzek, czy głową na dół, słowem jak się zdarzy. Czasami nie kopie się wcale tych dołów, tylko ciała ludzkie gromadzi się na jednym miejscu i potem przysypuje ziemią na grubość dwóch stóp, a że tam po kilku dniach spadnie deszcz i wyłobi jamy w tej ziemi, cóż to kogo obchodzi! Robotnicy przy tej czynności ponurej są w tak wesołym usposobieniu, że słyszysz same dwuznaczne dowcipy, gwizdania i śpiewki wesole. Ile tam osób na pół żywych idzie do mogiły, tego nie dowie się świat nigdy, gdy bowiem kilka stóp ziemi położono na usta, to już one nie odezwią się nigdy.

Z piersi mej wydarło się westchnienie, a usta szeptały: O Fryderyku mój biedny!...

— Oto ma pani obraz następującego po bitwie poranku — rzekł lekarz — teraz opowiem, co się dzieje wieczorem...

— To ja już panu dokończę, panie doktorze — przerwałam — wieczorem do stolicy państwa, które zwyciężyło, nadbiegła wiadomość telegraficzna o nowej sławie oręża i gdy nad grobami tańczą, gwizdzą i dowcipkują potwory ludzkie, w kościołach stołecznych rozlega się *Te Deum laudamus* i niejedna z matek i żon żywcem pogrzebanego stawia na oknie palące się świece na znak wielkiej patryotycznej radości.

Doktor roześmiał się boleśnie i odpowiedział:

— Ma pani słuszność, taka komedia rozegra się w domu, podczas gdy na polu bitwy wieczorem rozpocznie się akt drugi wielkiej tragedii, prócz bowiem tych, którzy dostali się do szpitali, lub złożeni zostali w mogiły, jest niezmierna jeszcze ilość nieodnalezionych. Gdzieś w zaroślach gęstych, w zbożu, pod gruzami domów ukryci są oni przed oczyma służby sanitarnej. Dla tych nieszczęśliwych rozpoczyna się te-

raz męczarnia kilkodniowa i długie noce agonii przedśmiertnej; słońce pali ich w południe, cienie czarne przesładują o północy, a oni leżą na kamieniach lub chruście, czują wyziewy rozkładających się ciał ludzkich, rany im gniją, a nad głowami kraczą wrony, czekając na żer.

* * *

Podróż to była niezwykła! Lekarz dawno już przestał mówić, ale sceny przez niego odmalowane przesuwwały się ciągle przed oczyma moimi, i ażeby odpędzić te mary krwawe, wyglądałam przez okno wagonu, chcąc znaleźć rozrywkę jakąś w widoku okolicy, ale i tu wzrok mój napotkał odbicie klęsk wojennych. Wprawdzie okolica nie nosiła jeszcze śladów strasznego spustoszenia, nie ulatywał dym z chałup wiejskich, nie biwakował tu jeszcze nieprzyjaciół, a jednak znać było, że rozpanoszyła się rzecz gorsza jeszcze, aniżeli rzeczywistość każda, mianowicie przecucie i obawa nieprzyjaciela. Zdawaćby się mogło, że w powietrzu dźwięczy jeden tylko okrzyk: „Prusacy idą!“ Wszędzie po drogach ciągnęły jedno za drugimi rodziny uciekających z tobołkami na plecach, a za nimi wozy z łózkami, pościelą, garnkami i wszelkimi przyborami gospodarstwa domowego. Przestrach paniczny i pośpiech znać było nawet na naładowaniu owych wozów, prosięta obok dzieci, worki z kartoflami służyły za siedzenie, a wszystko mieszało się w jedną wielką masę. Gdzie oni dążyli, ci biedni? Na to chyba sami nie umieliby dać odpowiedzi, oni wiedzieli tylko, że chcą być jak najdalej od „Prusaków.“

Czasem minął nas pociąg; ranni, sami ranni, te same twarze roztrzaskane, te same głowy obwiązane, te same ramiona krwawiące. Na stacyach wszędzie ten sam widok z najrozmaitszymi wariantami... Zrobiło mi się na duszy tak przykro, tak boleśnie, tak bardzo boleśnie, że chciałabym była przykleknąć u ka-

zdego z tych biedaków i pocieszać go gorącymi słowami współczucia. Poczciwy doktor na jednej ze stacyj poprowadził mnie do naczelnika i tu przyniósł sam wino, ażebym się wzmocniła i odświeżyła. Wszystko wtedy dźwięczało fałszywie w uszach moich, nawet dzwonek telegrafu zdawał się dźwięczeć: „patrzcie na cywilizację ludów tegoczesnych, patrzcie jakie to wszystko ma udogodnienia, nawet ci biedacy szybko dojadą do Wiednia... po śmierci!” To bieganie tam i napowrót, to dzikie tłoczenie się wojska gotowego do pochodu, ci tragarze, ci pokrwawieni i jęczący żołnierze, te łkające i łamiące ręce kobiety, ta szorstka komenda, ten szczełk broni, a wszystko to przytłumione przez syk maszyn parowych i gwizdawki służby kolejowej albo dzwonek telegraficzny, zwiastujący pochód nieszczęśliwych.

Że też ciągle muszą prześladować mnie myśli złowieszcze! Pomnażały one i pogłębiały tylko boleść moją i zazdrościłam prawie tym kobietom, które mogły łkać i łamać ręce z rozpacz. Moje ręce raczej zaciskałyby się mogły w pięść, z ust wybiegać przekleństwa dla tej komedii, zwanej się rozumem stanu, a kończącej się krwią.

* * *

Późno już było wieczorem, gdy stanęłam w Köninginshofie. Towarzysze podróży pożegnali się ze mną na poprzednich stacyach i ja znalazłam się teraz sama z niepokojem i trwogą w sercu. Co pocznę, jeżeli doktor Bresser nie pojawi się na stacyi? Tak byłam strudzona tą podróżą i tak zupełnie rozstrojona osiągnięciem wrażeń, że gdyby nie tęsknota i chęć ujrzenia Fryderyka, pragnęłabym tylko śmierci. Ach, położyć się, zasnąć i nie obudzić się więcej na tym świecie, gdzie ludzie postępują albo jak waryaci, albo jak stworzenia krwiożercze.

Na dworcu w Köninginshof panował taki sam zamęt jak na innych stacyach. Znow ten sam widok: ranni i ranni!...

Noc była ciemna, bezksiężycowa; dworzec oświełtały tylko trzy, czy cztery latarnie. Zmęczona, senna rzuciłam się na ławkę, ułożywszy tłomoczki na ziemi przed sobą.

Przypatrywałam się obecnym, lecz doktora ani śladu.

Co teraz począć, do kogo się zwrócić? Zatrzymałam jakiegoś przechodnia i spytałam:

— Czy nie mogłabym odszukać naczelnika stacyi?

— Doktor sztabu, naczelnik nasz, stoi właśnie przed pania.

Ku mojemu zdziwieniu stojącym nie był doktor Bresser, jednakże zbliżyłam się i posłyszałam ostatnie wyrazy, wymówione przez naczelnika:

— Doprawdy, że to rozpacz; nie uczyniono nic, ażeby pobudować tu i w Turnau dostateczną liczbę szpitali. Gdzie podziąć te dary, napływające ze wszystkich stron? Niema miejsca ani na bieliznę, ani na artykuły spożywcze, ani na środki opatrunkowe, gdzie więc to wszystko złożyć, posortować i jak wysłać dalej! Ręk niema do pracy, tu potrzebaby było najmniej stu ruchliwych urzędników.

Miałam właśnie zapytać się naczelnika stacyi, gdy ujrzałam śpieszącego się szybko mężczyznę, w którym, o radości! poznałam doktora Bressera. Tak byłam wzruszoną, że staremu przyjacielowi naszego domu padłam poprostu w ramiona.

— To pani? zkadże się pani tu znalazła?

— Przyjechałam wam pomagać... czy Fryderyk nie leży w którymś z pańskich szpitali?

— Nie widziałem go nigdzie.

Nie wiem, czy wiadomość ta rozczarowała mnie, czy też zrzuciła ciężar z serca. Niema go, a więc albo zabity, albo wyszedł cało, ale w tej chwili pomyślałam sobie, że doktor Bresser nie może przecież znać wszystkich chorych i że będę sama musiała przeszukać wszystkie szpitale.

— Cóż się dzieje z panią Simon? — zapytałam dalej.

— Przyjechała już przed kilku godzinami. Dzielna to niewiasta, decyduje się szybko, jest przytem rozważna i łatwo oryentuje się w sytuacji. W tej chwili zajęta jest przewożeniem rannych do pustych wagonów, dowiedziawszy się zaś, że w sąsiedniej miejscowości, w Horonowie, skutki klęski są straszliwe, postanowiła tam zaraz pojechać, a ja będę jej towarzyszył.

— I ja pojedę z wami, doktorze!

— Cóż znowu? Pani, taka delikatna, tak nieprzyzwyczajona do ciężkiej, mozolnej pracy, tak zawsze otoczona dostatkiem...

— I cóżbym zresztą poczęła tu sama? — przerwałam. — Jeżeli więc jesteś przyjacielem moim, pomóż do skutecznego zaimplementowania powziętego, uczynię wszystko, spełnię każdą czynność, przedstaw mnie przeto, doktorze, pani Simon, jako z dobrej woli dozorczynię chorych i przez litość zabierz mnie z sobą...

— Ha, skoro koniecznie pani baronowa sobie tego życzy... Oto pani Simon...

Osoba, której mnie doktor Bresser przedstawił, skinęła wprawdzie głową, ale natychmiast odwróciła się i zajęła wydawaniem odpowiednich rozkazów, nie mogłam zatem nawet przyjrzeć się rysom jej twarzy.

W pięć minut później znajdowaliśmy się na drodze do Horonowa, dokąd wioził nas zwyczajny wóz drabiniasty, na którym przedtem przywieziono rannych. Siedzieliśmy na słomie, nie ociekłej może jeszcze z krwi, obok powożącego usiadł człowiek i trzymał latarkę w rękę, celem oświetlenia drogi. Wszystko to snem mi się wydawało i tylko jedno przypominało mi rzeczywistość — obecność doktora Bressera.

— Biedne dziecko! — słyszałam jak mówił, głośno zaś dodał: — Niechże się pani baronowa wygodnie oprze o moje ramię.

Uczyliam jak mówił, usadowiłam się możliwie

najlepiej, ale nie zmniejszyło to prawdziwych tortur jazdy. Gdy człowiek przez życie całe przyzwyczai się siadać na wyścielanych krzesłach, gdy posłanie jego tworzą zawsze miękkie materace, jakże ciężko wtedy nagiąć się do niewygód, zwłaszcza po tak męczącej podróży całonocowej. Wóz trząsł się, nogi ślizgały w krwi pozostałej na deskach i słoma mokra była.

Cóż dopiero uczuwać musieli ranni, z roztraskanymi członkami, z pogruchotanymi kośćmi, gdy ich wieziono w ten sposób, nie zważając na grude, ani kamienie. Powieki ciążyły mi jak ołów i opanowywała mnie senność, sprawiająca mi równocześnie przykreść niewymowną; wszystkie członki bolały mnie, ale przy takim wyteżeniu nerwów sen nie mógł się zjawić; wszystkie sceny, opowiadane przez młodego lekarza wirowały beładnie i gorączkowo w głowie, szarpały mózg i przed oczyma przesuwaly mi się obrazy to kapiących groby włóczęgów, to widziałam skradające się hyeny ludzkie; słyszałam jęki rannych, płonących w zapalonym od granatu szpitalu, w uszach brzmiały mi wyrazy: „wrony krakające, buddy markietanek, patrol sanitarny.“

Chciałam się wmieszać do rozmowy, bo ten półsen mój strasznie sprawiał mi męczarnie, doktor i pani Simon milczeli oboje, więc zapadły mi powieki i z uczuciem błogiem zasnęłam na wozie, zapominając o wszystkim. Nie wiem, jak długo spałam, ale nagle zbudził mnie nie hałas wprawdzie, ani też wstrząśnienie gwałtowne, ale zaduch niemożliwy do zniesienia.

— Co to jest? — krzyknęliśmy wszyscy razem.

Wóz nasz zakreślił właśnie w inną drogę, że zaś księżyc świecił jasno, dostrzegliśmy wysoki mur biały, prawdopodobnie opasujący cmentarz wiejski. Mur ten służyć musiał niezawodnie za schronisko i ukrycie bezpieczne, przy nim bowiem leżały całe stosy trupów, a woń, jaka się z gnijących ciał rozpościerała, była tak okropna, że nawet mnie zbudziła

ze snu. Spłoszone turkotem wozu naszego zerwały się stada kruków i wron i jak chmura zasłoniły nam księżyc.

— Fryderyku, mój Fryderyku!... — krzyknęłam.

— Uspokój się pani — pocieszał mnie Bresser — tu mąż pani być nie mógł.

Żołnierz powożący zaciął konie, które zdawało się, że poniosą, chcąc się jak najprędzej uwolnić od tego strasznego zaduchu; wóz mknął, jak gdyby nas goniono, wpilał palce w ręce Bressera, chociaż głowę odwróciłam i spoglądałam po za siebie na te mury białe. Księżyc oświeślał to miejsce, ptaki powróciły znów na żer, a mnie się zdawało, że to trupy wstają, wyciągają ręce swoje, zbierają się w gromadę i że grożą nam pościgiem.

Chciałam znów krzyknąć, ale słowa zamarły mi w gardle...

* * *

Wóz zakręcił na rogu ulicy.

— Przybyliśmy na miejsce, oto i Horonowo — rzekł doktor, nakazując powożącemu, ażeby się zatrzymał.

— Co poczniemy z tą biedną? — rzekła pani Simon — ona raczej będzie nam przeszkadzała, zamiast przynieść pomoc.

Zebrałam wszystkie siły i rzekłam:

— O nie! teraz już mi lepiej, będę wam pomagała, ile mi tylko sił starczy.

Znajdowaliśmy się w samym środku wsi, przed bramą pałacową.

— Wejźmy tu — rzekł doktor — i zobaczmy, co należy czynić, pałac bowiem, opuszczony przez dziedzica, od góry do dołu zapełniony był ranymi.

Zaledwie utrzymać się mogłam na nogach, ale wyteżyłam wszystkie siły, ażeby nie poznano tego po mnie.

Weszliśmy do pałacu i odrazu ze stron różnych dobiegły nas jęki... wokoło ciemno.

— Światła! przede wszystkim światła! — zawołała pani Simon.

Niestety, przywieźliśmy wszystko inne z sobą, miałyśmy czekoladę, bulion, cygara, wino, ale nikt z nas nie pamiętał o małej chociażby świeczce; ani sposobu rozproszyć ciemności, które otaczały nas i rannych. Jedynie pomagało nam pudełeczko zapalek, jakie doktor miał w kieszeni. Nogi ślizgały się po krwi skrzepłej, nie można więc było postępować naprzód i do setek jęków przybyło jeszcze nasze wołanie: „I cóż teraz poczniemy?“

— Pójdę na probostwo — rzekła pani Simon — poświęć mi pan zapalkami do drzwi, pani zaś niechaj tu zostanie.

Nie śmiałam oponować, chociaż to pozostanie samej w ciemności, wśród jęków tych wijących się w bolesti ludzi, wśród zaduchu panującego, straszną było powinnością. Doktor Bresser jednak nie pozwolił na to.

— Nie! w tem piekle nie zostawię pani samej — podał mi ramię i tym sposobem wybawił może od pomieszania zmysłów, gdybym została tu wśród cierpiących, często wściekłych z bólu.

Uczułam, że nie dorosłam do tego zadania, ja, stworzenie tchórzliwe, bezradne... dlaczego nie zostałam w domu?

Wychodząc, kilka razy zawołałam po imieniu Fryderyka, ale nie usłyszałam odpowiedzi: „Jam tu, Marto!...“

Usiadłam znów na wozie i czekałam na powrót towarzyszków moich, co nastąpiło w pół godziny; świecy nie znaleziono nigdzie; probostwo, jak i wszystko, zniszczone i puste, domostwa wszelkie w ruinie, nie pozostawało zatem nic innego do czynienia, jak tylko czekać na świt.

Jakaż to długa ta noc! Iluż z rannych musiało skonać przez te kilka godzin, zanim zdołaliśmy przyjsć

z pomocą. Nareszcie świtać zaczęło na ziemi i pani Simon z doktorem powtórnie udali się na zwiady, czy nie ma tu gdzie ukrytych mieszkańców wioski. Poszukiwania im się powiodły. Z rozwalonych domów powysuwali się wieśniacy, z początku patrzyli na nas z nieufnością, ale gdy doktor przemówił do nich serdecznie, zgodzili się nam pomagać. Najpierw należało pochować umarłych, studnie oczyścić, aby żywym dostarczyć wody, pościagać rozrzucone na drodze kotły, aby mieć naczynia, opróżnić tornistry poległych i znajdującą się w nich bieliznę użyć dla rannych. Nadszedł także pruski lekarz sztabowy z ludźmi i zapasami, więc można było coś zrobić. Nadeszła chwila, kiedy znajdzie może tego, dla którego podjęłam tę smutną podróż; myśl ta orzeźwiła cokolwiek moje omdlałe siły.

Pani Simon udała się z pruskim doktorem do pałacu, gdzie najwięcej było rannych, doktor Bresser miał zwiedzić inne zabudowania. Wolałam przyłączyć się do przyjaciela, poszliśmy więc razem. Wiedziałam zresztą, że Fryderyka niema w pałacu, Bresser bowiem już zrobił przegląd rannych.

Po drodze wstąpiliśmy do kościółka wiejskiego. Tam na kamiennej posadzce leżało przeszło stu ciężko rannych. Już na progu na widok ten blizką byłam zemdenia. Przeszłam jednak przez cały kościół, rozglądałam się na wszystkie strony, ale jego nie było i tutaj.

A więc to jest świątynia, poświęcona Bogu, który przede wszystkim głosi „miłość“

„Matko Boska, zlituj się nademną, ześlij choćby kropelkę wody“ — słyszałam błagania rannego żołnierza.

O! wy biedni, dlaczego zapominacie o przykładach Boskich! Naprawdę wzywają litości nieba ci, którzy w sercu swoim nie umieją poskromić żądz mordy i pożogi. Nie opiszę wszystkiego, na co patrzyłam w dniu owym; zamknijmy lepiej oczy, od-

wróćmy głowę, wszak nie pomożemy nieszczęśliwym i obrazami przeszłości nie powstrzymamy grozy na przyszłość.

To samo, co w Horonowie, działo się także wszędzie indziej, a więc w Swetach, w Hradecku, w Probus i w Pardubicach, które najpierw obsaczyli Prusacy...

I to ludzie sami przyczynili sobie tyle nieszczęść! Czyż nie powinni oni raczej upaść na kolana i przysięgnąć, że porzucą mordowanie się wzajemne. Książęta niechaj przysięgną, że odrzucają precz szable, lub gdy nie są dość silni, że całe życie swoje poświęcą, ażeby słowem i piórem głosić zasadę: „Precz z orężem!“

Zemdlalam po zwiedzeniu wszystkich miejsc, gdzie nagromadzono rannych.

* * *

Gdy oprzytomniałam, znalazłam się w wagonie dążącego ku Wiedniowi pociągu. Naprzeciw mnie siedział doktor Bresser. Gdy spostrzegł, że otwieram oczy i rozglądam się badawczo zdziwiona, ujął moją rękę:

— Tak, pani Marto — odezwał się — to przedział drugiej klasy, pani nie śnisz bynajmniej. W towarzystwie kilku lekko rannych oficerów i starego przyjaciela jedziemy do Wiednia.

Tak było, jak mówił. Przywiózł pewną część rannych z Horonowa do Königinhof, a zamtąd poleceno mu innych odwieźć do Wiednia. Mnie nieprzytomną zabrał również i odwoził do domu. Okazałam się zawałą w miejscu niedoli; pani Simon musiała być bardzo zadowolona, gdy mnie doktor zabierał.

A Fryderyk? Nie odszukałam go. Może w domu zastanę od niego lub o nim wiadomość... Lepszej nawet się stało, że go nie odnalazłam wśród trupów i rannych, zwaryowałabym chyba, podczas gdy teraz tłia jeszcze odrobina nadziei w sercu. Spałam

przez całą prawie drogę, doktor bowiem dał mi jakiś lekki narkotyk, ażeby przy pomocy snu wzmocniła swoje nerwy.

Stanęliśmy na dworcu kolejowym w Wiedniu, gdzie już oczekiwał ojciec, ażeby mnie zawieźć z sobą. Pocziwy doktor pomyślał o wszystkim i zatelegrafował do Grumitz. Nie mógł mnie sam odwieźć, odstawić bowiem musiał do szpitala rannych i sam bezzwłocznie powracał do Czech. Ojciec uściśkał mnie czule, nie mówiąc ani słowa, poczem zwrócił się do doktora:

— Jakże mam panu dziękować? Gdybyś pan nie był wziął tej małej waryatki w swoją opiekę, to...

Doktor jednak ścisnął nam silnie ręce i śpiesząc się widocznie, odrzekł:

— Muszę pożegnać, niestety! Służba mnie czeka, życzę szczęśliwej podróży, ta młoda osoba potrzebuje opieki, ekscelencyo, silnie jest wzburzoną... żadnych wyrzutów, żadnych wypytywań, tylko szybko do łóżka; dać kropli laurowych, a przedewszystkiem spokoju i spokoju. Do widzenia!

Ojciec podał mi ramię i znów szliśmy wśród szeregu rannych. Kilka razy chciałam się zapytać, czy nie nadeszły wieści od Fryderyka, ale pytanie to zamierało mi na ustach z braku odwagi na myśl, że usłyszę smutną wiadomość. Nareszcie rzuciłam to pytanie.

— Do wieczoru wczorajszego nie nadeszło nic, może dziś znajdziemy list w domu, bo ja wczoraj już, natychmiast po otrzymaniu telegramu, wyruszyłem po ciebie. Narobiłaś ty nam strachu nielada, ty stworzonko egzaltowane! Jechać na pobożowisko, narażać się na spotkanie z tymi dzikimi Prusakami!.. Oni naprawdę zdziczeli, tak ich upoiły iglicówki. Ba! gdyby nie te iglicówki, bo tam przecież dyscypliny u nich nie ma żadnej! No! doktor przykazał, ażeby ci nie czynić wyrzutów, więc milczę...

— Cóż się dzieje z Rudolfkiem?

— Szuka cię po całym domu, beczy i nie chce

wierzyć, że wyjechałaś, nie pocałowawszy go nawet na pożegnanie. Ciebie tylko interesuje Fryderyk i Rudolf, o innych się wcale nie pytasz.

— Czy Konrad nie pisał?

— Owszem, był wczoraj list od niego, nie mu się nie stało, skutkiem czego Lili jest w siódmym niebie. Zobaczysz, że i ty o Tillingu otrzymasz dobre wieści. Niestety, pod względem politycznym mniej radosne są wiadomości, czy słyszałaś już o nowym nieszczęściu?

— Na tyle nieszczęść patrzyłam, że już większego chyba być nie może...

— Może, nawet napewno być może. Wiesz, Wenecya nasza, ta śliczna Wenecya, została nam odebrana. Ten intrygant Napoleon... I to wszystko po takim świetnym zwycięstwie, jakie odnieśliśmy pod Custozzą! Zamiast odebrać Lombardję naszą, oddaliśmy jeszcze Wenecję. Prawda, że tym sposobem zapewniliśmy sobie pokój na południu, że nawet Ludwika Napoleona mamy po swojej stronie i że teraz z całą siłą będziemy mogli rzucić się na Prusaków, pomścić Sadowę i zdobyć Szląsk. Benedek popełnił wielkie błędy, ale teraz, gdy dowództwo dostało się w ręce świetnego zwycięzcy armii południowej... jakto, ty nic nie odpowiadasz? No! to już zostawię cię w spokoju stosownie do polecenia Bressera.

Po dwugodzinnej szybkiej jeździe zajechaliśmy do Grumitz, naprzeciwko zaś wybiegły siostry i wołały zdaleka:

— Marto, Marto, on jest!

Przy otwieraniu drzwiczek znów powtórzyły:

„On jest, Marto!”

— Kto?

— Mąż twój, Fryderyk.

* * *

Istotnie tak było; dopiero wczoraj późnym wieczorem przywieziono Fryderyka z transportem ran-

nych z Czech do Wiednia, zkąd wysłano do Grumitz. Otrzymał on ranę w nogę, co czyniło go na razie niezdolnym do służby i wymagało troskliwej opieki, ale nie zagrażało zupełnie życiu.

Radość zabija — powiadają, ja zaś powiem, że także ciężką ona bywa czasami do zniesienia. Na nieprzygotowaną zupełnie oznajmienie sióstr oddziało tak samo, jak okropności dni poprzednich. Już z powozu musiano mnie wynieść i od razu położyć do łóżka; tu, czy wskutek działania narkotyku, czy też niespodziewanej radości, pozostałam kilka godzin bezprzytomna, drżąc i bredząc naprzemian. Gdy oprzytomniałam, doznałam uczucia, jak gdybym wcale nie wyjeżdżała z Grumitz. Tak, to sen chyba tylko! i ten list Bressera, i moje postanowienie wyjazdu do Czech, i to, co tam przeżyłam, i powrót Fryderyka... Podniosłam oczy, przy łóżku ujrzałam pokojówkę.

— Chcę wstać — rzekłam — czy kąpiel dla mnie gotowa?

Służąca nie zdążyła jeszcze odpowiedzieć, gdy do pokoju wpadła jak bomba ciotka Marya.

— Marto, moja ty złota, droga, obudziłaś się przecie i jesteś przytomna, Bogu Najwyższemu dzięki! O tak! wstań sobie teraz, weź kąpiel, to bardzo dobrze, gdy człowiek oczyści się z tego kurzu kolejowego...

„Kurzu kolejowego?“ A więc to nie był sen, ja jeździłam koleją, a więc i to nie jest snem, że on powrócił...

Po kwadransie zjawiłam się, uprosiwszy sobie przedtem, ażeby nikt nie był świadkiem naszego powitania w pokoju, gdzie leżał Fryderyk.

— O ty mój najdroższy — krzyknęłam, rzuciłam się na jego piersi i tuląc się gorąco, po raz pierwszy dałam folgę łzom.

Drugi to był wypadek w życiu mojem, że tak gorąco umiłowany wyszedł z życiem z niebezpieczeństw wojny.

— Mam cię więc znów przy sobie — powtarzałam wśród łez.

— A ty, biedaczko, chciałaś mnie szukać i pielęgnować — odparł — bardzo mężnie i pięknie z twojej strony — ale i bardzo naiwnie.

— Masz rację, że to było naiwnie, gdybyś zaś jeszcze wiedział, jak okazałam się niezdolną i tchórzliwą, to śmiałyś się ze mnie. Jak ci ludzie mogą świat ten piękny zamieniać w padół łez i boleści! Straszne rzeczy widziałam.

— Ja straszniejsze jeszcze, moja Marto, jednej zwłaszcza chwili nie zapomnę nigdy. Było to podczas starcia się kawalerii pod Sadową. Widzę, że z pruskiej strony pędzi ku mnie oficer jakiś z szablą do góry wzniesioną... Zgadnij, kto był ten oficer?... Godfryd Tessow!

— Ten jednak ciotki Kornelii?

— Tak jest. Na szczęście, poznał mnie w porę i opuścił przygotowaną do cięcia szablę. Właściwie postąpił wbrew obowiązkowi swemu. Jakto, on oszczędził życia wrogowi króla swojego i ojczyzny swojej, oszczędził z tak błahego powodu, że ten wróg był mu krewnym i przyjacielem?

Fryderyk urwał, po chwili jednak kończył dalej:

— Biedny chłopiec! zaledwie opuścił ramię, gdy w powietrzu świsnęła szabla i spadła na jego czaszkę... To towarzysz mój, młody oficer, tym ciosem chciał uratować życie swojemu pułkownikowi...

Zadrżałam i spytałam cicho, gdy Fryderyk skończył i rękoma twarz sobie zasłonił:

— Czy zabił go?

Fryderyk skinął głową na znak potwierdzenia.

— Mamo, mamol — rozległo się wołanie w przyległym pokoju i drzwi się otwarły; weszła Lili, prowadząc Rudolfa.

— Wybaczcie, że przerywam wasze sam na sam, ale ten młodzieniec dopominał się zbyt gwałtownie o swoją mamę.

Pospieszyłam do dziecka i przycisnęłam je do serca. Ah jak mi okropnie żal tej ciotki Kornelii, że na zawsze pozbawioną jest uciech, jakie daje miłość matczyzna.

* * *

Tego samego dnia przybył wezwany z Wiednia chirurg i opatrzył ranę Fryderyka. Zalecił sześć tygodni największego spokoju, tyle bowiem czasu wymagało uleczenie. Oboje postanowiliśmy już niezłomnie, że Fryderyk porzuci służbę, chociaż mogło to nastąpić dopiero po skończeniu wojny. Zresztą wojnę tę można było uważać prawie za skończoną; odstąpienie Wenecyi ulagodziło zatarg z Włochami i zapewniło przyjaźń Napoleona, a ze zwycięzcami północnymi można już było przeprowadzić łagodne warunki pokojowe. Tym sposobem można położyć kres wojnie, tem więcej, że nasz cesarz sam gorąco pragnął pokoju i nie chciał stolicy swej, Wiednia, narazić na oblężenie. Zwycięstwa otoczyły Prusaków, zwłaszcza po wkroczeniu do Frankfurtu nad Menem pewną aureolą, która, jak wszelkie zresztą powodzenia, i u nas budzić zaczęła podziw i wyrabiała w kraju przekonanie, jakoby Prusacy jedynie powołani byli do spełnienia wielkiej misji historycznej. Wyrazy „pokój“, „zawieszenie broni“ krążyły z ust do ust i nawet ojciec mój zgadzał się z tem, że dalsze powodzenie wojny wobec osłabienia armii i stwierdzonej już przewagi iglicówek nie przydałyby się na nic. W bliższej przyszłości uśmiechało się co najwyżej wkroczenie wojsk nieprzyjacielskich do stolicy, zniszczenie Grumitz i nowe klęski. Wszystko to nie uśmiechało się nawet takiemu staremu wojakowi, jakim był mój ojciec, tem więcej, że zaufanie jego do niezwyciężoności wojsk austriackich zachwiały ostatecznie fakta niedawne. Nie mówił już teraz głośno o pomście, chociaż czułam, że chęć odwetu dźwięczała na dnie jego duszy.

Zemsta i wiecznie jedno i to samo — zemsta! W każdej wojnie jedna strona musi być zwyciężoną, ten zwyciężony przeto szuka zadosyćczynienia i czeka na najbliższą sposobność. Czemże się to skończy?

W Grumitz nastrój panował wogóle bardzo pesymny, jakkolwiek bowiem oddawano się nadziei, że pokój będzie zawarty, taki jednak strach panował tu paniczny, że potrzeba było tylko jednego okrzyku: „Prusacy idą“, ażeby ludzie przygotowani już i zapakowane kosztowności zabrali z sobą i poczęli uciekać. Nawet u nas, w pałacu, ciotka Marya na tyle była przezorną, że srebro rodzinne zakopała głęboko w ziemię; Lili żyła w wiecznym strachu o Konrada, od którego przez dni kilka nie było żadnych wiadomości; ojciec mój chodził jak struty, cierpiała duma jego patryotyczna; nawet ja z Fryderykiem, pomimo zakwitającego w sercu naszym szczęścia, nie powróciliśmy już do dawnej wesołości, pomni na niedawno przebyte chwile. Ból nasz odżywiały ustawicznie nadchodzące ze wszystkich stron wiadomości; ze wszystkich artykułów dziennikarskich, ze wszystkich listów od krewnych i przyjaciół, biła tylko skarga i smutek. Otrzymaliśmy np. list od ciotki Kornelii, w którym ona, nie znając jeszcze całej prawdy, ze wzruszeniem pisała o jedynaku, którego bała się utracić na wojnie. My z Fryderykiem, znający całą okropność tego wypadku, leliśmy łyzy gorzkie, odczytując listy. Kiedy zebraliśmy się wieczorem u wspólnego stołu, nie w głowie nam były pełne dowcipu pogawędki, ani muzyka, ani gra w karty, jeno temat rozmowy naszej tworzyły opisy jęków przedśmiertnych i rozlewu krwi ludzkiej. Nie czytaliśmy nic innego, oprócz gazet, w gazetach zaś nie znaleźliśmy nic innego, oprócz śmierci. Jakkolwiek za złe mi brano wycieczkę moją na pobojuwisko, to jednak z uwagą wielką słuchałam opisów tego, co przeżyłam. Róża zachwycała się postępami pani Simon i przysięgała, że jeżeli wojna

potrwa dłużej, sama przyłączy się do służby Samarytanki saskiej. Ojciec mój protestował przeciwko temu, ale Fryderyk, głosząc rękę moją, mówił:

— Prawda, że popełniłaś głupstwo, ale i głupstwo czasami może być ładne.

Jedna tylko ciotka Marya zżymała się czasami na opowiadania moje i ze świętem oburzeniem zwracała się ku mnie:

— Jak może kobieta wychowana delikatnie powtarzać takie ohydne sceny!

Innym razem, gdy poruszyłam temat drażliwy, ciotka krzyknęła nawet:

— Marto! i ty to mówisz wobec panienek!

* * *

Kuracya Fryderyka postępowała szybko, a razem z nią cały rozgorączkowany świat zbliżał się ku wyzdrowieniu, coraz bowiem częściej i coraz głośniej wymawiano wyraz „pokój.“ Prusacy, nie znalazłszy po drodze oporu żadnego, przez Berno, gdzie burmistrz oddał klucze królowi Wilhelmowi, ciągnęli pod Wiedeń, ale pochód ich miał pozory raczej przechadzki, niż wyprawy zdobywczej. W dniu 25 lipca rzeczywiście w Nikolsburgu postanowione zostało zawieszenie broni i podpisano preliminarja pokojowe.

Ojcu memu wielką sprawiło radość, gdy nadeszła w tej porze właśnie wiadomość o wielkiem zwycięstwie marynarki naszej, dowodzonej przez Tegethoffa pod Lissą. Jakaż to wielka satysfakcja! Okręty włoskie wysadzone w powietrze, „Affundatore“ zniszczony. Nie mogłam podzielać tego zachwytu i radości, a nadewszystko nie mogłam zrozumieć, dlaczego — gdy już Wenecja została oddana — staczano jeszcze bitwy morskie. Wiem jednak, że wypadek ten nietylko ojciec mój, lecz i dzienniki wiedeńskie powitały okrzykami najwyższej radości. Chwała zwycięstwa wojennego jest czemś, co przez wiekową tradycję do takiej wielkości zostało wyniesione, że na sa-

mą wieść o niem jakaś część chluby spada na naród cały. Jeśli się przytrafi, że wódz ojczysty pokona jakiegoś obcego wodza, składają się powinszowania każdemu członkowi tegoż państwa, a ponieważ każdy słyszy, jak wszyscy się z tego cieszą — co też w istocie jest bardzo pocieszajacem — cieszy się wreszcie i sam. „Owczę uczucie“, — powiedziałby Fryderyk.

* * *

„Przybywam jutro o 1-ej do Grumitz.

Konrad.“

Łatwo sobie wyobrazić, jak radośnie powitała Lili ten telegram, ale też chyba nikogo nie wita się z takim uwielbieniem, jak tych, którzy powracają z wojny! Wprawdzie nie był to tyłokrotnie opiewany w baladach i przedstawiany na miedziorytach „powrót zwycięzcy“, ale czysto ludzkie uczucia kochającej narzeczonej nie wpływały wcale ujemnie na uczucia patriotyczne i przypuszczam, że gdyby nawet kuzynek Konrad był zdobył Berlin, jeszcze nie powiększyłoby to serdeczności, z jaką witała go Lili. Jemu oczywiście przyjemniej było, gdyby do domu powrócił jako jeden ze zwycięzców i gdyby przyczynił się do tego, ażeby cesarz zdobył Szląsk. Dla żołnierza zresztą już to samo, że się bił, jest zaszczytem, największym zaszczytem jednak bywa śmierć na polu bitwy. Tak np. opowiadał nam Otto, że na honorowej tablicy w akademii wojskowej zapisują się nazwiska tych jej wychowalców, którzy okryli się sławą i padli od kuli nieprzyjacielskiej. „*Tue a l'ennemi*“ powiadają we Francyi, a zasada ta i u naszych przodków w wielkiej była cenie, im dłuższym bowiem szeregiem protoplastów, poległych w bitwach (obojetną już jest rzeczą, czy te bitwy były wygrane, czy przegrane), pochwilić się może jakaśkolwiek rodzina, tem dumniejszym staje się wnuk, tem więcej ceni nazwisko swoje i tem więcej lekceważy sobie życie. Ażeby okazać się godnym przodków zabitych, trzeba

wzbudzić w sobie zapał do mordów i przyjemność znajdować w zadawaniu ran. Może to i lepiej, że dopóki wogóle istnieją wojny, zawsze znajdują się ludzie, którzy szukają w nich wywyższenia, ożywienia, a nawet rozkoszy. Na szczęście, liczba takich ludzi zmniejsza się z dnia na dzień, podczas gdy odwrotnie, liczba żołnierzy wzrasta ustawicznie. Dokąd w końcu dojdziemy?

Do stanu, który wprost stanie się niemożliwym do zniesienia...

A ten stan dokąd nas doprowadzi?...

O tem nie myślał Konrad nigdy, zapatrywania jego bowiem odpowiadały zupełnie aryi oficera z „Białej damy”: „Ach! jaka rozkosz żołnierzem być!...” Gdy się słuchało tego, co opowiadał, można było naprawdę zazdrościć mu tej wyprawy wojennej, jaką świeżo odbył, i nikt więcej mu nie zazdrościł, jak mój brat Otto. Ten porucznik, który teraz przebył chrzest krwi i prochu, już dawniej w mundurze huzarskim wyglądał prawdziwie po rycersku, ale teraz wygląd piękny podnosiła jeszcze blizna na policzku, będąca dumą dzielnego żołnierza. Tej blizny zazdroszczył Otto szczerze Konradowi, jak niemniej podziwiał go, że stał wśród gradu kul i może nie jednego zabił Prusaka.

— Nie powiem, ażeby szczęśliwą była nasza kampania — mówił Konrad — pomimo to jednak pozostało mi kilka wspomnień prawdziwie wspaniałych.

— Opowiedz-że nam — nalegała Lili z Ottonem.

— Szczegółów niewiele przytoczyłbym zdołał, wszystko bowiem wydaje mi się dzisiaj jak gdyby odurzeniem; zapach prochu w osobliwszy sposób zawraca człowiekowi głowę. Właściwe odurzenie, czy też febra wojenna, słowem ogień prawdziwy, zaczyna się u człowieka z chwilą wymarszu. Mnie wymarsz, znaczący rozłączenie się z ukochaną, był wprawdzie bardzo ciężki, była nawet chwila, że w oczach zbierały

się łzy, ale skoro człowiek wyruszy, gdy obok kroczy towarzysze, to wtedy przestaje się myśleć o kochaniu. Wtedy wiemy tylko, że wznioślejsze nad miłość czeka nas zadanie — obrona ojczyzny. Gdy jeszcze następnie muzyka zaintonowała marsza Radeckiego, gdy sztandary jedwabne powiewać zaczęły nad głową, wtedy przyznaję się otwarcie, nie chciałbym za nic powrócić... nawet w ramiona ukochanej. Czułem, że miłości mogę się tylko wtedy stać godnym, gdy tam przy boku towarzyszków i braci wypełnię powinność swoją. Że idziemy po laury zwyciężkie, o tem nie wąpiliśmy ani na chwilę, bo i któż wiedział o tych przeklętych iglicówkach? One to jedynie stały się przyczyną klęski naszej, a powiadam wam, że były w nasze szeregi jak grad. Mieliśmy także złych dowódców... Ten Benedek, zobaczycie, że on teraz będzie stawiony przed sąd wojenny. Nie on, ale my powinniśmy byli zaatakować! Gdybym ja był wodzem naczelnym, to trzymałbym się zawsze zasady: napadać, ciągle atakować, uprzedzać nieprzyjaciela i wkroczyć do jego kraju. Co tu jednakże długo o tem mówić, mnie cesarz nie oddał dowództwa naczelnego, więc też nie na mnie spada wina błędów taktycznych; niech tam się sobie generalowie obliczają z wodzem i sumieniem swoim, my oficerowie i żołnierze nasi spełniliśmy powinność i gdy nam powiedziano: bić się, tośmy się bili. Osobliwsze to doprawdy uczucie! Już samo oczekiwanie, samo naprężenie aż do chwili, gdy doleci uszu naszych okrzyk. „Naprzód!”, już to uczucie, że właśnie teraz rozgrywa się kawałek historii dziejowej, wlewa dziwny zapał. Człowiek dumnym się staje, cieszy się z własnej odwagi swojej, wokoło kroczy wielką tajemnicą otoczona śmierć, a my drwimy z niej sobie...

— Zupełnie tak samo mówił Gotfryd Tessow — rzekł do siebie Fryderyk i dokończył cicho: — ha! wszak z jednej oni szkoły.

Konrad nie zauważył tego i mówił dalej z zapalem:

— Serce uderza silniej, krew żwawiej krąży, budzi się ochota do walki... a to się nazywa dopiero właściwym zapalem. Wściekłość opanowyywa, nienawiść dla wroga, a zarazem najgorętsza miłość dla zagrożonego kraju; z prawdziwą rozkoszą napadasz, rąbiasz! Czujemy się przeniesieni w świat odmienny od tego, w którym wzrosliśmy, w świat, w którym wrodzone nam uczucia i zapatrywania przeistaczają się—życie staje się fraszką, morderstwo obowiązkiem. Pozostaje nam jedynie honor, bohaterstwo i najwznioślejsze poświęcenie; inne pojęcia giną w tym zamęcie. Dodajcie jeszcze dym prochu, okrzyki wojenne... mówię wam, jest to uczucie, nie dające się porównać z żadnym innym. Chyba podczas polowania na lwy i tygrysy może nas ogarnąć zapal podobny!

— Masz rację — przerwał Fryderyk — walka z nieprzyjacielem, grożąca nam śmiercią, gorąco upragnione, dumne uczucie pokonania go, napelnia człowieka swego rodzaju rozpustą, każdy bowiem dług, splecony naturze, choćby przyjęcie dziecka na świat, poprzedza rozkosz. Człowiekowi walka rozkoszą była, dopóki groziły mu wrogowie dzicy, czworonożni, czy dwunożni, jeżeli też nam, ludziom cywilizowanym, wojna czasami sprawia taką samą rozkosz, jest to tylko reminiscencją odziedziczoną po przodkach. W Europie niema dzisiaj ani dzikich ludzi, ani zwierząt drapieżnych, ażeby przeto nie pozbawiać się owej rozkoszy, tworzymy sobie sztucznych napastników. Mówi się nam wtedy zazwyczaj mniej więcej w ten sposób: Wy macie mundury niebieskie, a tamci czerwone; skoro nastąpi trzykrotne kłaśnięcie w ręce, wyobraźcie sobie, że te mundury czerwone, to tygrysy; u nich znów powiedzą, że mundury niebieskie to są również bestye dzikie. A teraz bacność! raz, dwa i trzy, trąby dają znak do ataku, bębny warczą — pożyjcie się zatem!

Kiedy zaś dziesięć, lub wobec większej liczby wojska, sto tysięcy takich tygrysów sztucznych wśród rozkosznego wycia pożarło się nawzajem pod jakąś wioską X., to już miejsce to stało się historyczne; ci, którzy klaskali w dłonie, zbiorą się następnie i zasiadą przy zielonym stole kongresowym, biorą przed siebie mapę, oznaczają granicę nową, targują się o wysokość kontrybucyi, podpisują dokument, który znów w historyi figurować będzie jako pokój i... znów trzykrotnie klaszczą w dłonie, a do pozostałych niebieskich i czerwonych mundurów powiadają: „Padnijcie sobie teraz w ramiona, przecież wy jesteście sobie braćmi!”

* * *

W okolicy wszędzie zakwaterowali się Prusacy i kolej przyszła także na Grumitz. Pomimo, że nastąpiło już zawieszenie broni i pokój prawie był pewny, ludność niedowierzała Prusakom i ogólna rozpostarła się panika. Nie tak łatwo było wybić z głowy ludziom przekonanie, że te „tygrysy w pikelhaubach” rozszarpia ich na kawały; trzy nikolsburskie kłaśnięcia w dłoń nie wystarczyły, ażeby ludność wojska padała Prusakom w ramiona, jako braciom swoim. Z imieniem nieprzyjacielskiego zastępu łączy się w czasie wojny cały szereg nienawistnych pojęć; nie jest to już nazwa pospolita pokonanego chwilowo narodu, lecz synonim „wroga” i wyraża całą odrazę zawartą w tem słowie.

Więc też ludność okoliczna jak wilków obawiała się pruskich kwatermistrzów, szukających pomieszczenia dla swych oddziałów. Niektórzy prócz obawy ujawniali nienawiść, sądzili, że spełniają obowiązki patriotyczny, dokuczając Prusakom, strzelając z ukrycia na wroga. Podobne wypadki zdarzały się dość często, a schwytany winowajca bywał bez ceremonii sądzony i rozstrzelany. Przykłady sprawiły, że ludzie, tłumiąc w sercu nienawiść, przyjmowali

kwaterunek bez oporu. Potem dopiero zauważyli z niemałym zdumieniem, że ci wrogowie to ludzie dobrodusznisi, uprzejmi i rzetelnie uiszczający należną zapłatę.

Pewnego poranku, było to w pierwszych dniach sierpnia, siedziałam w pokoju bibliotecznym i patrzyłam przez okno otwarte. Z okna tego rozpościerał się widok na całą okolicę. Nagle ujrzałam punkt zrazu mały, który rósł w oczach i zdawał się przybliżać ku nam. Sięgnęłam po lunetę, na szczęście stojącą we framudze, i przez myśl przebiegło mi, że zbliża się kwaterunek pruski. Po chwili przez lunetę mogłam już mniej więcej dokładnie rozróżnić, że drogą ku Grumitz ciągnie około dziesięciu jeźdźców z lancami, zaopatrzonemi w czarno-białe chorągiewki. Pomiędzy nimi szedł ktoś pieszo w ubraniu myśliwskim. Dlaczego idzie on pieszo pomiędzy końmi?... Czyżby to był jeńiec? Szkła lunety naszej nie były na tyle silne, ażebym rozpoznać mogła postać jeńca. Czyżby to był nasz leśniczy?

Wybiegłam natychmiast z pokoju bibliotecznego, ażeby ojca i ciotkę Maryę o tem, co widziałam, zawiadomić.

— Prusacy idą, Prusacy idą! — krzyknęłam, prawie bez tchu wpadając do salonu, człowiek bowiem ma w naturze, że chciałby zawsze pierwszy oznajmić drugim ważną wiadomość.

— Pal ich dyabli! — rzekł niezbyt uprzejmie mój ojciec, ciotka Marya natomiast wstała od razu i zawołała:

— Muszę natychmiast wydać rozkazy odpowiednie.

— A gdzież Otto? — zapytałam — trzeba go o wszystkim zawiadomić i przestrzedz, ażeby ząnadto nie błyskał nienawiścią swoją do Prusaków i ażeby dla gości nie był niegrzecznym.

— Ottona niema w domu — odparł ojciec — wyszedł od samego rana zapolować na kuropatwy.

Trzeba ci było widzieć, jak ten chłopak zgrabnie wyglądał w ubraniu myśliwskim; dzielny to młodzieniec, z tego jeszcze wielką będę miał pociechę.

Kiedy ojciec domawiał tych słów, w domu zrobił się ruch, słychać było szybkie kroki i głosy podniecone.

— Idą już te... lajdaki — westchnął mój ojciec.

Otwarto drzwi, wpadł do pokoju kamerdyner nasz Franciszek i krzyknął głosem, jak gdyby chciał zawołać: „gore, gore:“

— Prusacy! Prusacy!

— Przecież nas nie zjedzą — mruknął ojciec gniewnie.

— Przyprowadzili oni z sobą jakiegoś więźnia — mówił Franciszek dalej głosem drżącym — powiadają, że ten człowiek strzelił do nich, nie wiem, kto taki, ale podobno ktoś z Grumitz. Każdy z nas chętnie wystrzelałby ich jak kaczki, ale ten biedak, którego schwycili, napewno już stracony.

Rozległ się tętent kopyt końskich, wyszliśmy na korytarz i spojrzeli przez okno na dziedziniec. W tej chwili właśnie wjeżdżali ułani, a wśród nich z zaspioną bladą twarzą postępował — mój brat, Otto.

Serce zamarło we mnie, widok bowiem brata jako jeńca przejął wszystkich nas zgrozą. Jeżeli Otto rzeczywiście strzelał do Prusaków, a po nim można się było łatwo tego spodziewać, to...

Nie śmiałam nawet pomyśleć do końca.

Nie wystarczyło mi odwagi, ażeby pośpieszyć za ojcem, pociechy i pomocy we wszelkich troskach szukałam zawsze u Fryderyka, więc do jego pokoju się udałam. Zanim tam doszłam, powrócił ojciec, prowadząc za sobą Ottona; twarze ich zapowiadały, że niebezpieczeństwo minęło.

Sledztwo wykazało, że strzał był wypadkowy, gdy ułani nadjeżdżali. Otto chciał ich zbliżka zobaczyć, biegnąc jednak przez pole, potknął się i upadł przy rowie około szosy, a wtedy broń jego wypaliła.

Ułani przyjęli zrazu z powątpiewaniem tłumaczenie młodego myśliwca, wzięli go między siebie i wprowadzili jako przestępcę do zamku. Kiedy się jednak pokazało, że ów młodzieniec był synem generała Althausa, wychowawcą szkoły wojennej, zawierzili jego usprawiedliwieniu. „Syn żołnierza i w przyszłości także żołnierza, tylko w uczciwym boju może strzelać do nieprzyjaciół, lecz nie dopuści się czynu zbójckiego podczas zawieszenia broni.“ Polegając na tych słowach mego ojca, oficer pruski uwolnił zapaleńca.

— Czy doprawdy nic nie zawiniłeś? — spytałam się Ottona. — Znając nienawiść twoją do Prusaków, nie dziwiłabym się, gdybyś...

Gestem temu zaprzeczył.

— Spodziewam się — rzekł — że znajdę w życiu dość sposobności, ażeby choć kilku z nich w inny sposób zastrzelić, nie z ukrycia, tylko nadstawiając pierś własną na ich kule.

— Dobrze, mój chłopcze! — zawołał ojciec, zachwycony słowami syna.

Nie podzielałam tego zachwyty, frazesy, w których się tak lekceważąco i pyszałkowato pomiała własnym i cudzym życiem, brzmia dla mnie zawsze wstrętnie. Serdecznie się jednak ucieszyłam z takiego zakończenia sprawy. Jakieżby to było okropne dla mego biednego ojca, gdyby ci ludzie ukarali mniemanego zbrodniarza! Nieszczęsna wojna, która do tychczas oszczędzała rodzinę naszą, byłaby sprowadziła na nią straszną żałobę...

Oddział pruski przybywał istotnie, aby zapowiedzieć kwaterunek. Zamek Grumitz miał ugościć dwóch pułkowników i sześciu oficerów armii pruskiej; żołnierze mieli znaleźć pomieszczenie we wsi. Postawiono wartę na dziedzińcu zamkowym. W parę godzin po kwatremistrzach wprowadzili się do nas nieproszeni wprawdzie przez nas, ale też i nie z własnej woli przybyli goście. Już od kilku dni przygo-

towani byliśmy na to, pani Valter przysposobiła pokoje gościnne i łóżka, kucharz sprowadził dostateczne zapasy prowizyi, w piwnicy znajdowała się spora ilość pełnych gąsiorków i omszałych butelek, na niczem nie miało zbywać u nas gościom, choć niemiłym i nieproszonym.

* * *

Gdy na odgłos dzwonka obiadowego towarzystwo zamkowe zebrało się w salonie, ułożył się tam obraz bardzo malowniczy i powabny. Wszyscy panowie byli w mundurach, nie wyłączając ministra „Bądź co bądź“, który był wtedy naszym gościem; panie w strojnych sukniach. Ja z siostrami i przyjaciółkami, łaskawie u nas przebywającymi, wystroiłyśmy się starannie, szczególniejsze Laura, która dlatego tylko się zjawiła, że dowiedziała się o przybyciu do nas pruskich oficerów. Wydostała teraz najpiękniejszą toaletę i przyozdobiła ją świeżymi różami; Lili, szczęśliwa narzeczona, miała suknię niebieską; Róża, rada z tego widocznie, że może się znów ukazać młodym gościom, osłoniła się w różowe muśliny, ja tylko jedyna, uważając wojnę za wypadek godzien żałoby, przywdziałam suknię czarną.

Przypominam sobie jeszcze wrażenie, jakiego doznałam, wchodząc wówczas do salonu, gdzie już wszyscy byli zebrani. Wesołość, zbytek, strojność, jakaż to rażąca sprzeczność z obrazem nieszczęść, okropności, które niedawno temu widziałam? A ci świetni, weseli, wytworni żołnierze do krwawego dzieła ręce przykładali...

Wejście moje przerwało rozmowę, „etykieta“ nakazywała odbyć ceremonię powitania. Usłyszałam same nazwiska arystokratyczne, sama szlachta, jednym zaś był nawet książę Henryk, ale nie wiem który—Reuss.

Więc to byli nasi wrogowie! Ludzie wykształceni, o najwytworniejszych formach towarzyskich...

Prowadząc dziś wojnę z którymkolwiek narodem sąsiednim, nie mamy do czynienia z Hunnami, ani z Wandalami, a jednak wolelibyśmy przedstawiać sobie nieprzyjaciół w postaci dzikich hord; kosztuje to nas niemało, gdy musimy uznawać ich za równe sobie ucywilizowane istoty.

Takie mniej więcej myśli przesuwają mi się po głowie, gdy zasiedliśmy przy stole, ozdobionym obficie kwiatami i koszami owoców. Na rozkaz gospodarza domu wydobyto srebra z ukrycia. Siedziałam pomiędzy poważnym pułkownikiem i młodym zgrabnym porucznikiem, Lili obok narzeczonego, Różę poprowadził do stołu książę Henryk. Laurze powiodło się znów zdobyć towarzystwo Fryderyka. Czyżbym była zazdrosną? O! nie! On był mój, tylko mój, najbardziej mój.

Mówiono wiele i bardzo wesoło. Prusacy musieli być zadowoleni, gdy po tylu przebytych trudach i niewygodach znaleźli się wreszcie przy suto zastawionym stole, w wytwornym towarzystwie; świadomość odniesionego zwycięstwa przyczyniła się do podniecenia ich humoru. Lecz i my, zwyciężeni, nie okazywaliśmy ani zawziętości, ani zawstydzienia i z wielką uprzejmością odgrywaliśmy rolę gospodarzy. Znając zapatrywania ojca mego, sądzę, że musiał zadawać sobie nieco przymusu, lecz był dla wszystkich wzorowo uprzejmym. Najbardziej zgnębionym był Otto! Nienawiść swoją dla Prusaków, pragnienie wypędzenia ich z kraju musiał ukrywać — zamiast rąbać nieprzyjaciela pałaszem, musiał mu sól i pieprz podawać. Temat wojenny starannie w rozmowie pomijano; traktowaliśmy przybyszów, jakby podróżnych, wypadkiem zabłąkanych w okolicę naszą, oni także unikali troskliwie wszystkiego, co mogło przypomnieć, że przybyli tu jako zwycięzcy nasi. Porucznik starał się nawet zająć mnie swą osobą, przysięgał na honor, że nigdzie nie jest tak dobrze, jak w Austrii, upewniał, że tu również znajdu-

je się najwięcej rozumnych kobiet. Przyznaję, że kietowałam trochę młodego porucznika, chciałam bowiem pokazać Laurze i jej sąsiadowi, że i ja, gdybym chciała, mogłabym mieć adoratorów. Fryderyka nie obeszło to wcale, śnać czuł, że na dnie serca równie jestem zimną dla sąsiada, jak on dla sąsiadki.

Konrad i Lili, korzystając z przywileju narzeczonych, zamieniali czule spojrzenia, szeptali, trącali się kieliszkami i wykonywali przeróżne, tym podobne manewry; ale rozwijała się jeszcze, jak mi się zdawało i trzecia *flirtacya*. Niemiecki książę Henryk rozmawiał bardzo żywo z siostrzyczką swoją, Różą, a na twarz jego malowało się uwielbienie.

Po obiedzie wróciliśmy do salonu, gdzie zapalony żyrandol rzucał jasne blaski.

Drzwi na taras były otwarte; łagodne światło księżyca przemykało się po ciemnych drzew opo-
nach... Wysunęłam się z pokoju i mimowoli przyszło mi na myśl pytanie: czy te same promienie, które teraz kwiaty całują, oświeślały powykrzywiane zwłoki trupów i rany nieszczęśliwych na śmierć skazanych...

Po chwili wyszli na taras książę Henryk i Róża; nie spostrzegli mnie i minęli, Wsparłszy się o poręcz balustrady, stali bardzo blisko jedno obok drugiego. Młody Prusak, wróg nasz, trzymał rękę mej siostry w swej dłoni, a chociaż mówili cicho, to jednak niektóre wyrazy dochodziły do ucha mego:

— O pani... nie wiem, ale miłość raptowna... tęsknota za domowem ogniskiem... kości rzucone — z li-
tości chociażby, niechaj pani nie odpowie „nie“, czyżbym był wstrętny?

Róża wstrząsnęła głową na znak przeczenia, ona podniósł rękę jej do ust swoich, opasał ją ramieniem, a ona wyrwała się — (naturalnie! dobrze wychowana panna).

Po obrazach nienawiści i gorzkiej niedoli, na

które napatrzyłam się niedawno, widok miłości wydał mi się niejako zadośćuczynieniem.

— Ach, to ty, Marto! — zawołała Róża.

Teraz dopiero zauważyła czyjaś obecność i przerażała się zrazu, ale odetchnęła swobodniej, przekonawszy się, że to ja byłam.

Książę był w najwyższym stopniu zmieszany i przerażony; zbliżył się do mnie, mówiąc:

— Łaskawa pani, oświadczyłem się właśnie jej siostrze, zechciej, proszę, poprzeć mnie słówkiem! Krok mój wyda się obu paniom pewnie zbyt pośpiesznym i śmiałym... W innym czasie postąpiłbym może rozważniej, ale teraz przywykłem prędko i śmiało iść naprzód, nie wolno nam wahać się i ociągać... A to, czego nauczyłem się na wojnie, stosuję mimo woli i w miłości... Wybacz mi pani i bądź łaskawą na mnie. Milczysz, pani! Czyż odmawiasz mi swej ręki?

— Siostra moja nie może przecież tak nagle rozstrzygać o swym losie — odpowiedziałam w zastępstwie Róży, która z odwróconą głową stała silnie wzruszona — nie można przytem wiedzieć, czy ojciec zezwoli na małżeństwo z „nieprzyjacielem“, czy Róża odwzajemni tę nagłą miłość — któż to dziś może przewidzieć?

— Ja dzisiaj już przewiduję, że odpłacę gorącą miłością — odrzekła Róża i podała rękę swoją młodzieńcowi, on zaś tę rękę przytulił do serca.

— O wy, dzieci, błazenkowie! — zawołałam, śmiejąc się i cofnęłam się do drzwi salonu, jak gdybym stała na straży, ażeby nie wszedł w tej chwili nikt niepowołany.

* * *

Zaręczyny uroczyście odbyły się nazajutrz.

Ojciec nie stawiał oporu. Sądziłam, że nienawieść jego do Prusaków przemoże i że nie zechce przyjąć do rodziny nieprzyjaciela i zwycięzcy, ale

czy dlatego, że spraw osobistych nie łączył ze sprawami narodowymi — (bardzo wygodna zasada: nienawidzę narodu, ale kocham indywidua pojedyncze; słyszy się to bardzo często chociaż wyrażenie takie jest równie bezsensowne, jak gdyby kto powiedział: „nienawidzę butelki wina, ale po kieliszku gotów jestem wypić beczkę“), czy też, że związek z księęcym domem Reuss pochlebiał jego dumie, czy wreszcie dlatego, że go wzruszyła tak gwałtowna miłość młodych, dość, że nawet chętnie dał swe przyzwolenie. Mniej chętnie godziła się z tą myślą ciotka; najbardziej wszakże rozżalony był Otto: „Czyż chcecie — mówił — żebym w razie wojny szwagra swego z kraju wypędzał?“ — lecz wytłumaczono mu zręcznie różnicę pomiędzy narodem a jednostką i ku największemu memu zdziwieniu, zrozumiał to zapytywanie. Szczęśliwy, bo ja nigdy tego nie zdołam objąć rozumem.

Jakże łatwo i prędko w chwilach radości zapomina się o niedoli! Dwie pary zakochanych, nawet trzy, bo i my z Fryderykiem, choć małżonkowie, niemniej byliśmy zakochani — tyle par kochających wpłynęło, że w małym kółku zapanował humor wyborny. Zamek Grumitz przez dni kilka rozbrzmiewał radością i weselem.

Powoli nikły z pamięci mej wspomnienia strasznych obrazów minionych tygodni; spostrzegłam też z pewnym wyrzutem sumienia, że chwilami rozwiewało się zupełnie moje, do niedawna tak gorące jeszcze, współczucie dla nieszczęść, spowodowanych przez wojnę. Tymczasem zewsząd dochodziły nas smutne wieści i narzekania tych, co przez wojnę utracili mienie lub drogie sercu istoty; zapowiedzi grożących przesileni finansowych i wiadomość o pojawieniu się zarazy. Mówiono, że cholera, która wszczęła się w wojsku pruskim, rozchodziła się po całym kraju, nawet już u nas, we wsi, zaznaczono wypadek śmierci, wywołanej przez tę straszną cho-

robę. Pocieszano się, że to choleryna, pojawiająca się rok rocznie podczas lata, ale rozsądniejsi znacząco poruszali głowami.

* * *

Po kilku dniach zaległa znów cisza w Grumitz; oficerowie, zakwaterowani na czas pewien, musieli nas opuścić, Konrada zawieziano do pułku, Laura Griesbach z ministrem „Bądźcobądź” wyruszyli wcześniej jeszcze.

Zaślubiny sióstr moich odłożono do października i postanowiono, ażeby ślub odbył się równocześnie w Grumitz. Księżę Henryk chciał opuścić służbę, co łatwo i przyjemnie było mu teraz wykonać po tak świetnem ukończeniu wojny i zdobyciu orderów i awansu. Teraz mógł spokojnie odpocząć na laurach w wiejskich swoich posiadłościach. Chwila pożegnania, jak zwykle dla par zakochanych, była bolesną, ale i radosną zarazem. Przrzeczono sobie pisywać codziennie, nadzieja zaś szczęścia blizkiego czyniła niebolesną chwilę rozłączenia.

Nadzieja szczęścia?... Czyż istnieje ona kiedykolwiek, ta nadzieja?... Nigdy jej niema, a już najmniej w czasach wojennych, bo wtedy nieszczęście krąży nad głowami naszymi, jak roje szarańczy w powietrzu, i nadzieja, że człowiek utrzyma się na lince rzuconej, bardzo bywa małą.

Niby to mówiono, że wojna skończona i że pokój zawarty, ale jedno słowo wystarcza wtedy, ażeby z nową siłą z pęt wyrwały się wszelkie okropności. Jedno słowo może sprawić nieszczęście w takich razach, ale to jedno słowo niema siły oddalić nieszczęścia, przerywa się tylko na chwilę nic nienawiści, ale nienawiść sama trwa ciągle, ziarno dla następnych wojen padło na glebę, owoce zaś przychodzą po skończeniu kampanii. Owocem z tego ziarna wybujał jest nędza, rozwydrzenie obyczajów, zaraza. Teraz nie można było już przeczyć, ani udawać, że

się nie myśli o niczem, faktem bowiem było, że cholera panuje w kraju.

Było to pewnego wczesnego poranku, dnia 8-go sierpnia. Siedzieliśmy na werendzie przy pierwszym śniadaniu i czytali nadeszłe przed chwilą gazety i listy; obiedwie narzeczzone naturalnie rzuciły się na listy miłosne od swoich lubych, ja przeglądałam dzienniki wiedeńskie, w których, pomiędzy innemi taką wyczytałam wiadomość:

„Wypadki śmiertelne z powodu cholery mnożą się w sposób zatrważający; sygnalizowano już wielką liczbę zastabnień nie tylko w szpitalach wojskowych, ale także w cywilnych. Lekarze określają ją bezwarunkowo jako *cholera azyatycką*, przedsięwzięto też wszędzie jak najenergiczniejsze kroki, ażeby nie dopuścić do rozszerzenia się epidemii.”

Chciałam już ustęp ten przeczytać głośno, gdy ciotka Marya po otrzymaniu listu od przyjaciółki swej, a naszej najbliższej sąsiadki, krzyknęła przerażona:

— Ależ to straszne! Betti pisze mi właśnie, że w ich domu dwie osoby umarły na cholera, a teraz nawet mąż jej zachorował.

— Proszę ekselencyi! przyszedł nauczyciel i chce się widzieć z ekselencyą — zameldował kamerdyner, nie zdążył jednak dopowiedzieć słów swoich, gdy tuż za nim wszedł człowiek, którego zaanonsowano, a który wyglądał blade i pomieszanie.

— Przyszedłem najpokorniej zameldować panu hrabiemu, że muszę dzisiaj zamknąć szkołę. Wczoraj zachorowało dwoje dzieci, a dzisiaj zmarły.

— Czy na cholera? — zawołaliśmy wszyscy razem.

— Tak sędzę, niema się bowiem czego łudzić i trzeba prawdę nazwać po imieniu. Tak zwana dyarya, na którą zapadło dwudziestu żołnierzy z tych, którzy w Grumitz się zakwaterowali, nie była niczem innem, jeno cholera. We wsi panuje wielkie przeraże-

nie, doktor bowiem zawezwany oświadczył, że cholera wybuchnęła w Grumitz.

W tej chwili uszu naszych doleciał odgłos dzwonów.

— Co to znaczy?—zapytałam.

— To dzwon po umarłych, pani baronowo—odparł nauczyciel—musiał znów ktoś umrzeć... doktor opowiadał nam, że w mieście dzwony nie milkną ani na chwilę.

Spojrzelśmy wszyscy po sobie, na twarzach była bladość, a usta milczały. I oto znów śmierć wystąpiła w całej swojej grozie, a każde z nas czuło, że ona zimne wyciąga ramiona po naszych najdroższych.

— Uciekajmy, uciekajmy ztąd jak najprędzej!—zawołała ciotka Marya.

— Dokąd tu uciekać—odparł nauczyciel—kiedy zło wszędzie się już rozszerzyło.

— Uciekajmy daleko, za granicę...

— Tam zaprowadzono już kordon sanitarny, przez który nikt się nie przedostanie.

— To byłoby straszne! przecież nie można zabezpieczyć ludziom, ażeby mogli opuścić ziemię kraju nawiedzonego.

— A jednak tak być musi, zdrowe bowiem okolice muszą być broniące przed wprowadzeniem zarazy.

— Cóż więc począć, co począć?—wołała ciotka Marya, łamiąc sobie ręce.

— Odczekać, co Bóg nam przeznaczy—odparł ojciec mój, wzdychając ciężko, i dodał:

— Nie rozumiem cię zupełnie, moja Maryo, z kąd ta ucieczka tobie, która zawsze byłaś tak głęboko wierzącą. Sama mawiasz zwykle, że śmierć dosięgnie każdego tam, gdzie mu jest przeznaczona. W każdym razie wołałbym, gdybyście wy, dzieci moje, mogły wyjechać, a tymczasem ty, Ottonie, pamiętaj, ażebyś mi odtąd ani tknął się żadnego owocu.

— Co do mnie—wtrącił Fryderyk—zatelegrafuję natychmiast do Bressera, ażeby nam przysłał środki dezynfekcyjne...

Co później się stało, tego nie mogłabym już dzisiaj opowiedzieć ze wszelkimi szczegółami, ostatnim bowiem epizodem, jaki zapisałam na kartkach czerwonego kajeciku mojego, było właśnie to pamiętne śniadanie. Z pamięci jednak mogę uzupełnić wypadki dni następnych. Trwoga opanowała nas wszystkich, któżby bowiem podczas zarazy nie drżał o swoich najbliższych? Nad głową każdego wisiał miecz Damoklesa, czyż więc nie mogła rodzić się w sercu trwoga na myśl, że może samemu przyjdzie umrzeć tak strasznie, tak bezpożytecznie dla świata?

Uciekać, uciekać, choćby tylko, ażeby w bezpieczne schronienie oddać Rudolfa.

Ojciec, pomimo całego swego fatalizmu, był za ucieczką, następnego też dnia miała wyruszyć rodzina cała, jeden tylko ojciec chciał pozostać na miejscu, ażeby w chwili niebezpieczeństwa nie opuszczać służ i domowników swoich. Fryderyk w sposób jak najbardziej stanowczy oświadczył, że i on pozostanie, co wpłynęło, że i ja taki sam powiedziałam zamiar, nie chciałam bowiem odłączać się dobrowolnie od jego boku. Ciotka Marya z dziewczętami, Ottonem i Rudolfem miały wyjechać jak najprędzej. Nie wiedzianno jeszcze dokąd, ale postanowiono uciec jak najdalej, a więc na razie do Węgier. Obiedwie narzeczone dopomagały pilnie w pakowaniu rzeczy, straszną bowiem wydawała im się śmierć wtedy, gdy przyszłość najbliższa miała spełnić najgorętsze życzenia ich serc. Umrzeć w takich chwilach, gdy stokrotną odczuwa się radość z życia—znaczyło to umierać sto razy.

Kufry zniesiono do stołowego pokoju, ażeby przy pomocy wszystkich osób jak najprędzej ukończyć roboty przygotowawcze; ja własną ręką przyniosłam ubranka i bieliznę Rudolfa.

— Dlaczego nie kazałaś tego przynieść służącej swojej? — zapytał mnie ojciec.

— Nie wiem, gdzie się ta Netti podziewa; dzwoniłam kilkakrotnie, ale ona nie nadchodzi, wolałam więc sama zrobić to dla szybkości.

— Psujesz służbę — zawołał ojciec gniewnie i natychmiast wydał rozkaz kamerdynerowi, ażeby dziewczynę odszukał i przyprowadził do pomocy.

Po dość długiej chwili powrócił kamerdyner blady i pomieszany.

— Netti leży w pokoiku swoim... ona jest... ona ma... ona jest...

— Cóż u licha, nie umiesz mówić? — krzyknął ojciec — co ona jest?...

— Ona jest... już... zupełnie czarna.

Ze wszystkich piersi wyrwał się naraz okrzyk. Stało się! To widmo groźne pojawiło się w domu naszym.

Co teraz począć? Czy pozwolić tej biednej dziewczynie umrzeć bez pomocy? A jednak ktoby się do niej zbliżył, poszedłby po śmierć niechybną i to nie tylko śmierć własną, ale i tych, do którychby się później przybliżył. Ach! bo dom taki, w którym wybuchnęła zaraza, gorszy jest, aniżeli dom opadnięty przez zbójów, lepiej widzieć go w ogniu, aniżeli wtedy, gdy ze wszystkich kątów i na każdym kroku czyha na ciebie śmierć...

— Biegnij natychmiast po doktora — rozkazał ojciec — wy zaś, dzieci, przyspieszajcie wasz wyjazd.

— Doktor przed godziną odjechał do miasta — odparł kamerdyner.

— O Boże! niedobrze mi — zawołała Lili, która zbladła, wargi jej zsiniały i kurczowo schwyciła się poręczy krzesła.

Przyskoczyliśmy do niej.

— Co ci się stało?... nie bądź dziecinna... to tylko strach zbyteczny...

Niestety! nie był to strach, nie ulegało już za-

dnej wątpliwości, co się stało i nieszczęśliwą musieliśmy zanieść do jej pokoju, gdzie schwyciły ją natychmiast wymioty i okazały się inne symptomy, świadczące, że drugi to już był wypadek cholery w pałacu naszym.

Okropnie było patrzeć na jej cierpienia, a tu żadnego doktora! Jeden tylko Fryderyk nie stracił przytomności i zalecał środki, jakie były pod ręką, a więc gorące okłady, gorczycę na żołądek i nogi, do łykania kawałki lodu i szampana, ale wszystkie te środki lekkie, wystarczające przy lekkim zasnieniu, nie zdały się tym razem na nic. To tylko tworzyło Lili ulgę, że widziała nasze wysiłki. Gdy przeszły pierwsze ataki, biedną schwyciły kurcze tak straszne, że słyhać było trzeszczenie kości. Chciała jęczeć, ale głos odmawiał posłuszeństwa... ciało zaczęło się robić niebieskawe, wreszcie zimne, oddech zamarł w piersi.

Ojciec biegał po pokoju załamując ręce, wreszcie przystanął, a ja zbliżyłam się wtedy do niego:

— To *wajna* sprawiła, ojcie — rzekłam — czyż i teraz jeszcze jej nie przeklniesz?

Odtrącił mnie zlekka i nie dał żadnej odpowiedzi.

Po dziesięciu godzinach męczarni Lili skoła — Netti, służąca moja, poprzedziła ją o kilka godzin — tej biedaczki nie doglądał nikt w samotnym pokoju, my zajęci byliśmy siostrą, służba zaś nie śmiała się zbliżyć do tej „zupełnie już czarnej“ istoty.

.....

W tym czasie nadjechał doktor Bresser, przywiózł on sam żądane telegraficznie lekarstwa. Chciałam mu ręce ucałować za to, że niespodziewany wcale zjawił się wpośród nas, ażeby starym przyjaciółom poświecić usługi swoje. Bresser objął w zarząd główny dom cały, dwa trupy odnieść kazał do

oddalonej komory, zamknął drzwi od pokoiów, w których one umarły, nas zaś samych poddał silnej dezynfekcyi. Mocny zapach karbolu napełnił teraz dom cały i dziś, gdy mnie doleci ten zapach, przebywam nanowu straszne dni ówczesne.

Ucieczka z miejsca zarazy, już uplanowana, musiała po raz drugi uleść zwłóce. Już w dniu następnym stał przed pałacem powóz, mający odwieźć ciotkę Maryę, Różę, Ottona i malca mojego, gdy nagle stangret, schwytany ręką niewidzialnego dusiciela, zmuszony był zejść z kozła.

— W takim razie ja was odwiozę — rzekł ojciec, gdy mu o tem oznajmiono. — Spieszcie się, dzieci, czy już wszystko przygotowane?

Róża podeszła kilka kroków.

— Jedźcie sami — rzekła — ja muszę pozostać... ja... pójdę w ślady Lili.

Dziewczę nie skłamało. O wschodzie słońca tę drugą, szczęśliwą, młodą narzeczoną odniesiono do kostnicy.

Rzecz naturalna, że wśród paniki, spowodowanej tem nowem nieszczęściem, podróż musiała być znów odwleczoną. W sercu mojem, pomimo bólu i pomimo trwogi, wzbierał znów gniew na to olbrzymie przewinienie, które *takie* i to *dobrowolnie* sprowadza za sobą nieszczęścia.

Gdy ciało Róży wynoszono z pokoju, ojciec upadł na kolana i głową bił o mur, a ja znów zbliżyłam się do niego i położywszy mu rękę na ramieniu, rzekłam:

— Ojcie! to wojna!

Żadnej odpowiedzi.

— Czy słyszysz, ojcie? — powtórzyłam — teraz albo nigdy odpowiedz, czy nie przeklinasz wojny?

Podniósł się nagle z ziemi i głowę wznosił do góry.

— Dobrze, iż mi przypomniałeś, inaczej zapomniałbym, że nieszczęścia żołnierz powinien znosić

mężnie... ani ja pierwszy, ani ostatni, cały mój kraj przelewał krew, a teraz łyż roni.

— Czy jednak kraj odniósł jakąś korzyść z tych łyż twoich i z krwi współbraci twoich, ojcie? Co kraj zyskał na bitwach przegranych i na tych dwóch żywotach dziewczęcych? Ojcie, przeklinaj wojnę! patrz...

Pociągnęłam ojca do okna, w tej chwili bowiem właśnie wjechał wóz z trumną czarną na podwórze.

— Patrz, ojcie! ta trumna przeznaczona jest dla naszej Lili, jutro zajędzie taki sam wóz z taką samą trumną dla naszej Róży, pojutrze może sprowadzisz trzecią trumnę i to wszystko dlaczego? po co?

— Dlaczego, po co? choćby dlatego moje dziecko, że taką jest wola Boska?

— Że też każde szaleństwo, każda dzikość obyczajów, każdy gwałt popełniony przez ludzi, zasłanianie zawsze tą tarczą. Bóg nie każe się ludziom mordować.

— Nie bluźnij, Marto, nie bluźnij, zwłaszcza teraz, kiedy karząca dłoń Boska jest tak widomą.

W tej chwili wszedł służący.

— Proszę ekscelencyi, stolarz, który przywiózł trumnę, nie chce jej wnieść do komory, gdzie leżą panny hrabianki, nikt też nie chce się na to odważyć.

— I ty nie, tchórze?

— Ja sam nie poradzę.

— No to ja ci pomogę, chcę sam córkę moja... — i skierował się ku drzwiom.

Chciałam pójść za ojcem, ale krzyknął groźnie.

— Precz, tobie czynić tego nie wolno, ja nie chcę, żebyś ty mi jeszcze umarła... pozostań tu i myśl przedewszystkiem o dziecku swoim.

Zawahałam się... najstraszniejszą rzeczą w takich wypadkach jest to, że się nie wie, gdzie właściwie pociągać powinien nas obowiązek. Serce cią-

gnęło mnie do tych umarłych, ale to samo serce nakazywało nie narażać na niebezpieczeństwo dziecka. Jak na okręcie, który tonie, powinni się wtedy wszyscy zgromadzić na pokładzie i trzymając się za ręce, wołać: „świecie, ty piękny świecie, bądź zdów na zawsze!“ tak my powinniśmy iść razem do grobu. Zaniedbano wszelkich planów ucieczki, rezygnacya opanowała nas wszystkich i nie pytając się już o nic, odwiedzaliśmy chorych i grzebali umarłych. Jedynie takie zachowanie było prawdziwie ludzkie, nie bronił go zaś nam nawet zacny doktor Bresser, którego obecność, energia i niezmordowana praca dodawały nam przynajmniej tej pewności, że okręt nasz tonący ma dzielnego sternika.

Ach! ten tydzień cholery w Grumitz!... Dwa-dzieścia lat minęło od tej chwili, a jeszcze dreszcz mnie przenika, gdy wspomnę owe dni żałobne. Łzy, jęki, sceny rozdzierające serce, woń karbolu, trzeszczenie kości kurczem schwycionych, wstrętne wymioty, dzwon żałobny nieustający ani na chwilę, pogrzeby, albo raczej wsypywanie do ziemi ryczałtowe, bo w takich razach nie może być mowy o pompie pogrzebowej, cały porządek życia zmieniony, żadnych obiadów, bo kucharka umarła, żadnego spania w nocy, wszystko to tkwi mi dotąd w pamięci. A wobec tego jakby dla ironii piekący żar słońca codziennie jasno przyświecające słońce, trele słowików brzmiały i rozlewał się wkoło zapach kwiatów, obojętnych na wszystko.

Spotkałam pewnego dnia grabarza wiejskiego, który powiedział mi, że umarłych we wsi Prusaków pochował na innym miejscu, nie razem z naszymi ludźmi, nie chciał bowiem czynić swoim takiej krzywdy po śmierci. Na drugi dzień ten zawzięty człowiek umarł.

Pocztą przynosiła zewsząd wiadomości o szerzącej się zarazie. Chcąc przygotować Konrada, przesałam mu słów parę: „Lili bardzo chora.“ Nie mógł

przybyć natychmiast—zatrzymywała go służba, przyjechał dopiero na czwarty dzień.

— Lili?—zawołał—prawdaz to?

W drodze dowiedział się już o nieszczęściu swoim.

Nie zaprzeczyliśmy...

Stał milczący i niewzruszony, potem zapytał głośno:

— Gdzie leży? Na cmentarzu? Pójdę do niej... bywajcie zdrowi... ona tam czeka na mnie...

— Pójdę z tobą—zapropomował ktoś z nas.

— Nie, wolę iść sam.

Poszedł i nie zobaczyliśmy go już więcej: zastrzelił się na grobie narzeczonej.

Tak skończył Konrad hrabia Althaus, podpułkownik huzarów, w dwudziestym siódmym roku swego życia.

W innym czasie tragiczność tego wypadku wydałaby się bardziej wzruszającą, lecz wtedy iluż to młodych oficerów sprzątnęła wojna bezpośrednio, tego zaś pośrednio zabrała? Gdyśmy się o tem dowiedzieli, już nowe nieszczęście nas dotknęło i Otto, jedyny ubóstwiany syn mego biednego ojca, padł ofiarą okrutnej śmierci.

Całą noc i dzień cierpiał i nas przejmowały naprzemian nadzieja i zwątpienie... O siódmej skończyło się wszystko.

Ojciec z takim okrzykiem bólesci, że poruszyć mógł był głazy, rzucił się na zwłoki syna i wielki mieliśmy trud, ażeby go odciągnąć od ciała. Do końca życia nie zapomnę, jak oderwany od trupa ojciec poprostu wył, wydawał z siebie nieludzkie prawdziwie głosy, a trwało to godziny całe: „mój syn Otto, moja duma, moje wszystko!“ Nic więcej nie przechodziło przez gardło starego człowieka, oprócz tych urywanych wyrazów.

Nagle umilkł i opanowała go cicha apatya, nawet na pogrzeb swego ulubionego dziecka nie

chciał pójść, tylko bez czucia leżał na kanapie, na pozór bezprzytomny zupełnie. Bresser kazał ojca rozebrać i położyć do łóżka. Po jakiejś godzinie zdawało nam się, że starzec ożywił się nieco. Ciotka Marya, Fryderyk i ja czuwaliśmy przy jego łóżku, on patrzył na nas czas dłuższy, wreszcie usiadł na łóżku i próbował coś powiedzieć, nie mógł jednak wydobyć z siebie ani słowa; tylko twarz wykrzywiła mu się i ustami chwycić zaczął powietrze. Po chwili schwyciły go kurcze, jak gdyby ostatnie boleści choleryczne, chociaż, rzecz dziwna, żadne inne nie poprzedziły tych kurczów objawy. Nareszcie zdobył się na kilka wyrazów:

— Marto! uklękniij tutaj!

— Ojczy, drogi, biedny mój ojczy!...

On wyciągnął rękę, błogosławiąc

— Niech się spełnią gorące życzenia twoje—mówił z trudem wielkim—niechaj wojny będą prze... ja... je... prze... kli... nam...

Nie mógł już więcej mówić i padł na poduszki.

W tej chwili przybiegł doktor Bresser i na moje tworożne zapytanie odparł:

— Niestety! Nie żyje już, zabił go paraliż serca.

— Najgorsza jednak rzecz—wtrąciła ciotka Marya—że mój brat poszedł w świat lepszy z przekleństwem na ustach.

— Niech się ciocia tem nie martwi—uspakajalam ja.—Gdyby z ust wszystkich ludzi na świecie padały tylko takie przekleństwa, Pan Bóg błogosławiłby musiał ludzkości.

* * *

Jakimże był ten tydzień cholery w Grumitz! W przeciągu siedmiu dni zeszło ze świata dziesięciu mieszkańców pałacu: ojciec, Lili, Róża, Otto, pokojówka moja Netti, kucharka, stangret i dwóch chłop-

ców stajennych, w całej wsi zmarło przeszło osiemdziesiąt osób. Gdy się wylicza te wszystkie imiona, brzmi to sucho jak zwykła notatka statystyczna, ale gdyby w romansie opowiedziano coś podobnego, czytelnik przypisałby to fantazji autorskiej. Tymczasem ani to zimna cyfra, ani bujna imaginacja, jeno smutna wstrząsająca do głębi rzeczywistość.

I nie tylko w Grumitz kosiła śmierć na wszystkie strony, w całej okolicy zapanowała żaloba, apatya i rezygnacya. Zły jest ten świat! O nie! nie jest on taki niegodziwy, nie same jęki i okropności gnieżdżą się na nim, są jeszcze ludzie, którzy umieją kochać i współczuć boleści. Przyszłość powinna stać się dobra królową.

.

Ostatki lata przepędziliśmy w okolicy Genewy, doktor Bresser bowiem zdołał nas przekonać, więc opuściliśmy okolicę dotkniętą zarazą. Opierałam się w pierwszej chwili, nie chciałam opuszczać świeżych grobów rodzinnych, ale zacny lekarz zdołał mnie przekonać, że powinnością macierzyńską jest ochronienie Rudolka od niebezpieczeństwa.

Jeżeli wybraliśmy sobie jako miejsce pobytu Szwajcaryę, to stało się to tylko na życzenie Fryderyka, on bowiem chciał się zapoznać ze znanymi filantropami szwajcarskimi, którzy powoływali obecnie do życia instytucję „Czerwonego Krzyża.“

Prośbę o dymisyę z wojska już doręczył, że jednak formalności w takich razach są długie, więc postarał się o urlop półroczny. Byłam teraz bogata, bardzo bogata, śmierć ojca i trojga rodzeństwa sprawiła, że nie tylko Grumitz było dzisiaj w mojem posiadaniu, ale i cały majątek rodzinny.

Kiedy wracaliśmy od rejeta po objęciu dóbr, rzekłam żartobliwie do Fryderyka:

— I cóżbyś powiedział, gdybym ja wdzięczna była owej wojnie i cholercze?

— Musiałabyś nie być moją Martą! Rozumiem jednak, co chcesz powiedzieć — egoizm i materyalne korzyści znaczą dla ludzi więcej, aniżeli żyć.

Żyliśmy cicho, w odosobnieniu, w małej willi, położonej nad brzegiem malowniczego jeziora. Wszystko, co przeszłam, tak mnie przygnębiło, że nie chciałam wcale obcować z ludźmi, zwłaszcza zaś z nieznanymi mi przedtem. Fryderyk szanował boleść moją i nie próbował wcale leczyć mnie tym banalnym środkiem, który się nazywa „rozerwaniem.“ Wiedział on dobrze, że grobom moich najdroższych muszę spłacić dług miłości wylewanymi codziennie łzami. Nie mogli oni, tak okrutnie zabrani z tego świata, zupełnie obojętnie i szybko zniknąć z serca mego. Fryderyk często bywał w mieście, gdzie zapoznawał się z członkami stowarzyszenia pomocy dla rannych żołnierzy. Nie przypominam sobie dokładnie, jakie były wyniki zachodów, nie prowadziłam wtedy pamiętnika, natomiast zapamiętałam wrażenie, jakie wywarło na mnie usposobienie ogólne, spokój, swoboda, dobry humor u wszystkich, których spotykałam przypadkiem! Zdawało mi się, że żyjemy w najspokojniejszych i najbardziej pokojowych czasach. Echo skończonej niedawno wojny nie rozlegało się tutaj, najwyżej błąkało się tylko wspomnienie ulotne, jak gdyby huk armat na czeskich polach nie miał w sobie większej grozy tragicznej nad akt nowej opery Wagnera. Sprawa sama należała już do historii, wynikiem jej były zmiany graniczne, lecz okropności znikły z pamięci. O wszystkim się zapominało, wszystko przeboleło i zatarło w umyśle. W dziennikach zajmowano się jedynie przygotowującą się na rok 1867 w Paryżu wystawą powszechną, uroczystościami dworskimi w Compiègne, osobistościami literackimi, sprawami teatralnymi, nową operą Gounod'a i t. p. Skandaliczny pojedynek, jaki rozegrał się *là bas en Bôhème* pomiędzy Austrią i Prusami, złożono do archiwum wspomnień.

W połowie października opuściliśmy Szwajcaryę i wrócili do Wiednia, gdzie formalności spadkowe wymagały koniecznie obecności mojej. Po załatwieniu interesów umyśliłszy zamieszkać na czas dłuższy w Paryżu. Fryderyk zamierzał przygotować grunt dla idei „ligi pokoju“ i sądził, że przyszła wystawa najlepszą ku temu da sposobność.

— Porzuciłem szeregi bojowe—mówił—z przekonania, teraz chcę działać, wstępuję w służbę armii pokoju. Zastęp jej nieliczny wprawdzie, a bojownicy nie posiadają innej broni, prócz poczucia sprawiedliwości i miłości bliźniego, ale pociesza mnie, że z rzeczy skomnych i niepozornych z początku wyrastały twory olbrzymie.

— Cóż osiągniesz, walcząc sam jeden przeciw potężnej, tysiące lat liczącej, przez miliony ludzi bronionej warowni?—zapytałam.

— Nie jestem na tyle zarozumiałym, ażebym się spodziewał, iż zdołam sprowadzić jakąś zmianę; powiedziałem tylko, że wstępuję w szeregi armii pokoju. Czyż będąc w wojsku myślałem, że sam jeden obronę ojczyznę, sam zdobędę prowincję tę lub ową? Jednostka może tylko służyć ogółowi i służyć powinna. Kto jest głęboko przejęty słuszością jakiejś sprawy, ten działać powinien, życie poświęcić, chociażby wiedział, że to życie samo przez się do zwycięstwa przyczynić się nie może.

— Masz rację. Kiedy wreszcie staną miliony podobnie energicznych obrońców, runie wiekowa warownia, opuszczona przez swe zastępy.

Z Wiednia odbyłam pielgrzymkę do Grumitz, mojej posiadłości, ale nie wstąpiłam do zamku. Na cmentarzu złożyłam cztery wieńce i odjechałam zaraz.

Po załatwieniu najważniejszych spraw zaproponował mi Fryderyk wycieczkę do Berlina dla odwiedzenia nieszczęśliwej ciotki Kornelii. Zgodziłam się chętnie. Syna na czas nieobecności naszej powierzy-

łam opiece ciotki Maryi. Ostatnie wypadki w Grumitz nadzwyczaj ją przygnębiły; całą miłość, cel życia swego przelała na mego Rudolfa. Sądziłam, że rozzerwie się troszkę i orzeźwi, gdy dziecko u niej zostanie na czas jakiś.

W Pradze zatrzymaliśmy się po wyjeździe naszym z Wiednia i tam przenocowali. Rano przyniesiono numer miejscowej gazety; rzuciłam okiem i spostrzegłam artykuł naczelny pod tytułem: „Dzień Zaduszny.“

— A więc to dzisiaj dzień Zaduszny — rzekł Fryderyk — iluż to biedaków spoczęło na wieki na pobliskich pobojowiskach, a grobów ich nawet dzisiaj, nawet w tym dniu, poświęconym pamięci zmarłych, nie uczi nikt i nikt nie pomodli się, ani ich nie odwieździ.

Patrzyłam przez chwilę na męża, oczy nasze porozumiały się i zapytałam zcicha:

— Czy może chciałbyś...

On skinął głową i w godzinę później byliśmy w drodze ku Königgrätz.

* * *

Königgrätz! Ileż wspomnień smutnych, ile wrażeń, ile łez, ile boleści!

Na pamięć przyszedł mi piękny wiersz Tiedego:

Jakież widok! Ah! tu wam, wielkim tego świata,
Schylić głowy i dumać! Tu, gdzie ludzkie kości
Sterczą z ziemi, a prochy wiatr w polu rozmiata,
Tu przysięgę wam złożyć wszechludów miłości!

Kto ku sławie podąży, niech tu rzuci okiem,
Niech policzy te czaszki, te ludzkie szkielety!
Niechaj głowę swą skłoni w milczeniu głębokiem!
Może do mordu ludów zbraknie mu podniety?...

Sen tych biednych, co tutaj śpią pod tą mogiłą,
Niech się pali w twej głowie, a jęk w uszach świszczy!
Powiedz, władco, czy pragniesz ty mordem i siłą
Przyszły gmach dziejów ludzkich budować wśród zgłiszczy?

Niestety! dla wielu jest to ponętą, zwłaszcza dla tych, którzy spisują historię, budować gmach z ruin i na głowy tyranów narodu nakładać wieńce laurowe. Zrzec się tych wieńców, skwitować ze sławy — byłoby szlachetniej niechybnie, cóż, kiedy tak przykro ludziom byłoby nie otaczać się nimbem zasługi.

Zmierzchało już, gdyśmy dojechali do Chlum, z kąd pod rękę w milczeniu podążaliśmy pieszo na blisko leżące pobojowisko. Mgła gęsta padała, złączona z drobniutkimi płatkami śniegu; nagie gałęzie drzew schylały się pod ostrym podmuchem wiatru; mnóstwo grobów wznosiło się dokoła, a w nich spoczywało mnóstwo nieboszczyków. Nie był to jednak cmentarz; tu nie złożono na wieczny spoczynek strudzonych życiem pielgrzymów; tu przemoc pozbawiła życia dumną nadzieję przyszłości, w pełni młodzieńczego zapału do życia, w pełni sił męzkich.

Nie było pustó na cmentarzu wojennym. Wiele, bardzo wiele osób sprowadził dzień Zaduszny z naszego i z nieprzyjacielskiego kraju, każdy przybywał uklęknąć na miejscu, gdzie polegli ukochani. Pociąg, którym przyjechaliśmy, przywiózł nowych oplakujących — przez kilka godzin słyszałam żalosne skargi dokoła.

Na polu widać było wszędzie, po wszystkich drogach, snujące się czarne postacie, niektóre kłęczące, inne podążały dalej, inne znów z głośnem łkaniem padały na ziemię. Niewiele tu było pojedynczych mogił, kilka zaledwie krzyżów i nagrobków opatrzonych napisami. Schylił się i zdołał o ile nam zmierzch na to pozwolił, wyczytać kilka nazwisk.

„Von Reuss, major z 2-go pułku gwardyi pruskiej.“

— Może jaki krewny narzeczonego biednej Róży? — zauważyłam.

„Hrabia Grünne, ranny 3-go lipca, zmarł 5-go lipca.“

— Ileż musiał wycierpieć w przeciągu tych dwóch dni!... Byłżeby synem tego hrabiego Grünne, który przed rozpoczęciem wojny wyrzekł owe powszechnie znane słowa: „Czapkami zarzucimy Prusaków!”

Idziemy dalej, mgła pada coraz gęściej.

— Fryderyku, włoż kapelusz, zaziębisz się — ostrzegałam.

Fryderyk pozostał z odkrytą głową, a ja nie potworzyłam więcej przestrogi.

Wśród żałobnych postaci, które tu przebywały, znajdowało się wielu oficerów i żołnierzy; widocznie tacy, którzy sami znajdowali się w bitwie pod Königgrätz, a teraz odbywali pielgrzymkę do miejsca, gdzie spoczywali ich towarzysze.

Doszliśmy nareszcie tam, gdzie się największa wznosiła mogiła; w niej przyjaciele i wrogowie spoczywali obok siebie. Miejsce było, jak cmentarz, ogrodzone; tu także najwięcej napływało osób, bo każdy spodziewał się, że najpewniej znajdzie oplakiwanego.

Przy ogrodzeniu klęczeli i łkali osieroceni, zawieszali wieńce i lampki.

Słuszny, wysmukły mężczyzna, o wytwornej, młodzieńczej postaci, w generalskim płaszczu zbliżył się do pagórka. Wszyscy usuwali się z uszanowaniem i usłyszałam szept:

— Cesarz...

Tak jest, był to Franciszek Józef, władca tego państwa, wódz naczelny. Przybył on, ażeby w dzień Zaduszny za zmarłe dzieci ziemi swojej, za tych wojowników, którzy tu polegli dla sławy ojczyzny i cesarza, pomodlić się cicho. I on z głową odkrytą, pochylony wobec majestatu śmierci.

Długo, długo stał tak nieruchomy, a ja nie mogłam oczu od niego oderwać. Jakież tam myśli rodzić się musiały w głowie jego, jakie uczucia przejmować serce, to serce, o którym wiedzieli wszyscy, że jest dobre i miękkie. Zdawało mi się, że odczu-

wam z nim razem i że te same słowa, które usta jego szeptały, na moje także cisną się wargi.

— O moi biedni, dzielni wojacy.... poległście.... i za co? Nawet nie zwyciężyliśmy... Wenecjo moja!.. Stracona... Straciliśmy tak wiele, tak bardzo wiele... Stracone i wasze życie młode... Ponieśliście je w ofierze dla mnie... Gdybym je wam mógł zwrócić! Nie żądałem tej ofiary dla siebie, za was, za kraj wasz szliście na wojnę, drodzy ziomkowie. I nie przeze mnie, choć na mój rozkaz; wszak musiałem go wydać! Nie dla mnie istnieją poddani, o nie! ja dla nich zostałem powołany do tronu... i w każdej chwili gotów jestem umrzeć dla dobra mego narodu... Czyż mogłem pójść za głosem serca i nie wyrzec „tak,” kiedy wszyscy wołali dokoła: „Wojna, wojna!”... Czyż mogłem się oprzeć... Co mnie nagliło, co mnie zmuszało—nie wiem już dziś dobrze; wiem tylko, że to był niezwykły nacisk zewnętrzny, wywierany i przez was... Jakże to smutne! Wycierpieliście tyle, a teraz leżycie tu i na innych pobojowiskach, karta-cze i szable, cholera i tyfus sprzątnęły was... O czemuż nie powiedziałem „nie!”.. Ty prosiłaś mnie przecie o to, Elżbieto!... Trzeba mi było powiedzieć, bo myśl ta prześladowała mnie ciągle... O jakież niedobry jest ten świat... za dużo na nim, za dużo jęków i łez.

Patrzyłam ciągle na postać władcy, a kiedy tych słów domawiałam, on twarz zasłonił obiema rękami i łkał...

Działo się to w dniu Zaduszny 1866 roku na pobojowisku pod Sadową.

Księga piąta.

~~~~~ CZAS POKOJU. ~~~~~

Berlin przedstawił się nam wrzący weselem; każdy szyld sklepowy, każda wystawa były przypomnieniem zwycięstwa, wszystkie usta zdawały się mówić: „Pokonaliśmy przeciwników.“ Jednakże w rodzinach, które odwiedzaliśmy, spotkaliśmy niejedno złamane serce, które na niemieckich polach bitwy poniosło niezapomnianą stratę.

Najwięcej obawiałam się spotkania z ciotką Kornelią. Wiedziałam, że jej piękny Gotfryd był jej bóstwem, jej skarbem, więc mogłam łatwo pojąć, jaki ból straszny przyniósł teraz biedną, osieroconą matkę. Zapowiedzieliśmy naprzód swoją wizytę.

Z bijącym sercem wstępowałam w progi mieszkania pani von Tessow. W przedpokoju już widniała żaloba panująca w domu; służący, który nam drzwi otworzył, miał czarną liberyę, meble w wielkim salonie zasłaniały pokrowce, na kominku nie płonął ogień, a lustra i obrazy pokrywała czarna krepą. Ztąd poprowadzono nas do pokoju sypialnego ciotki, w którym ona oczekiwała nas. Była to obszerna komnata, przedzielona zasłoną, za którą stało łóżko; tu ciotka spędzała dnie. Z pokoju swego prawie nie wychodziła, chyba, ażeby zajrzeć do gabinetu Gotfryda: tam

wszystko pozostało, jak było w dzień jego odjazdu. Nas tam także zaprowadziła i dała przeczytać list jego ostatni:

— Jedyna moja przyjaciółko, kochana matko! Wiem, że po wyjeździe moim zajrzesz do tego pokoju, chcę zatem, ażebyś odnalazła i tę kartkę. Osobiście pożegnaliśmy się już, tem więcej przeto ucieszy może ciebie, gdy znajdziesz jeszcze jeden znak mojej ku Tobie miłości. Idę na wojnę pełen wesela i nadziei. Bądź dobrej myśli, mameczko, wróć do Ciebie, dwóch bowiem serc tak gorąco się kochających jak moje i Twoje, nie rozerwie los zawistny. Przeznaczeniem mojem jest teraz zdobyć krzyże i order, potem wprowadzić pod Twój dach synową i uczynić Cię najszczęśliwszą babką.

Całuję ręce Twoje, o Ty, najlepsza z najlepszych mameczek.

Twój Gotfryd.

U ciotki Kornelli zastaliśmy pastora ewangelickiego, który przychodził pocieszać staruszkę, czynił to jednak w taki sposób, że pomiędzy Fryderykiem a nim powstała dyskusja, w ciągu której jedna strona nie mogła przekonać drugiej. Zachęcony tą dyskusją pastor odwiedzał nas w hotelu, nie wiem jednak, czy pomimo kilkogodzinnych codziennie rozmów zmienił swoje, z jednej strony nacechowane pobożnością, z drugiej zaś zapałem wojennym poglądy.

Z Berlina zawiezowano nas nagle do powrotu, otrzymaliśmy bowiem telegram, że ciotka Marya zachorowała nagle i pragnie nas widzieć koniecznie.

Kiedyśmy przybyli, lekarze już staruszkę odstąpili zupełnie.

— Na mnie teraz kolej — temi słowy nas przywitała — żegnam świat chętnie; odkąd śmierć zabrała mego biednego brata z trojgiem dzieci, nic mnie tu prawie nie wiązało; nie mogłam przyjść do siebie po tym strasznym ciosie... Na tamtym świecie spotkam

się z nimi... Jedno mnie tylko pociesza, że ciebie tu na ziemi zostawiam szczęśliwą. Twój mąż z dwóch wypraw wojennych powrócił zdrów do domu, cholera was ominęła, co wszystko razem świadczy, że przeznaczone jest wam dożyć późnej starości. Pamiętaj teraz Rudolfka wychować na dobrego chrześcianina i dzielnego żołnierza.

Nie chciałam mieć ostatnich chwil życia przeciwieją ciotki, więc też nie zaprzeczyłam jej żądanom.

— Ja tam w niebie ciągle modlić się będę, ażebyście żyli z sobą długo i szczęśliwie.

Pomimo, że siły ją opuszczały, przytomność zachowała do końca i kazała sobie opowiadać szczegóły z naszej podróży. Kiedy też opowiedzieliśmy jej, że w drodze spotkaliśmy księcia Henryka Reuss i od niego dowiedzieliśmy się, że w parku swoim kazał ustawić posąg marmurowy, któryby mu wiecznie przypominał narzeczoną — ciotka uśmiechnęła się łagodnie na ten objaw miłości gorącej.

Na trzeci dzień, z poddaniem i spokojnie zasnęła snem wiecznym — i oto wszyscy moi, wszyscy, wśród których wzrosłam, zeszli z tego świata...

W testamencie naznaczyła spadkobiercą swego majątku Rudolfa, opiekę powierzając ministrowi „Bądźcobądź.”

* * *

Nowy Rok 67!

Wieczór Sylwestrowy spędziliśmy zupełnie sami, Fryderyk i ja; na zegarze wybiła dwunasta.

— Czy przypominasz sobie — rzekłam wtedy — te życzenia, jakie ojciec, w ten sam dzień i o tej samej godzinie, wygłosił rok temu? Nie śmiem życzyć ci szczęścia; przyszłość kryje czasem w swem łonie niespodziewane okropności, a nikt nie zdołał jeszcze im zapobiedz...

— Więc nie patrzmy w przyszłość, lecz prze-

biegnijmy myślą rok ubiegły. Ileś ty wycierpiała, moja biedna żono! Pochowałaś tyle drogich osób... Albo owe straszne chwile pobytu na pobojowiskach czeskich...

— Nie żałuję tych widzianych okropności, mogę teraz całą duszą współdziałać zabiegom twoim.

— Musimy Rudolfa tak wychować, aby podjął następnie to samo zadanie, może dożyje czasu, kiedy wszystkie narody potępia głośno wojnę... Jakież to hałas na ulicy! ludzie witają radośnie rok nowy, niepomni cierpień, jakie im przyniósł również radośnie witany rok ubiegły.

— Nie wymawiaj im tego zapomnienia, Fryderyku. I z mojej pamięci ulatują chwilę cierpień, odczuwam tylko obecnie szczęście. Bo przecież możemy się nazwać szczęśliwą parą; niezależni, bogaci, ileż przyjemności szczerych czeka nas jeszcze w życiu; będziemy podróżowali, poznawali ten świat piękny. Choćby wojna wybuchnęła, nie brałbyś w niej udziału. I Rudolfowi nic nie zagraża, ponieważ nie będzie żołnierzem...

— Jeżeli jednak, jak mówił minister „Bądźcobądź”, każdy obowiązany będzie spełniać powinność wojskową...

— To nie ma sensu! Do tego nie przyjdzie! — zawołałam — teraz podróżujemy, wychowajmy sobie w Rudolfie wzór człowieka i dajmy całą siłą do spełnienia pięknego celu, propagujmy pokój i — i kochajmy się bardzo!

— O ty moja ubóstwiana!... rzekł i przycisnął mnie do siebie, a ja wśród tych pieszczot zapominałam o świecie całym, o wojnie, cholera, dniu Zadusznym i... w dniu 1 października 1867 roku urodziła się nam córeczka, którą nazwaliśmy Sylwią.

Karnawał tegoż roku, jak zwykle, wywołał szereg balów i ucieszył wszelakiego rodzaju, ale nie dla nas było to wszystko, mnie bowiem żaloba powstrzy-

mywała zdaleka. Dziwiło mnie jednakże bardzo to, że całe towarzystwo nie unikało rozrywek; przecież nie było chyba rodziny, któraby nie opłakiwała kogoś z najbliższych. Czyżby pamięć o tych poległych trwała tak krótko? Wprawdzie niektóre domy arystokratyczne nie otworzyły wcale podwoi swoich, pomimo to jednak młodzież miała aż nadto sposobności do tańca, największem zaś powodzeniem cieszyli się ci tancerze, którzy powrócili szczęśliwie z włoskich lub czeskich pól bitwy. W młodym admirałe Tegethofie połowa świata kobiecego była zakochaną, wogóle „Custozza“ i „Lissa“ były to dwa atuty, wygrywane z zapalem podczas wszelkich rozmów. Oprócz tego mówiono dużo o zaprowadzeniu iglicówek i landwery, które jak najpilniej były potrzebne do nowych, przyszłych wielkich zwycięstw. Zwycięstw? Kiedy i nad kim? O tem nie mówiono jeszcze, ale w duszy piastowano chęć odwetu. Jeżeli sami nie moglibyśmy wyruszyć przeciwko Prusakom, to zrobią to za nas inni, podług zaś wszelkiego prawdopodobieństwa Francuzi zawiazali sobie supełek i oni odpłacą za nas. Koła dyplomatyczne nazwały to już terminem: „La revanche de Sadowa.“ Na początku wiosny ukazał się znów na horyzoncie politycznym „punkt czarny“—t. z. „kwestya“, a politycy tworzyli znów konjunktury na swój temat ulubiony: „wojna w powietrzu.“ Tym razem ową „kwestyą“ był Luxemburg.

Luxemburg? Cóż tam takiego ważnego dla świata? Zadawszy sobie takie pytanie, jęłam się studyowania tej sprawy, jak to czyniłam niegdyś, gdy chodziło o Szlezwig i Holsztyn, dotąd bowiem wiedziałam niewiele więcej nad to, że w operetce Soupego występuje „Hrabia Luxemburg“, który „majątek traci, traci, traci...“ Rezultat studyów moich był następujący:

Wskutek traktatów z r. 1814 i 1816 (znakomity wymyślił te traktaty, z nich bowiem zawsze wyłonić się może powód do wojny!) księstwo Luxem-

burg należało do króla holenderskiego i równocześnie do Związku niemieckiego, Prusom zaś przysługiwało prawo utrzymywania załogi swej w stolicy państewka. Ponieważ Prusy w czerwcu 1866-go roku wypowiedziały udział swój w dawnym Związku, przeto rodziło się teraz pytanie, komu przysługiwać ma owo prawo utrzymywania załogi. Oto i cała „kwestya.“ Pokój, zawarty w Pradze, stworzył nowy porządek rzeczy w Niemczech i tym sposobem zniósł przynależność Luxemburga, jakim przeto prawem, zapytywano się, Prusy zatrzymały i nadal prawo okupacji? Nawet najbardziej bystry polityk musiał przyznać, że Bądź co bądź, było to powikłanie tego rodzaju, iż wypłynąć z niego mogło najsłuszniejsze i najkorzystniejsze prawo wzajemnego mordowania się tysięcy ludzi. Holendrom nie zależało bynajmniej na posiadaniu księstwa; król Wilhelm III niezbyt się o nie troszczył i byłby je chętnie odstąpił Francji za pewną sumę, przelaną do prywatnej królewskiej szkatuły. Rozpoczęły się więc tajemne układy pomiędzy królem a gabinetem francuskim. Bardzo słusznie, tajemnica jest treścią wszelkiej dyplomacyi. Narody nie powinny nic wiedzieć o toczących się sporach—dopiero gdy przyjdzie do rozstrzygnięcia wolno im krew za nie przelewać. Dlaczego i za co się biją—to rzecz najmniejsza.

Z końcem marca nareszcie ogłasza król urzędowo, że z Francją zawarto ugodę i zawiadamia o niej pruskiego ambasadora w Hadze. Rozpoczynają się układy z Prusami, które powołują się na rekojmie traktatów z 1859. Opinia publiczna w Prusach jest niezmiernie oburzona, że państwo związkowe ma być oderwane; w sejmie północno-niemieckim syją się ogniste interpelacye. Bismark chłodno wprawdzie traktuje sprawę luksemburską, lecz, korzystając z tej sposobności, każe się uzbrajać przeciw Francji, na co ta odpowiada, naturalnie zbrojąc się również. Znałam dobrze tę śpiewkę i obawiałam się, że nowy pożar

wybuchnie w Europie, nie brakło bowiem rozbudzić: w Paryżu Cassagnac i Emil de Girardin, w Berlinie Menzel i Henryk Leo. Czy tacy ludzie mają pojęcie o ogromie swej zbrodni? Nie zdaje mi się. Znacznie później dowiedziałam się, że profesor Simon, rozmawiając z następcą tronu pruskiego o toczącej się sprawie, miał jakoby powiedzieć:

— Jeżeli zawarto układ pomiędzy Francją i Holandją, to będzie wojna.

Na co następca tronu Fryderyk, mocno wzruszony, miał odpowiedzieć z oburzeniem:

— Nie widziałeś pan wojny... gdybyś ją widział, nie wygłaszałbyś podobnych słów tak spokojnie... Ja ją widziałem i powiadam, że najświętszym obowiązkiem każdego z nas jest unikanie wojny i użycie wszelkich sposobów, ażeby ją odwrócić.

Tym razem uniknięto jej; konferencya londyńska doprowadziła spór do pożądanego rezultatu na drodze pokojowej. Luxemburg uznano państwem neutralnym, Prusy wycofały swe wojska. Zwolennicy pokoju odetchnęli, znalazło się jednak wielu takich, których gniewał podobny obrót sprawy. Nie cesarz Francuzów, ten bowiem życzył sobie pokoju, ale wichrzyła we Francji t. z. „partya wojenna”—w Niemczech zaś odzywały się głosy, potępiające zachowanie się Prus, zachowanie, wyglądające na trwożliwość. Przecież każda jednostka musi się poddać wyrokowi sądu, a jednak w tym wypadku nie chciano tego uczynić, wolano bić z gniewu w stół pięściami i kulflami. Konferencya londyńska powinna była stać się wskazówką dla dyplomatów, świadczyła bowiem, że zawsze osiągnąć można to, co późniejszy Fryderyk III uważał za najświętszy obowiązek monarchów—pokój.

* * *

W maju tegoż roku udaliśmy się do Paryża, ażeby zwiedzić wystawę.

Do tej pory nie znałam jeszcze tej stolicy świa-

ta, olśnił mnie też przepych i ruch tutaj panujący. Cesarstwo zwłaszcza wtedy stało u szczytu świetności swojej, wszystkie głowy koronowane znalazły się w Paryżu, który wyglądał nie jak stolica jednego tylko państwa, ale jak stolica międzynarodowa. Obraz to był najweselszej i zapewnionej pokojem wspaniałości. W trzy lata później sąsiad ze wschodu bombardował to wspaniałe miasto...

W obszernym pałacu, na Polu Marsowem, zgromadziły się wszystkie ludy świata, aby stoczyć walkę pokojową o współzawodnictwo na polu twórczości, pracy i talentu; nagromadzono tu tyle arcydzieł sztuki, tyle cudów przemysłu, że na ich widok każdy czuł się dumny, iż żyje w wieku takiego postępu. Goszczący u cesarza królowie, książęta i dyplomaci, wymieniając uprzejmości, oświadczenia przyjaźni i życzenia pomyślności, czyż mogli się spodziewać, że w niedalekiej przyszłości wymienią śmiertelne strzały?

Świetna uroczystość wystawy wydała mi się rękomią rozpoczynającej się nowej ery długiego, bardzo długiego pokoju. Nie ulega wątpliwości, że Napoleon III—słyszałam to z ust jego najbliższych krewnych i osób zaufania—przy najbliższej sposobności wszystkim rządóm uropejskim przedstawi projekt obniżenia stopy wojska do minimum. No! rozumniejsza to przecież idea, aniżeli ustawiczne wzmacnianie armii, tą bowiem drogą ziszciliby się może marzenie Kanta, zawarte w paragrafie 3-cim słynnych „Preliminaryów do pokoju wieczystego.”

Któryż rząd odrzuciłby projekt Francuza i gdzie ten naród, któryby w razie odrzucenia nie zrobił rewolucyi?

— Plan Napoleona powiedzie się niezawodnie—rzekłam do Fryderyka, ale on nie podzielał zdania mojego.

— Przedewszystkiem wątpię—mówił—aby Napoleon pragnął tego szczerze. Gdyby nawet tak było, przeszkodziłaby mu przewaga stronnictwa wojen-

nego. Panującym przeszkadza zawsze ich otoczenie w przeprowadzeniu wielkich zamiarów, wykraczających z ogólnego szablonu. Niepodobna zresztą nakazać żyjącej istocie, żeby przestała istnieć.

— O jakiej istocie mówisz?

— O armii. Jest ona organizmem, a jako taki, posiada zdolność żywotną i samozachowawczą. Obecnie organizm ten znajduje się w pełni swego rozwoju. Gdyby politycy zawodowi, dostojnicy przeróżni (o oficerach nawet już nie mówię), zajmowali się więcej nauką, może doszlibyśmy do stanu idealnego, ale trudno o tem marzyć...

Zamieszkaliśmy w Grand Hotelu na bulwarze Kapucynów, hotel ten zaś przeważnie zapelniony był Anglikami i Amerykaninami. Nie staraliśmy się o zbliżenie do nich, ani bowiem nie uczuwalismy potrzeby towarzystwa, ani też nie pozwalała na to żaloba moja. Rudolfek, chłopiec już ośmioletni i bardzo roztropny, znajdował się przy nas, że jednak nie mogliśmy go brać z sobą na wszystkie wycieczki dłuższe, przyjeżdżaliśmy do niego Anglika, który spełnił obowiązki bony.

Nowy, zupełnie nowy odsłonił się dla mnie świat tutaj! Ci ludzie, przybyli tu ze wszystkich czterech części świata, ludzie najbogatsi i najbardziej dystygowani—te uroczystości, ten zbytek, ten wprawdzie stołeczny — wszystko to otumaniło mnie niejako. Pomimo to jednak w cichości serca wzdychałam do zacisza, gdzie przy boku Fryderyka i dzieci moich mogłabym żyć zdala od ludzi przewrotnych.

Od tak zwanego „wielkiego świata“ trzymaliśmy się zdaleka i tylko u ambasadora naszego, księcia Metternicha, złożyliśmy jednorazową wizytę, natomiast wyszukiwaliśmy sobie znajomości z wybitnymi osobistościami na polu nauki, literatury, sztuki i polityki. Kielkowała już w nas wtedy myśl stworzenia czegoś dla pokoju wiecznego, Fryderyk też coraz bar-

dziej zagłębiał się w badanie prawa narodów, korespondował z Blunschlim i innymi uczonymi. Jednocześnie pilnie się poświęcał studiom przyrodniczym; zamierzał napisać obszerne dzieło na temat pokoju i wojny, a zanim je rozpocznie, chciał się przygotować należycie. „Jestem wprawdzie już starym cesarsko-królewskim pułkownikiem — mówił — większość rówieśników i współtowarzyszów wojskowych nie zechciałaby się oddawać nauce... Każdy dojrzały mężczyzna uważa się za skończonego pod względem wykształcenia; ja sam przed kilku laty miałem podobnie wysokie wyobrażenie o swojej osobie, ale gdy się otworzył przedemną nowy widnokrąg, gdym poznał cokolwiek ducha nowoczesnego, przekonałem się o własnem nieuctwie... Teraz więc, pomimo siwych włosów, muszę zaczynać naukę od początku.“

Rezultatem tej nauki było założenie, z którego wyszedł cały plan Fryderyka; główny rzut oka historyczny przedstawia się w ten sposób:

Na czterysta lat przed Chrystusem napisał Arystofanes komedię swoją „Pokój.“ Grecka, do Rzymu później przeniesiona filozofia, broniła zasad jedności u ludzi, Sokrates nazywał się „obywatелем świata“, Terencyusz twierdził o sobie, że „nic ludzkiego nie jest mu obcem“, a Cyncero, jako najwyższy szczyt doskonałości ludzkiej uważał: „Caritas generis humani.“

W pierwszym stuleciu po Chr. pojawił się Wirgiliusz, który w 4-ej pieśni pasterskiej przepowiadał światu pokój wieczysty.

W wiekach średnich kilkakrotnie Papieże starali się wziąć na siebie rolę sędziów rozjemczych, ale niestety! bezskutecznie.

W wieku piętnastym wielki król czeski, Jerzy Podiebrad, marzył o stworzeniu ligi pokoju i plan swój przedstawił królowi Francji Ludwikowi XI, ale ten nie zgodził się nań.

Przy końcu szesnastego stulecia Henryk IV francuski zapragnął stworzyć federację państw europejskich. Elżbieta angielska, Papież, Holandia i kilka innych mocarstw zgodziło się na to, opór tylko czyniła Austria, którą też Henryk postanowił zgnieść orężnie, ażeby wymócić posłuszeństwo dla wzniesłej idei. Na nieszczęście, w dniu

13 maja 1610-go roku padł ten władca ogromny z ręki fanatyka

Odtąd żaden wprawdzie król, ani cesarz nie zamarzył o uszczęśliwieniu w ten sposób ludów swoich, ale pracę nad ideą pokoju podjęli myśliciele wszystkich krajów. W roku 1647-ym utworzyła się sekta Kwaków, której podstawą było potępienie wojen; w tymże samym roku ogłosił William Pann dzieło swoje, oparte na planie Henryka IV.

Na początku ośmnastego wieku ukazało się słynne dzieło „La paix perpétuelle” przez Abbé de St. Pierre. Leibnitz napisał do tego wspaniały komentarz.

Wolter i Mirabau mawiali, że: „wojna europejska jest mordem obywateli,” nareszcie w 1795 roku największy myśliciel Ymanuel Kant napisał: „Zum ewigen Frieden.” Publicysta angielski Bentham, z francuzów Fournier, Saint-Simon i inni popierają zabiegi pokojowe, Beranger tworzy: „Alliance des peuples,” Lamartine: „La Marseillaise de la Paix.” W Ameryce w roku 1849 rozrzuć w milionach egzemplarzy Elien Burrit swoje: „Gałązki oliwne” i zwołał pierwszą konferencję przyjaciół pokoju.

W roku 1863 rząd francuski zaproponował mocarstwom zwołanie kongresu, na którym uradzone być miały warunki podstawowe rozbrojenia na przyszłość.

Mało to, bardzo mało, a jednak świadczy, że byli ludzie, którzy pragnęli dobra ludzkości.

* * *

I znów zbliżała się dla mnie ciężka godzina. Jakże jednak miało się to odbyć inaczej teraz, aniżeli wtedy, gdy Fryderyk poszedł się bić za sprawę jakiegoś Augustenburga. Teraz miałam go przy sobie i to łagodziło boleści moje.

Na świat przyszło dziewczę, a więc wypełniły się ciche życzenia nasze. Człowiek jest bardzo samolubnem stworzeniem i my na czas pewien zapomnieliśmy o świecie całym, o ideach pokojowych i żyli tylko szczęściem własnem.

Zimę, po urodzeniu się Sylwii, przepędziliśmy cicho zupełnie w Wiedniu, wiosną podróżowaliśmy po Włoszech, byliśmy też wolni, młodzi i bogaci, że nic nie krępowało zamiarów naszych.

Wzięłam do domu dawną sługę, która była niegdyś moją i moich sióstr niańką, następnie wyszła za mąż i owdowiała. Anna zasługiwała na zaufanie, wybierając się też z Fryderykiem na kilkodniową wycieczkę, mogłam z całym spokojem zostawić Sylwię pod jej opieką. Również bezpiecznym był Rudolf pod nadzorem swego ochmistrza.

W zimie 1869 r. powróciliśmy znów do Paryża i tym razem rzuciliśmy się w wir wielkoświatowy. Najeliśmy w okolicy Pól Elizejskich mały, umeblowany pałacyk, gdzie przyjmowaliśmy niekiedy znajomych, którzy nas także zapraszali do siebie. Otrzymaliśmy przez ambasadora austriackiego na całą zimę zaproszenie na poniedziałki cesarskiej; prócz tego otwarte były dla nas salony każdej ambasady, księżnej Matyldy, księżnej de Mouchy, królowej hiszpańskiej Izabelli i t. p. Poznaliśmy wiele znakomitości literackich, z wyjątkiem najgłośniejszej; mówię o Wiktorze Hugo, który znajdował się na wygnaniu; spotkaliśmy Renana, Dumasa ojca i syna, Oktawiusza Feuilleta, George Sand, Arsena Houssaye i kilku innych.

Bywaliśmy też często w teatrze, co najmniej trzy wieczory w tygodniu spędzaliśmy bądź na operze włoskiej, gdzie Adelina Patti, niedawno zaślubiona z markizem de Caux, zachwycała słuchaczy, lub w teatrze francuskim.

Austriakom okazywano w Paryżu wielką sympatię; często w rozmowach politycznych robiono aluzje do przyszłego „odwetu za Sadowę” i to w taki sposób, jakby krzywda, wyrządzona nam przed dwoma laty, musiała być wynagrodzoną. Czyż krzywdy podobne wynagrodzić można! Gdy ciosy ciosami umorzyć chcemy, nigdy nie osiągamy trwałej zgody. Zdawało się wszystkim, że dla mnie i dla mego męża, który jako wojskowy odbył kampanię czeską, niema nic przyjemniejszego i bardziej pożądanego nad nadzieję przyszłego odwetu, a ten uważano

powszechnie jako dziejowy wypadek, mający zabezpieczyć równowagę europejską.

Odpieraliśmy naturalnie stanowczo podobne pociechy; nowe nieszczęście nie zatrze starego, również jak nowa niesprawiedliwość nie złagodzi dawnej. Zapewnialiśmy, że jedynym naszym życzeniem jest zachowanie pokoju.

Tego samego pragnął Napoleon III. Zналиśmy tyle osób z otoczenia cesarza, że nie zbywało nam na sposobności poznania jego przekonań politycznych, o ile je wypowiadał w kółku swych zaufanych. Nie dość, że pragnął pokoju chwilowego, lecz zamierzał, jak nadmieniałam, zaproponować mocarstwom powszechne rozbrojenie. Nie czuł się jednak dosyć silnym, aby zamiar przeprowadzić; w kraju wrzało niezadowolone, a wśród osób najbliższych tronu istniało stronnictwo, usiłujące dowieść, że tylko „mała tryumfalna promenada nad Ren“ zapewni trwałość i świetność dynastji napoleońskiej.

Gdy lato nadeszło, członkowie naszego towarzystwa zaczęli opuszczać Paryż: jedni udawali się do Trouville i Dieppe, do Biarritz i Vichy, inni do Baden-Baden. My wybraliśmy znów za miejsce pobytu cichy zakątek Szwajcaryi.

Europa zdawała się być spokojną, żadna „chmurka“ nie ukazywała się na horyzoncie, umilkły nawet pogłoski o odwecie za Sadowę. Największą przykrość, jakiej wówczas doznałam, zgotował mi obowiązek powszechnej służby wojskowej, zaprowadzony od roku w Austrii. Nie mogłam pogodzić się z myślą, że Rudolf zostanie żołnierzem.

— Rok tylko służyć będzie, to nie tak długo — pocieszał mnie Fryderyk.

Wstrząsnęłam głową.

— Choćby to nawet był dzień tylko jeden! nie można przecież żadnego człowieka zmuszać, ażeby wypełniał często to, czego nienawidzi, i ażeby nawet przez dzień jeden przestał być sobą.

— W takim razie, moje dziecko, urodziłby się musiał o kilkaset lat później — odpowiedział Fryderyk. — Zupełnym człowiek staje się dopiero wtedy, gdy dysponuje wolą swoją, bo prawda i wolność, to jedno.

Teraz, zdaleka od świata, Fryderyk oddał się zupełnie pracom swoim i czynił to z nieklamanyą samotności, to jednak postanowiliśmy następną zimę przepędzić również w Paryżu. Nie dla zabawy, lecz w celu rozwinięcia praktycznie działalności naszej, pragnęliśmy znajdować się w tej stolicy świata. Wiedzieliśmy, że na razie nie zbudujemy gmachu szczęścia z teoryj naszych, ale leży to już w naturze człowieka, że nawet cień bierze za rzeczywistość. Rozczytywaliśmy się we „Wspomnieniach“ Sully'ego i ustawicznie powracali do planu Henryka IV, postanowiliśmy też owoc naszych studyów przedstawić z jednej strony cesarzowi Francuzów, z drugiej za pomocą pośrednictwa ministra „Bądźcobądź“ zapoznać z całym planem rządu Austrii i Prus.

Niestety, gdyśmy w grudniu przesiedlić się chcieli do Paryża, powstrzymała nas w tym zamiarze nowa smutna okoliczność. Nasz skarb, nasze szczęście, nasza mała Sylwia zachorowała, smutne to były godziny, jakie przeżyliśmy wtedy, a wobec nich w kąt poszły wszelkie górne zamiary. Cóż nas wtedy obchodził Napoleon III i Henryk IV, kiedy... dziecko nasze walczyło ze śmiercią.

Na szczęście, nie umarła. Niebezpieczeństwo przeszło po dwóch tygodniach, jednakże lekarz zabronił podróży z małenstwem podczas największych mrozów; podróż naszą odłożyliśmy zatem na marzec.

Jeszcze goręcej przy kołysce chorego dziecka naszego zespoliły się serca nasze.

Księga szósta.

ROK 1870/71.

Czy ludzie miewają przecucia? Nie! Gdyby bowiem przecucia istniały wogóle, Paryż nie uczyniłby na nas tak miłego, tak zachęającego do uciech wrażenia, gdyśmy w marcu 1870 roku przybyli do tej stolicy. Dziś wiemy już, jakie okropności w najbliższym czasie nawiedzić miały to miasto, ale wjeżdżając do Paryża, nie odczuwałam najmniejszych nawet obaw.

Już zawczasu przez agenta, John Artura, wynajęliśmy ten sam mały pałacyk, w którym mieszkaliśmy poprzedniej zimy; w bramie oczekiwał nas ten sam szwajcar. Kiedy przejeżdżaliśmy przez pola Elizejskie (była właśnie godzina spaceru), spotkaliśmy kilka osób znajomych i zamieniliśmy radosne powitania. Mnóstwo małych wózków z siólkami, które o tej porze roku po ulicach Paryża rozwożą, napęłniało powietrze wonnemi zapowiedziami wiosny; promienie słońca iskrzyły się i grały tęczowemi barwami w wodotryskach, na latarniach powozowych i na uprząży licznych pojazdów.

Niektóre wypadki utrwalają się w pamięci, jak na kliszy fotograficznej. „Jednakże piękny jest Paryż!” — zawołał wówczas Fryderyk, ja zaś dozna-

wałam uczucia dziecinnej radości z przyszłego pobytu w tem mieście. Gdybym była wiedziała, co mnie tu czekało...

Tym razem unikaliśmy wiru światowych rozrywek; poznaliśmy, że nie przyjmujemy zaproszeń na bale, unikaliśmy również wspaniałych przyjęć. Teatru nie odwiedzaliśmy też często; bywaliśmy wtedy tylko, gdy dawano jaką głośną a nową sztukę, zresztą spędzaliśmy wieczory samotnie w domu lub w towarzystwie kilku przyjaciół.

Co się tyczy naszych planów, opartych na projektowaniu przez cesarza powszechnem rozbrojeniu, źle wybraliśmy się z niemi. Napoleon nie wyrzekł się był wprawdzie zupełnie swych zamiarów, lecz chwila obecna, jak mówiono, nie sprzyjała ich przeprowadzeniu. Wiedzieli wszyscy, że tron chwieje się w swych posadach; w kraju wrzało wielkie niezadowolenie, chcąc je stłumić obostrzono cenzurę, a to wywołało jeszcze większe oburzenie. W pewnych sferach utrzymywano, że jedynie pomyślna wojna zdoła odnowić blask i trwałość dynastji. Nie zanosilo się wprawdzie na wojnę, lecz mówić teraz o rozbrojeniu byłoby błędem i przyćmiłoby to auerolę Bonapartych, która sławą wielkiego Napoleona się podtrzymywała. W Prusach i w Austrii rozpoczynała się era powiększania siły zbrojnej, sam więc wyraz „rozbrojenie“ brzmiał bardzo dziko. Chcąc utrzymać błogi pokój, trzeba powiększać nieustannie siłę zbrojną, bo Francuzom nie można dowierzać... Włochom także, ci ostatni wpadliby do Tryestu i Trydentu, gdyby się tylko sposobność zdarzyła...

— Nie przyszła jeszcze pora na to — mówił Fryderyk — trzeba się wyrzec nadziei rozpoczęcia dzieła pokoju... Niewiele do tego przyczynić się mogę, lecz od czasu, gdy się przekonałem, że oddanie najdrobniejszej w tym kierunku usługi jest obowiązkiem każdego, nie cofnę się od pracy.

Chociaż projekt rozbrojenia przepadł tymczasowo-

wo, pocieszałam się myślą, że wojna nie grozi światu. Partya wojenna, przy dworze, a także i wśród narodu istniejąca, która utrzymywała, że dynastia powinna się wzmocnić krwią przelaną i przynieść krajowi w darze szczyptę sławy, musiała się wyrzec chęci napastniczych i ponętnej wyprawy za Ren. Francya pozbawiona była sprzymierzeńców; panująca w kraju susza zapowiadała brak paszy i konieczność wyprzedaży koni wojennych, żadna zresztą kwestya nie ukazywała się na widnokręgu politycznym, więc pokój europejski był zapewniony, jak to z trybuny oświadczył przy sposobności Olivier.

Pokój zapewniony?! Cieszyłam się, gdy postyszałam te wyrazy, powtarzane przez wszystkie pisma, a razem ze mną cieszyły się tysiące ludzi. Czyż bowiem być coś więcej radosnego nad wiadomość, że „pokój jest zapewniony?”

Co oznaczał ten frazes, który słynny dyplomata Ollivier wygłosił w dniu 30 czerwca 1870 roku — dziś wiemy doskonale, wtedy jednak zdawało nam się, że tego rodzaju poręczenia, które publiczność zawsze darzyć będzie zaufaniem naiwnem, oznaczają wielką rękojmnię. Położenie w Europie jest tego rodzaju, że na razie niema żadnej „kwestyi pałacej” i dlatego będzie pokój. Dziwnie słaba logika! Kwestye powstać mogą w każdym momencie i wojna zawsze trzymaną jest w obwodzie.

* * *

Towarzystwo paryzkie rozprysnęło się na cztery wiatry, my jednakże, zmuszeni interesami, pozostaliśmy na miejscu, zdarzało się nam bowiem wyjątkowe kupno posiadłości.

Z przyczyny nagłego wyjazdu bogatego Amerykanina, był do nabycia nawpół wykończony pałacyk w alei Cesarzowej; cena, jakiej żądano, zaledwie przewyższała kosztu urządzenia i przyozdobienia pałacyku. Ponieważ zamierzaliśmy przepędzać corocznie

kilka miesięcy w Paryżu, więc łatwo dobiliśmy targu. Urządzenia chcieliśmy dopilnować sami i to zatrzymało nas w Paryżu. Przyozdabianie własnego gniazda jest tak miłym zajęciem, że ze względu na nie zgodziliśmy się chętnie przepędzić lato w mieście. Zresztą w okolicy o stosunki towarzyskie nie było trudno; w bliskości mieliśmy zamek księżnej Matyldy, St. Gratien, zamek Mouchy, Ferrières, posiadłość barona Rotszylda, i niektóre inne letnie wille znajomych naszych, które kolejno odwiedzaliśmy raz lub parę razy tygodniowo.

W salonie księżnej Matyldy usłyszałam po raz pierwszy o kwestyi, która miała się stać pałacą.

Towarzystwo całe siedziało po śniadaniu na tarasie pałacowym, z kądem piękny widok odsłaniał się na park. Trudno mi dzisiaj przypomnieć sobie wszystkich obecnych, dwie wszelako osobistości pozostały mi do dziś dnia w pamięci, mianowicie: Taine i Renan. Właścicielka pałacu na St. Gratien lubiła otaczać się znakomitościami ze sfery literackiej.

Rozmowa była bardzo ożywiona i przypominam sobie, że najczęściej zabierał głos autor żywota Jezusa Chrystusa, słowa jego tryskały rozumem i dowcipem. Ze można być niesłychanie brzydkim, a pomimo to posiadać dar jednania sobie ludzi, najlepszym przykładem tego był ów autor.

Rozmowa zwróciła się też ku polityce; ktoś napomknął, że Hiszpania poszukuje kandydata do tronu... Jakiś Hohenzollern ma otrzymać koronę... Zaledwie zwróciłam na to uwagę, bo coś mógł obchodzić mnie lub kogokolwiek z obecnych tron hiszpański, albo to, kto na tym tronie zasiędzie? Tymczasem usłyszałam, że ktoś rzekł:

— Książę Hohenzollern? nie! to niemożliwe, Francya tego nie ścierpi.

Wyrazy te wpłynęły na moją duszę, bo i cóż to znaczy owo: Francya „nie ścierpi?”

Wkrótce rozmowa przeszła na inny temat i nie

zastanawialiśmy się nad tem, jak brzemiennej w skutki stać się może sprawa następstwa tronu w Hiszpanii. Mnie w pamięci pozostały wprowadzić słowa: „Francya tego nie ścierpi,“ ale nawet przez myśl mi nie przeszło, co się z tego może wywikłać.

Odtąd coraz częściej zaczęto mówić o kwestyi hiszpańskiej, coraz więcej zajmowano się nią w dziennikach i w rozmowach prowadzonych w salonach, mnie zaś nudziło to w najwyższym stopniu; o niczem się nie słyszało, tylko o kandydaturze Hohenzollerna. Mówiono o niej z takim oburzeniem, jakby Francję spotkała największa zniewaga. Widziała w tem wyzwanie stawiane przez Prusy. Jeśli Francya nie może na to pozwolić, a Hohenzollerny obstarają koniecznie przy swoim, przeto wyzywają nas. Nie pojmovalam tego i nie troszczyłam się zresztą o to. Otrzymałiśmy listy z Berlina, w których z dobrej poinformowanej strony donoszono nam, że dwór berliński nie przywiązuje do tego żadnej wagi, czy Hohenzollern otrzyma koronę hiszpańską lub nie.

Z czasem jednak zaczęliśmy się baczniej przysłuchiwać. Jak w lesie szum liści zwiastuje burzę, tak wojnę zapowiadają pewne zdania, obiegające wśród narodu. „Nous aurons la guerre — nous aurons la guerre!“ brzmiało w Paryżu. Przejęła mnie niewypowiedziana trwoga. Nie o moich przecież, bo my, Austracy, nie braliśmy w zatargu udziału; przeciwnie nawet, nam miał on przynieść pewną „satisfakcyę,“ odwet za Sadowę! Już odwykliśmy zapatrywać się na wojnę ze stanowiska patryotycznego, a wiemy dobrze, czem ona jest, uważana ze stanowiska ogólnoludzkiego. Czem jest wojna, wyraził to kiedyś w rozmowie ze mną Guy de Maupassant:

„Quand je songe sentement à ce mot „la guerre“ — il me vient un effarement, comme si l'on me parlait de sorcellerie, d'inquisition, d'une chose lointaine, finie, abominable, „contre nature...“

Gdy nadeszła wiadomość, że Prim ofiarował koronę księciu Leopoldowi, książę Grammont wygłosił w parlamencie mowę, którą przyjęto z wielkim zapalem; treść jej była mniej więcej taka:

„Nie wtrącamy się do spraw cudzych, lecz nie sądzimy, by poszanowanie praw sąsiedniego państwa zobowiązywało nas patrzeć na to spokojnie, gdy to państwo, osadzając jednego ze swych książąt na tronie Karola V, narusza z naszą krzywdą obecną równowagę europejską i zagraża interesom i honorowi Francyi.“

Ach! jakież to kłamca i obłudnik wymyślił ową równowagę!

Znam bajkę pani George Sand, w której dziwak Gribouille, gdy deszcz ma padać, rzuca się w wodę, aby nie zmoknąć. Kiedy słyszę, że dla zapobieżenia grożącemu niebezpieczeństwu ma być wypowiedziana wojna, przychodzi mi zawsze na myśl Gribouille. Chociażby cały ród Hohenzollerów zasiadł na tronie Karola V i na rozmaitych innych tronach, nie zadałoby to interesowi i honorowi Francyi ani w tysiącnej części tej szkody, jaka wynikła dla niej z owego sensacyjnego frazesu; „Nie pozwolimy na to!“

„Najmocniej jesteśmy przekonani — ciągnął mówca dalej — że to nie nastąpi; liczymy w tym względzie na rozsądek narodu niemieckiego i na przyjaźń Hiszpanów. Gdyby wszakże wypadło inaczej, wtedy spełnimy nasz obowiązek bez wahania i bez najmniejszej zwłoki.“

Od tej chwili rozpoczyna się w prasie ciągłe podszczywanie do wojny; Girardin zwłaszcza nie znajduje słów zachęty dla swych ziomeków, namawia ich, aby zuchwałą śmiałością kandydatury hiszpańskiej należycie ukarali: „Honor Francyi wymaga, żeby postawiła swe veto... Prusy nie ustąpią naturalnie, one chcą wywołać wojnę. Upojone powodzeniem w 1866 roku, marzą teraz o zwycięskiej i łupieżczej wyprawie za Ren, lecz tu zastaną waleczne dłonie, które skarżą ich zuchwałe zachcianki.“

W tym tonie brzmiały wszystkie odezwy. Wprawdzie Napoleon pragnął utrzymać pokój, jak o tem zapewniali nas jego powiernicy, jednak większość jego otoczenia podzielała przekonanie, że wojna stała się nieuniknioną.

Naród niezadowolony jest z rządu, pomyslna więc wojna będzie najlepszym środkiem uspokojenia malkontentów.

Tylko szczęśliwa wojna może przyczynić szacunku dla dynastji, którą: „Il faut faire grand.”

Teraz rozpoczęło się zasięganie w sprawie hiszpańskiej zdania wszelkich gabinetów europejskich, każdy zaś z nich oświadcza, że pragnie tylko pokoju. W Niemczech ogłoszono manifest do ludu, na którym podpisał się także Liebknecht; w manifestcie tym powiedziano, że sama myśl o wojnie francusko-niemieckiej jest już zbrodnią. Przy tej sposobności dowiedziałam się, że istnieje stowarzyszenie, złożone ze stu tysięcy członków, które postawiło sobie jako główny program zniesienie różnic kastowych.

Benedetti zostaje wysłany do króla pruskiego z żądaniem, ażeby król wzbronil księciu Leopoldowi przyjęcia korony. Król Wilhelm znajdował się w tym czasie na kuracyi w Ems, tam więc udaje się Benedetti i uzyskuje audyencyę 9 lipca.

Co z tego wyniknie? Drżę, oczekując wiadomości.

Odpowiedź królewska brzmi bardzo prosto: „Pełnoletniemu księciu nie mogę narzucać swojej woli.”

Partya wojenna tryumfuje: „Więc do tego zmierzają Prusy?... Chcą nas wyprowadzić z cierpliwości? Zatem głowa rodu nie może niczego wzbronić lub nakazać jednemu z jego członków? To śmieszne doprawdy! Oczywiście to zмова: Hohenzollernowie chcą się usadowić w Hiszpanii, aby ze wschodu i z południa na nas uderzyć. Mamyż spokojnie na to wyczekiwać? Mamyż znieść to upokorzenie, że nie zwrócono uwagi na nasz protest? Nigdy: wiemy, co nam nakazuje honor.”

Coraz głośniejsze i coraz groźniejsze brzmią zapowiedzi burzy. Wtem 12 lipca zjawia się poselstwo: Don Salusto Olozaga przynosi urzędowo oświadczenie rządowi francuskiemu, że książę Leopold Hohenzollern zrzeka się ofiarowanej mu korony, aby uniknąć powodu do wojny.

A więc Bogu dzięki, kwestya załatwiona; w południe powiadomiono o tem Izby, a Olivier oświadcza, że waśń uśmierzona.

Tegoż samego dnia jednak wysłano wojsko i zapasy wojenne do Metz i na tem samem posiedzeniu Klemens Duvernois występuje z następującym wnioskiem:

— Jakąż możemy mieć rękojmię, że Prusacy nie wywołają znów zawikłań podobnych tej kandydaturze hiszpańskiej?

Więc znów odzywa się Gribouille: Tak—mógłby — czasami — jakiś deszczyk — nas zmoczyć, a więc skoczmy do wody, albo raczej Benedetti'ego pošlijmy powtórnie do Ems. Niechaj on tym razem zażąda kategorycznie, ażeby nie tylko teraz, ale raz na zawsze król pruski zabronił księciu Leopoldowi stawiać kandydaturę swoją na tron hiszpański. Czyż mógł król Wilhelm na takie żądanie, oznaczające prawie rozkaz, odpowiedzieć inaczej, aniżeli niecierpliwością nacechowanem wzruszeniem ramion? Musieli to przecież rozumieć dyplomaci, stawiający podobne żądanie!

15 lipiec — znów posiedzenie Izby; Ollivier żąda kredytu na wojnę w ilości pięciuset milionów. Thiers głosuje przeciwko temu, a wtedy Ollivier oświadcza, że odpowiedzialność za ten czyn wobec historyi bierze na siebie. Król pruski odmówił przyjęcia ambasadorowi francuskiemu i notą osobną zawiadomił rząd o tem nieprzyjęciu. Lewica żąda od czytania owej noty, większość wojownicza wzbrania tego, bo ta większość głosować gotowa za wszystkim, coby sprowadzić mogło wojnę.

16 lipca. Anglia czyni starania, ażeby przeskodzić wojnie. Napróżno... O! gdyby wtedy istniały sądy rozjemcze, jak łatwo dałoby się usunąć taki konflikt, prawie nic nie znaczący.

19 lipca. Ambasador francuski w Berlinie doręcza rządowi pruskiemu akt wypowiedzenia wojny.

Wypowiedzenie wojny! Tych parę sylab wymówić bardzo łatwo, bo i cóż w tem wielkiego, że w tych dwóch wyrazach zawiera się może pół miliona wyroków śmierci.

Dokument odnośny brzmiał:

„Rząd Jego Cesarskiej Mości, cesarza francuzów, uważał projekt wyniesienia księcia pruskiego na tron hiszpański, jako zamiar przeciwny bezpieczeństwu terytoryalnemu Francyi, i dlatego widział się zmuszonym żądać od Jego Królewskiej Mości, króla pruskiego przyrzeczenia, że podobna kombinacya nie ponowi się już za jego przyzwoleniem. Jego Królewska Mość odmówił zapewnienia, a nawet posłowi naszemu oświadczył, że chce zachować w tym wypadku swobodę stosowania się do okoliczności, przeto rząd cesarski musiał dopatrzyć w tem oświadczeniu królewskiem myśli ukrytej, która zagraża Francyi i równowadze europejskiej. Oświadczenie pozyskało dobitniejszy charakter wskutek wiadomości, jaką otrzymał nasz gabinet, że wzbraniano się przyjmując posła cesarskiego dla udzielenia nowych objaśnień. Rząd francuski uważa przeto za swój obowiązek bronić swej godności i swych interesów, które poniosły tak dotkliwą obrazę; zdecydowany jest użyć ku temu wszelkich środków, jakich wymaga obecne położenie i uważa się odtąd za będącego na stopie wojennej z Prusami.”

Na stopie wojennej... Czy pomyślał ten, kto na zielonem suknie swego stolika kreślił takie wyrazy, że pióro jego umaczane było w płomieniach, w łzach krwawych, w jądzie zarazy?

Więc tym razem, z przyczyny złej kandydatury

do tronu wakującego i wskutek układów, prowadzonych przez dwóch panujących, rozszalała się burza?

Czyżby Kant nie miał mieć racyi, stawiając pierwszy paragraf swoich żądań?

Niestety, duch pozostaje takim, jakim był od wieku, a nienawiść więcej znaczy, aniżeli wszelkie dociekania mędrców.

Kiedyż okrzyk wojenny przestanie wykolejać ludzi?

Pamiętam usposobienie ogólne, jakie ogarnęło wszystkich wówczas, gdy się przygotowywała, a następnie wybuchnęła francusko-pruska wojna; pamiętam tę duszną atmosferę przed i gwałtowną burzę po wypowiedzeniu wojny... Francuzów ogarnął szal gorączkowy; rozpoczynając się wojnę, jak zwykle, witano jako zwyciężką wyprawę, bo tak nakazuje obowiązek patryotyczny: „à Berlin—à Berlin!” brzmiały radosne okrzyki na ulicach; marsylianka rozlegała się wszędzie: „Le jour de gloire est arrivé!” W teatrze, podczas każdego przedstawienia, występowała pierwsza artystka lub śpiewaczka w kostiumie Joanny d'Arc, ze sztandarem w ręku, i stając na przodzie sceny, śpiewała ów hymn bojowy, a publiczność słuchała powstawszy z miejsc, czasem wtórowała śpiewowi. Byliśmy świadkami z Fryderykiem podobnej manifestacyi i musieliśmy także wstać. Nie działał na nas żaden przymus, bo przecież moglibyśmy się cofnąć w głąb łoży, zelektryzował nas jednak prąd uniesienia powszechnego.

* * *

Marsylianka, ta pieśń nienawiści, rozbrzmiewała po ulicach:

I omyje krew nieczysta,
Męczennicze nasze tory.

Oto ideał ludzkości. Przelew krwi.

Brzydka to pieśń, chociaż tak działa na tłumy...

Ile razy wybuchnie wojna, obywatele państw neutralnych rozdzielają się na dwa obozy: ci sprzyjają

jednej, tamci drugiej stronie wojującej, chodzi tu o wielki zakład, w którym wszyscy biorą udział.

My oboje z Fryderykiem z kimże mieliśmy sympatyzować, komu życzyć zwycięstwa? Król Wilhelm w przemówieniu z 19 lipca wypowiada wielką prawdę:

„Oba narody, niemiecki i francuski, używające zarówno owoców chrześcijańskich cywilizacji, do szlachetniejszych niż krwawe walki zapasów stawać powinny, lecz Francja umiała zręcznie wyzyskać drażliwą dumę narodową sąsiadów dla osobistych celów.“

Cesarz Napoleon ogłosił znów następującą proklamację:

„Wobec nieprawnych uroszczeń Prus, wystąpiliśmy z opozycją. Wysztytowano nas, a to ¹⁾ oburzyło kraj cały, więc zabrzmiał okrzyk wojenny. Nic nam nie pozostaje, jak zdać się na los wojny.“

Nie idzie nam o zawojowanie Niemiec, których niezależność szanujemy; pragniemy, aby ludy, składające potężny naród niemiecki, mogły swobodnie rozporządzać swym losem; żądamy jedynie przywrócenia takiego stanu rzeczy, któryby dla nas był rękojmią bezpieczeństwa. Chcemy osiągnąć trwały pokój, zmienić nieszczęsne warunki, zmuszające wszystkie państwa do nieustannego zbrojenia się.“

Francja zatem rozpoczynała wojnę dla osiągnięcia trwałego pokoju i bezpieczeństwa?

¹⁾ W 18-cie lat później osądzoną została ta sprawa. W dziele o wojnie 1870 r. pisze generał Boulanger: „Otrzymałszy słuszną satysfakcję, zapragnęliśmy jeszcze upokorzyć króla pruskiego; przyjęliśmy więc wyzywającą postawę dyplomatyczną. Uzyskaliśmy już stanowcze zrzeczenie się wszelkich uroszczeń do korony hiszpańskiej od księcia Leopolda Hohenzollerna, nadto zezwolenie na to zrzeczenie się od króla pruskiego. To zadośćuczynienie było wystarczającym, powinniśmy byli na niem poprzestać. Rząd francuski posunął się dalej; zażądał od króla Wilhelma katerycznego zobowiązania na przyszłość. Stawiając tak wygórowane żądanie, zmienił przedmiot sporu i przeniósł go na inne pole. Było to wyzwanie, rzucone królowi pruskiemu.“

Nie, nie! węgiel nie wybieli płótna, a wojna nie zapewni pokoju. Nieszczęsne warunki, o których wzmiankował Napoleon, zmieniły się na gorsze; cesarz zamyślał naprawdę o rozbrojeniu Europy, lecz ustąpił pod naciskiem i wpływem partii wojennej... Nie mógł jednak przemilczeć o tym ulubionym projekcie w swej odezwie. Nie myślałam, żeby obecna wojna trwała długo i ważne wywołała następstwa. Dwie lub trzy bitwy wygrane, a rozpoczną się napewno układy i sprawa się zakończy. Bo o cóż chodzi właściwie? Wojna cała przedstawia się raczej jak zbrojna wycieczka, do której podniętą jest rycerska awanturniczość Francuzów i dzielna odporność Niemców; przeciwnicy, zamieniwszy kilka cięć, podadzą sobie ręce... Jakże byłam nierozsądną tak myślać!

Chętnie bylibyśmy opuścili Paryż, ale droga na Wschód była zamknięta; powstrzymywała nas też budowa domu, więc pozostaliśmy. Stosunki towarzyskie zerwały się; kto mógł, uciekał z Paryża, a ci, co pozostali, nie myśleli rozsyłać zaproszeń, gdyż niebezpieczeństwo wisiało nad głową. Tylko niektórzy ze znajomych naszych, ci zwłaszcza, którzy głębiej czuli i szerszej myśleli, nie zważając na nic, pozostawali w Paryżu. Pomiedzy innymi był człowiek, który później miał się stać ogromnie sławnym, a który wtedy bardzo proste nosił nazwisko Guy de Maupassant. Zdania, które nam wtedy rzucał, utrwaliłam na kartkach czerwonego kajetu swego. Kilka z nich przytoczę:

„Wojna! — ile razy o niej myślę, zdaje mi się, że to korowód czarownic i jakaś pozostałość inkwizycji. Wojna—to znaczy bić się, a bić się, to znaczy dławić, dusić, mordować.“

Ernest Renan orzekł wtedy:

„Czyż to nie jest okropne, że wszystko, co zbudowaliśmy przez lat sześćdziesiąt, ma się w tej chwili rozbić w gruzy; wojna zabija miłość prawdy!“

Miałam sposobność czytać wtedy list Gustawa Flauberta, który do swoich najbliższych osób skreślił te słowa:

„Zrozpaczony jestem, że wokoło siebie widzę tylko bezdenną głupotę; dzikość u ludu jest niepoprawna, to, co się u nas dzieje, u Beduinów działałoby się nie mogło.“

— Czemuż się o pięćset lat później nie urodziłam — wtedy mogłabym być nawet Beduiną.

Fryderyk odpowiedział:

— Nie będzie potrzeba pięciuset lat, ażeby ludzie stali się rozumnymi.

W dniu 28 lipca z głównej kwatery w Metz ogłosił Napoleon III manifest do narodu, który brzmiał:

„W obronie honoru ziemi ojczystej staję i zwyciężam! Dla dzielności żołnierzy, którzy zwyciężyli w Afryce, w Chinach, we Włoszech i w Meksyku — niema rzeczy, którejby zdobyć nie mogli. Wy, bohaterowie, pokażcie do czego zdolna jest armia francuska, gdy nią miłość ojczyzny owładnie. Wszędzie ślady zwycięstw przodków naszych — nie powstydzą się oni za czyny nasze. Wolność, cywilizacja — oto godła, które są powinnością naszą. Tę powinność spełnić, to wasz obowiązek, żołnierze, zwycięstwo nasze, bo Bóg jest za nami!“

31 lipca. Król Wilhelm I opuszcza Berlin i — także wysłał odezwę do wojska:

„Ponieważ dzisiaj idę między armię naszą, ażeby z nią walczyć za cześć narodu i za utrzymanie dóbr ziemskich przez Boga przeznaczonych — przeto uwalniam wszystkich przestępców politycznych. Naród mój wie, że nie ja byłem przyczyną rozlewu krwi i że tylko „przymuszony“, zdecydowałem się iść śladem przodków moich, ażeby tą drogą uratować ziemię od nieszczęścia.“

„Przymuszony!“ przymuszony! — oto jedyne wytłumaczenie... mordu. I jeden i drugi przeciwnik wołał: „jestem przymuszony!“

Rzecz dziwna, w kajecie moim znalazłam taką notatkę banalną:

„Czy wybuchnęłaby wojna, gdyby... Ollivier poślubił córkę... Meyerbera?“

Dziś rozumiem, jak się ta rzecz cała przedstawia. Pomiędzy znajomymi naszymi mieliśmy także literata, p. Aleksandra Weilla, ten zaś opowiedział nam rzecz, która wpłynęła nawet na losy narodów. Nie bajka to, więc wam ją powtórzę:

„Meyerber poszukiwał w całym Paryżu męża dla swojej wysoce utalentowanej córki. Wybór jego padł na Emila Ollivier. Pan Emil był wtedy wdowcem. Pierwszą żoną jego była córka słynnego Liszta. Kim była ta pierwsza żona, chyba nie potrzebuję tłumaczyć, bo wiadomo, że Liszt poślubił córkę hrabiny D'Agoult, inaczej zwanej Danielem Sternem. Ollivier bardzo był szczęśliwym w pożyciu małżeńskim i w Paryżu całym uchodził za bardzo cnotliwego małżonka, chociaż bowiem nie posiadał żadnego majątku, już wtedy miał za sobą opinię znakomitego mówcy i przyszłego męża stanu. Otóż zdarzyło się, że Meyerber chciał go poznać osobiście, w tym celu zaś na początku 1864 r. wydał bal, na który sprosił największe znakomości świata paryżkiego, Ollivier bardzo podobał się Meyerberowi i nie tylko Meyerberowi, ale i jego córce. Na owym balu postanowiono tedy, że Ollivier przyjedzie do Baden i wszystko odbyłoby się było jak najlepiej, gdyby nieszczęście nie chciało, że w niespełna dwa tygodnie Meyerber umarł. I cóż państwo powiecie! Meyerber nie znoślił cesarstwa, a że Ollivier został ministrem, córka po nim odziedziczyła nienawiść do Bonapartych! A teraz powiedzcie państwo, czy gdyby Ollivier ożenił się z córką Meyerbera, wojna byłaby była wybuchła? Ollivier mógłby być zagrożić i już byłoby po wojnie. Niestety! cała wojna francusko-pruska nie była niczem więcej, jeno robotą pokojówek, a czy te pokojówki nosiły nazwisko Jerome David, czy Paweł de Cassagnac,

czy nawet księżę de Grammont—to już wszystko jedno. Cesarzowa, pupilka narodu, chciała drogą wojny zapewnić tron synowi swojemu i mawiała: „S'est ma guerre à moi et à mon fils.”

— Czyż to się nazywa dyplomacją?—przerwałam Weillowi.

— Niechajże pani dosłucha do końca — odpowiedział mi na to. — Dnia 15 lipca spotkałem Olliviera i wtedy rzekł mi: „Pokój jest zabezpieczony, gdyby tak nie było, musiałbym się podać do dymisyi.”

Aleksander Weill przerwał, a ja zapytałam:

— Jakże on mógł z lekkim sercem przyobiecować to, czego nie mógł dotrzymać?

— Tu właśnie tkwi cała tajemnica! Cesarz, dla którego pieniądz nie miał nigdy innej wartości ponad tę, że pieniędzmi okupić można miłość i szacunek ludzki, który, jak Jugurta, kobiety czy mężczyźni uważał za ludzi przekupnych, miał ten zwyczaj, że kiedy przyjmował ministra, chciał go bliżej do siebie przywiązać i dawał mu na początek milion franków. Jeden tylko Daru odrzekł Napoleonowi III: *Timeo Danaos et dona ferentes*. Ten jeden, niczem niezwiązany, miał odwagę podać się do dymisyi. Ollivier miał kieszeń ciężką, ale za to serce lekkie i... dlatego wypowiedziano wojnę.

* * *

— *O monsieur, o madame*, jakie szczęście, jaka przyjemna wiadomość!—z temi słowy wpadł do pokoju kamerdyner, a za nim kucharz.

Było to w dzień bitwy pod Wörth.

— Co się stało?

— Na giełdzie wywieszono depeszę, oznajmującą zwycięstwo nasze. Armia pruska ze szczerem prawie zniesiona... Miasto przyozdabiają trójkolorowymi chorągwiemi, wieczorem będzie illuminacya.

Po południu jednak wyszło na jaw, że wiado-

mość o zwycięstwie była kłamliwą pogłoską giełdową.

7-go sierpnia nadeszła wiadomość o poniesionej klęsce. Cesarz przerażony pospieszył na plac boju. Nieprzyjaciel wtargnął do kraju, dzienniki oburzają się na to. O ile mi się zdaje, i okrzyk „à Berlin!” wyrażał postanowienie wtargnięcia, nie wywołał jednak oburzenia; lecz kiedy barbarzyńcy ze wschodu powazyli się wkroczyć do pięknej Francyi, nazywało się to dzikością, zbrodnią, należało jak najspieszniej ich powstrzymać.

Tymczasowy minister wojny wydaje dekret nakazujący, ażeby wszyscy obywatele, liczący lat trzydzieści do czterdziestu, nie należący do gwardyi narodowej, a silni i zdrowi, natychmiast do niej włączeni zostali. Powstaje ministerium obrony kraju, pięćkroćstosięczna pożyczka wojenna zostaje podwyższona do tysiąca milionów. Wzruszającym jest to doprawdy, jak pochopni do ofiar są ludzie, rozporządzający pieniędzmi i życiem swych bliźnich.

Niemcy odnoszą zwycięstwo jedno po drugim; fizyognomia Paryża i jego mieszkańców zmienia się. Dumne, chełpliwe, wyzywające usposobienie zastępuje przerażenie i tchórzliwość; coraz powszechniej staje się przekonanie, że kraj napadła horda wandolów. Zapomnieli Francuzi, że wypowiadając wojnę, sami sprowadzili na siebie tę plagę, że uważali ją za rzecz nieuniknioną i konieczną. Krążą przerażające bajki o nieprzyjacielu; nazwa „ulani” przybiera fantastyczno-demoniczne znaczenie, jest prawie równoznacznikiem „dzikiej hordy” i łączy się z pojęciem jakichś istot piekielnych. Kłamliwe opowieści o powodzeniu są obowiązkiem szowinizmu; trzeba podtrzymywać mężstwo. Przykazanie prawdomówności w czasie wojny obowiązywać przestaje. Fryderyk przeczytał mi ustęp z dziennika *Le Volontaire*: „Do 16 sierpnia stracili Niemcy 144,000 wojska, reszta ginie z głodu. Z Niemiec nadciągają ostatnie

rezerwy „landwery“ i „landsturmu“; starcy 60-letni, uzbrojeni w broń skałkową, z wielką tabakiera, wiążącą u prawego boku, i z wielką glinianą fajką w ustach, ledwie mogą udźwignąć ciężkie tornistry, mieszczące kwiat bżowy; kaszląc i sapiąc, przeprawiają się przez Ren i przeklinają tych, co ich wyrwali z objęcia wnuków, aby zaprowadzić na śmierć niechybną. Co się zaś tyczy rozgłaszaných przez dzienniki niemieckie zwycięstw, są to wierutne kłamstwa.“

20 sierpnia hrabia Palikao oznajmia izbie, że połączone trzy korpusy armii wepchnięte zostały do kamieniołomów pod Jaumont. Nikt nie wie wprawdzie, co to są owe kamieniołomy i gdzie się znajdują; nikt również nie zdaje sobie z tego sprawy, co tam porabiają te trzy korpusy, ale wszyscy z ust do ust podają sobie radosną wiadomość: „Wiesz pan?... W kamieniołomach...“ — „Wiem, wiem, pod Jaumont.“ Nikt nie powątpiewa. W tym czasie, mniej więcej, rozeszła się też pogłoska, że król pruski dostał pomieszania zmysłów z rozpaczny nad opłakany stanem swej armii.

Wzruszenie i gorączka paryżan wzrastały z każdą godziną; przestali już uważać tę wojnę za wycieczkę zbrojną, przeczuwają, że sprowadzi ona straszne następstwa.

* * *

Metz... Metz... poddało się... Tak brzmiała przedwczesna, ale sprawdzić się mająca wiadomość, która miasto całe przeraziła strasznie. Co do mnie, doznaję zawsze pewnej ulgi, gdy słyszę o zdobyciu fortecy, zdaje mi się to bowiem zawsze zapowiedzią jak-najszybszego zakończenia wojny. Ale nie! o zakończeniu nie ma mowy, dopóki jeszcze jakiekolwiek znajdują się fortece; tam straciliśmy, tu zyskamy, a czy rezultatem będą łzy, jęki i krew — to obojętne! Już Rzymianie mawiali, że wątpliwy jest wynik wojny.

Trochu dla orzeźwienia męztwa narodowego wydaje nową proklamację i powołuje się w niej na dawne hasło bretońskie: „Z pomocą Boską za ojczyznę!“ Ta proklamacja wywiera skutek pożądany, naród ogarnia zapał i zewsząd głoszą, że Paryż ma być ufortyfikowany.

Paryż i — forteca! Doprawdy, w głowie mi się to opomieszczyć nie może. Miasto, które Wiktor Hugo nazywa „miastem światła“, ognisko elegancyi, mody i dowcipu, ma się przeistoczyć w fortecę, stać się celem napaści i pocisków nieprzyjacielskich, być pozbawionem wszelkiej komunikacji, narażonem na zbombardowanie lub ogłodzenie? I to czynią mieszkańcy, przystają na to z radosnem sercem, z takim poświęceniem, z takim zapałem, jakby chodziło o dokonanie najpożyteczniejszego, najszlachetniejszego dzieła. Roboty postępują gorączkowo: wznoszą się wały dla zastępów obrończych, wybijają strzelnice; przed bramami kopią rowy i zakładają mosty zwodzone, stawiają nowe barykady forteczne, budują prochownie, a po Sekwanie krąży flotylla kanonierek. Jaka gorączkowa działalność, jaki rozkład pracy, jakie olbrzymie koszty!

Ażeby wytrzymać oblężenie długotrwałe, zaopatrują miasto w zapasy żywności. Liczne doświadczenia wykazały, że nie ma fortecy niezdobytej; kapitulacja każdej jest kwestyą czasu jedynie. Tymczasem ludzie wznoszą ciągle nowe warownie i pomimo matematycznej niemożliwości zabezpieczenia ich od głodu, zaopatrują je zawsze w żywność.

Przedsięwzięto nadzwyczajne środki: urządzają młyny, zakładają parki dla bydła; ostatecznie jednak musi nadejść chwila, gdy zboża nie stanie i mięsa zabraknie. O tem nikt teraz nie myśli: zanim do tego przyjdzie, zwyciężą nieprzyjaciela, wypędzą za granice kraju.

Naród będzie współdziałał z armią.

Wszyscy spieszą do szeregów lub przygotowują

się na to: aby powiększyć załogę Paryża, powołano straż ogniową z całego kraju, prowincya może się spalić bez ratunku, ale w takim czasie nie zważa się wcale na tak małe straty. 17 sierpnia stanęło w Paryżu 60,000 strażaków

Marynarzy powołano również, codziennie tworzą się nowe oddziały ochotników eklererów, wolnych strzelców. Noszą oni nazwę: volontaires, éclaireurs, franc-tireurs.

* * *

Wypadki następują teraz szybko, jedno po drugim; zewsząd jedno tylko brzmi hasło: „Śmierć Prusakom!“ Huragan nienawiści wścieklej nadciąga; jeszcze nie wybuchnął piorun, lecz słychać grzmot. Odezwy urzędowe, krzyki uliczne i wszelkie rozporządzenia kończą się hasłem: „Śmierć Prusakom!“

Szczęście, to biedne nasze szczęście, tyle razy mamy je w ręku i nigdy nie umiemy go uchwycić. W owym czasie miałam szczęścia całe niebo; słońce świeciło mi jaśniej, mąż kochał mnie bez granic, bogactwa, dostojęństwa i dziecko dobre, jakim był Rudolf, niezależność i pieszczotka nasza Sylwia—wszystko światem całym być mogło.

A jednak jak okręt, który dobija do brzegu i tonie na falach, tak i szczęście ludzkie liche jest i marne.

Dnia 25 sierpnia przyszedł Fryderyk do domu i rzekł:

— Ten Trochu, to człowiek aktorski więcej, niż żołnierski. Wiesz, co zrobił? Oto część kobiet wypędza z Paryża.

— Jakaż to część kobiet?—zapytałam—czy siostry miłosierdzia, czy może markietanki?

— O nie! Generał komenderujący obroną zagrożonego miasta powiedział sobie, że najniebezpieczniejszy żywioł nawet podczas oblężenia—to są damy z półświatka.

— I to uczynił generał zagrożonego miasta?...

Gorzej się stało, bo oto w dniu 28 sierpnia wyszło rozporządzenie, nakazujące, ażeby wszyscy Niemcy opuścili Paryż w przeciągu trzech dni. Nienawiść wzbudzoną została; dzisiaj wiem, jakie straszne owoce wydała ona po wojnie. Od owej chwili Francya i Niemcy, dwa wielkie, kwitnące, świetne państwa, nie były już narodami staczającymi rycerski pojedynek! Nienawiścią dla przeciwników oddychał cały naród, wrogie usposobienie przekazało się w spuściznie pokoleniom.

Zdarzyła mi się sposobność przekonania się, jak srodze dotknął rozkaz wydalenia niejedną uczciwą, zacną rodzinę. Wpółśród przemysłowców, którzy nam dostarczali przedmiotów do urządzenia domu naszego, było kilku Niemców: powoźnik, tapicer i stolarz. Mieszkali w Paryżu od lat dwudziestu, tu stworzyli sobie rodzinę, przez związki małżeńskie spokrewnili się z paryżanami, posiadali wyrobione stosunki handlowe, a teraz mieli porzucać w przeciągu trzech dni wszystko, co ukochali i do czego nawykli... Zrozpaczeni nieboracy przybiegli do nas skarżyć się na nieszczęście, jakie ich spotkało; zmuszeni byli przerwać robotę, którą dla nas wykończyć mieli, i zamknąć warsztaty. Łamiąc ręce, ze łzami wypowiadali swe żale i strapienie.

— Ja mam ciężko chorego ojca—mówił jeden—pomimo to wypędzają mnie!

— Nie mam ani grosza w domu—biedował drugi;—w tak krótkim przeciągu czasu nie zdołam odebrać należności od dłużników i sam nie będę mógł wypłacić tego, com winien robotnikom Francuzom, a tu rzucić wszystko muszę...

I dlaczego spotykało tych biedaków nieszczęście? Dlatego, że któryś z Hohenzollermów, w odległej przyszłości, mógł przyjąć ofiarowany mu tron hiszpański...

Sedan! Cesarz Napoleon oddał szpadę.

Wiadomość ta, jak piorun spadła na Paryż. I znów rozegrał się wielki dramat historyczny: armia francuska pobita, kampania skończona.

— Nie ciesz się przedwcześnie, moja droga — ostrzegał Fryderyk. — Ta wojna nie jest zwyczajną kampanią, która rozstrzyga się na polach bitwy; naród cały bierze w niej udział.

— Byłoby to sprawiedliwie? Wszak wojska niemieckie wtargnęły do Francji, nie naród...

— Że też ty zawsze odwołujesz się do sprawiedliwości i rozsądku! Francja szaleje z gniewu i bólu, a zapatrując się ze stanowiska patriotycznego, przyznać musimy, że ból jej słuszny, gniew uzasadniony. W żadnym rozpaczliwym ich czynie nie ma najmniejszego egoizmu, przeciwnie, jest najwyższe poświęcenie. Gdybyż już nastały te czasy, kiedy potęga cnoty, właściwa sercu ludzkiemu, odwrócona od pracy zniszczenia, skierowaną została ku uszczęśliwieniu ludzkości! Niestety, ta nieszczęsna wojna znów nas znacznie oddaliła od pożądanego celu.

4 sierpnia. Nowy akt dramatu: zdetronizowanie cesarza; Francja ogłasza się republiką. Co uczynił Napoleon III i jego armia, niema odtąd żadnego znaczenia; niepowodzenia, zdrada, tchórzostwo — to sprawa kilku osób; zawinił cesarz i jego generałowie, Francja nic temu nie winna i nie odpowiada za to. Gdy tron upadł, wydarto z historii Francji karty, na których krwawymi zgłoskami stoją wypisane Metz i Sedan; naród będzie teraz prowadził wojnę, jeśli Niemcy poważą się posunąć dalej swój najazd zbrodniczy...

Nadzieja moja, że klęska sedańska położy koniec wojnie, rozwiała się wkrótce, wszystko dokoła przybrało bardziej wojowniczą postać. Dzika niechęć i pragnienie zemsty przepelniały atmosferę; nienawiść dla upadłej dynastji równała się prawie nienawiści dla wroga; szykany, pamflety, któremi obrzucano ce-

sarza, cesarzową i nieszczęśliwych generałów, podejrzenia i potwarze, szkalowania, szyderstwa — wstrętem mnie przejmowały. Brutalny tłum sądził, że w ten sposób zrzuci odpowiedzialność za poniesione klęski na kilku ludzi, więc obrzucał ich błotem i kamieniami: naród pokaże dopiero, że jest niezwykcieżony.

Przyspieszano obwarowanie Paryża: budynki leżące w obrębie fortów, naokoło muru zewnętrznego, zwalono lub usunięto; gromady ludzi napływały do miasta z dobytkiem. Jakże ponuro wyglądały te szeregi wozów, koni pociagowych, ludzi dźwigających szczątki zrujnowanego ogniska! Już raz podobny widok przedstawił się mym oczom w Czechach, gdzie biedni wieśniacy uciekali przed zwyciężkim nieprzyjacielem, a teraz w tej świetnej stolicy świata ujrzałam znów ten sam obraz niedoli, te same strwożone, posępne twarze, ten sam pośpiech i trud, tę samą boleść.

Nareszcie! Bogu dzięki, pomyślna wiadomość! Za wstawnictwem Anglii doprowadzony został do skutku zjazd Bismarka z Juliuszem Favre'm w Ferrières. Przyjdzie zatem do porozumienia, do traktatu pokojowego.

Przeciwnie! Uwidocznili się przepaść, dzieląca oba narody. Już od jakiegoś czasu zapowiadały dzienniki niemieckie zabranie Alzacji i Lotaryngii; chodzi tu o odzyskanie dawnych niemieckich prowincji. Historyczne dowody, na które się powołują w celu zabrania ich, są tylko po części uzasadnione, obok tego stawiają powody strategiczne: „Alzacja i Lotaryngia są nam niezbędne, jako warowne przedmurze w przyszłych wojnach.“

Wiadomo, że argumenty strategiczne są najważniejsze, niezbite, wobec nich ustąpić muszą zasady moralne. Z drugiej strony, ponieważ Francja przegrała, czyż nie należy się nagroda zwycięzcom? Gdy-

by Francuzom szczęście sprzyjało, czyż nie zagarnęliby prowincyj nadreńskich? Gdyby rezultat wojny nie miał rozszerzyć granic jednego z państw wojujących, pocóżby się prowadziło wojny?

Tymczasem nic nie wstrzymuje pochodu zwycięskiej armii: już staje pod murami Paryża. Niemcy żądają urzędownie odstąpienia Alzacy i Lotaryngii; na to otrzymują powszechnie znaną odpowiedź: „Ani piędzi ziemi, ani kamyka naszych warowni!”

Tak, tak, poświęcimy tysiące ludzi, lecz ani piędzi ziemi. Jest to myśl zasadnicza ducha wojennego. „Chcą nas upokorzyć — wołają Francuzi — nie! raczej zginiemy pod gruzami Paryża!”

— Uchodźmy, uchodźmy ztąd czempredzej! — postanawiamy wtedy z Fryderykiem. — Po co zostawać bez koniecznej potrzeby w obleżonem mieście, po co żyć wśród ludzi przejętych jedynie uczuciem nienawiści i zemsty, spoglądających na nas niechętnem okiem i zaciskających pięści, gdy słyszą nas mówiących po niemiecku? Wprawdzie teraz trudno wydostać się z Paryża i Francji; trzeba przebywać pola walki, komunikacja kolejowa bywa często przerywana dla podróźnych; przykro też nam porzucić dom nowy, ale nie możemy tu pozostać. Za długo już bawiliśmy; wzruszenia doznane ostatnimi czasami tak wstrząsnęły mój organizm, że objawiło się cierpienie nerwowe. Dreszcze i spazmy ponawiały się kilkakrotnie.

Kufry stały już spakowane i wszystko do podróży było gotowe, gdy znów przyszedł atak tak silny, że musiałam się spodziewać febry nerwowej lub zapalenia mózgu, więc niepodobna było narażać się w takim stanie na trudy podróży.

Długo przeleżałam w łóżku, tymczasem nadeszła zima. Po wyzdrowieniu dopiero dowadywałam się, co zaszło podczas mojej długiej choroby. Strasburg, stolicę „bratniego kraju,” „czysto niemieckie

miasto,” bombardowano; zniszczono bibliotekę, padło 193,722 strzały...

Strasburg zdobyty.

Kraj cały oddaje się wielkiej rozpacz, dochodzącej do obłędu. Wertują Nostrodama, szukając w nim przepowiedni odnośnych do obecnych wypadków, zjawiają się prorokujący wieszcz. Gorzej, występują na scenę opętani; cofamy się niby wstecz, w wieki średnie, w tę noc duchową, ogniami piekielnymi oświeconą...

1 grudnia. Trochu zajmuje wyżyny Champigny.

2 grudnia. Około Brie i Champigny zażarta utarczka.

5 grudnia. Zimno wzmaga się; nieszczęśliwi ranni na śniegu konają. W mieście zimno również duka. Brak materyału opałowego, za parę kawałków drzewa opałowego oddałby każdy nawet — tron hiszpański...

21 grudnia. Wycieczka z Paryża.

25 grudnia. Mały oddział kawalerji pruskiej powitano strzałami z domów osady Troo i Sougé; jako odwet, generał Kraatz rozkazuje spalić te osady.

Palić! — brzmi rozkaz — żołnierze, prawdopodobnie łagodni i dobrodusznicy chłopcy, spełniają go i wzniciają pożar. Płomienie wlatują ku niebu, nieszczęsne domy zapadają się z trzaskiem nad głowami mężów, żon i dzieci.

* * *

Co teraz będzie? Kwestya już tylko w tem, czy Paryż ogłodzić, czy zbombardować?

Na to ostatnie wzdryga się sumienie cywilizacji. Bombardować „stolicę świata,” wspaniałe schronisko sztuki, z jej bogactwami i skarbami, niczem nie dającymi się zastąpić... Wojownicza prasa berlińska zachęca do tego: to jedyny sposób zakończenia wojny i zdobycia nadsekwanskiego grodu, a jaka chluba! Protesty podnoszone wpływają na decyzję kół wer-

salskich i skłaniają je ostatecznie do użycia tego środka strategicznego.

Doskonale pamiętam wrażenie owego dnia: Fryderyk, Rudolf, nauczyciel i ja siedzieliśmy właśnie przy drugim śniadaniu (t. j. spożywaliśmy kawałek chleba i sera, bo zapasy żywności były już bardzo szczupłe), gdy rozległ się pierwszy strzał. Strwożeni podnieśliśmy głowy i spojrzeli po sobie. Czyliżby? Ależ nie, to może bramę z takim trzaskiem zamknięto gdzieś w pobliżu lub coś podobnego. Fryderyk zerwał się z krzesła.

— Bombardują! — zawołał i pośpieszył do okna.

Podążyłam za nim. Z ulicy dochodził gwar, ludzie zbierali się w grupy, stali, wsłuchując się lub zamieniając wyrazy oburzenia.

Do pokoju wpadł nasz kamerdyner, jednocześnie zagrzmiąca nowa salwa:

— Oh monsieur et madame, c'est le bombardement.

Przez otwarte drzwi cisnęła się teraz służba cała, nie wyłączając nawet kuchni. W nadzwyczajnych wypadkach, jak wojna, pożar, powódź, nikną zapory towarzyskie, wszyscy zagrożeni łączą się. Bardziej niż wobec prawa, bardziej niż wobec śmierci czują się wszyscy równi wobec grożącego niebezpieczeństwa.

— Bombardują! bombardują! — każdy powtarzał ten okrzyk, wbiegając do pokoju.

* * *

W pierwszej chwili zdawało się, że rzecz sama jest groźniejszą niż było w rzeczywistości. Nie było ani płonących budynków, ani krzyczących ze strachu tłumów, ani gradu kul świszczących nieustannie w powietrzu, tylko głuchy odległy grzmot, dający się słyszeć w dłuższych lub krótszych odstępach czasu. Niebawem przywykało się do tego. Paryżanie wybierali sobie za cel przechadzki te punkty, z których lepiej

słyszeć było granie armat; tu i owdzie na ulicy padały i pękały granaty, lecz rzadko bardzo znalazł się ktoś w pobliżu. Niejedna bomba śmierć przyniosła, ale o tych wypadkach słuchało się tak samo, jak o różnych nieszczęściach, ogłaszanych w dziennikach, nie biorąc ich bardzo do serca, a jednak bywały ogłoszenia, mówiące dużo w kilku wyrazach. Oto np. takie ogłoszenie, przybite na bramie:

„Państwo A., zawiadamiając o śmierci dwojga dzieci: synka Francois (lat 8) i córeczki Amélie (4 lata), które zabite zostały odłamem bomby, wpadłej przez okno, proszą o westchnienie i pacierz za te duszyczki niewinne.“

Nie robiły większego wrażenia tego rodzaju wiadomości, że np. „z czteropiętrowego rusztowania spadł mularz,“ albo „przyzwoicie ubrana kobieta rzuciła się z mostu w rzekę,“ i t. p. Prawdziwem strapieniem, prawdziwym postrachem mieszkańców nie było bombardowanie, lecz głód, zimno, nędza. Wiadomości z po za miasta napływały skąpo; komunikacja pocztowa została naturalnie przerwana; balony i gołębie pomagają jedynie do utrzymania stosunków ze światem. Napływają zewsząd pogłoski najsprzeczniejsze: oznajmniają zwycięzkie wycieczki lub rozgłaszają wiadomości o zamiarze wzięcia szturmem Paryża; nieprzyjaciół chce podpalić miasto na wszystkich rogach i zrównać je z ziemią; albo też zapewniają, że zanim Prusacy staną w murach stolicy, komendanci wysadzą forty w powietrze, razem z całym Paryżem. Opo wiadają również, że mieszkańcy prowincyj, mianowicie południowych, mają wpaść z tyłu na oblegających, odciąć im odwrót i wymordować ich ze szczętem.

Codzień trudniej o zapasy żywności. Brak zupełny mięsa; już oddawna niema bydła i baranów, konie zjedzą się wkrótce, nastanie czas, gdy psy, koty, myszy i szczury, ostatecznie i zwierzęta ogrodu zoologicznego, nawet ulubiony słoń, będą musiały słu-

żyć zgłodniałym za pożywienie. Chleba nie można prawie dostać; całymi godzinami ludzie wyczekują przed sklepami piekarzy na swoją szczupłą porcję, większa połowa ludzi odchodzi z próżnymi rękami. Wycieńczenie i choroby dostarczają obfitego żniwa śmierci; podczas gdy zwykle umierało tygodniowo po 1,100 ludzi, teraz wykazuje lista śmiertelności 4,000 do 5,000 wypadków śmierci tygodniowo.

Pewnego dnia, około 20 stycznia, Fryderyk, powróciwszy z miasta, wszedł wielce wzruszony do mego pokoju.

— Cóż tak ważnego się wydarzyło? — zapytałam.

— Króla Wilhelma ogłoszono w Wersalu cesarzem niemieckim — odparł. — Mamy zatem cesarstwo niemieckie, państwo jednolite i potężne. To stanowi nową epokę w historii świata. Możesz więc sobie wyobrazić, jak w nowym państwie, które oręż stworzył, moc tego o eża cenioną będzie. Dwa najwięcej ucywilizowane narody będą odąd starannie pielęgnowały ducha wojowniczego: jeden, ażeby zemścić się za otrzymane ciosy, drugi, ażeby utrzymać zdobytą potęgę; ten przez zemstę, tamten przez miłość.

— Muszę cieszyć się z tego, drogi Fryderyku — odezwałam się. — Więc nie zmarnowała się krwawa praca, jeżeli wzniosła nowe wielkie państwo.

— Zgadzałam się z tobą, że osiągnięte połączenie rozdrobnionych Niemiec jest piękną rzeczą, że gotowość, jaką okazali inni książęta niemieccy przez ofiarowanie siwowłosemu zwycięzcy cesarskiej korony, ma w sobie coś porywającego, godnego podziwu; lecz szkoda, że to zjednoczenie jest dziełem wojny, nie pokoju. Więc gdyby Napoleon III nie wypowiedział wojny 19-go lipca, Niemcy nie zdobyłyby się na tyle siły narodowej, tyle jedności, by stworzyć to, z czego teraz tak są dumni, „jeden naród braterski!“ Teraz cieszyć się będą. Na szczęście, zapomnieli już, że przed czterema laty swarzyli się pomiędzy sobą; że Hano-

wercyzy, Sasi, Frankfurtczycy, Nassauczycy najnienawistniej wspominali Prusaków. Za to tu, we Francji, wzrastać będzie odąd nienawiść do Niemców.

Na samą myśl o tem dreszcz mnie przeniknął.

— Wyraz nienawiść... — zaczęłam.

— Brzmi wstrętnie? Masz rację. Dopóki to uczucie nie zostanie uznane za niegodziwe i nieprawe, dopóty nie będzie ludzkości szlachetnej.

Owego dnia robiliśmy też projekty na przyszłość:

— Paryż będzie musiał kapitulować, wojna się skończy, więc z czystym sumieniem będziemy mogli używać szczęścia. W ciągu ośmiu lat pożycia wspólnego nie przypominam sobie jednego ostrzejszego, niechętnego słowa; tyleśmy razem przecierpieli i przeżyli, miłość nasza, związek nasz duchowy wzmocnił się tak, że nie obawialiśmy się zobojetnienia. A gdy się staniemy parą siwych staruszków, z jakąż pociechą spoglądać będziemy w niczem niezamgloną przeszłość, jakież błogi, pogodny schylek życia nas oczekuje!...

W imaginacyi mojej przesuwaliśmy się ja z Fryderykiem, jako szczęśliwa parka siwych staruszków i z najdrobniejszymi szczegółami widziałam siebie ze staroświecką kokieteryą układającą włosy posrebrzone, a jego z nożycami w ręku obcinającego gałęzie drzewek. Rzucalibyśmy sobie wtedy wspomnienia młodości, a na usta nasze biegłoby ciągle zapytanie: „Czy ty przypominasz sobie?...“

* * *

Poprzednie karty pisałam wśród wstrząśnień losowych, ale przezwyciężyłam siebie. Wstręt sprawiało mi odsłanianie scen niejednych, żal ściszał serce, gdy opisywałam podróż na pobożowisko lub tydzień cholery w Grumitz. Wydawało mi się to jednak obowiązkiem, przekazanym mi do spełnienia przez Fryderyka, który drogiemi swojemi ustami zwykł był mawiać:

— Jeżeli umrę prędzej od ciebie, to pamiętaj przyczyniać się w dalszym ciągu do propagandy wzniosłej idei — pokoju!

Nie uważałam też na to, że odnawiam rany serca, czułam potrzebę pisania, bo on sobie tego życzył.

A jednak w tej chwili brakuje mi sił do dokończenia opowiadania. Doszłam teraz do wydarzenia, które wymaga bliższych określeń... i ja niezdolną jestem do tego.

Nie, nie mogę, to nad moje siły!

Dziesięć razy siadałam do biurka i nie mogłam dokończyć. Kartki, jakie wyszły z pod ręki, darłam, serce chwytął kurcz, myśli zaczęły dziko wirować w głowie, pióro odmawiało posłuszeństwa i z płaczem gorzkim, silnym i żałosnym padałam na fotel...

Pomimo to dokończyć muszę.... muszę. Ochrońcie mnie od opowiadania szczegółów, niechaj wam wystarczy sam fakt.

Fryderyk, mój jedyny! schwytyany został na ulicy; znaleziono przy nim list, pochodzący z Berlina... otoczył go tłum fanatyków, oskarżono o zdradę. Krzyknęto: — *à mort le Prussien!* — zaprowadzono przed trybunał patriotów—i—na zasadzie prawa wojennego, w dniu 1 lutego 1871 roku rozstrzelano....

E P I L O G.

Rok 1889.

Kiedy po raz pierwszy odzyskałam przytomność, pokój był już zawarty, a komuna stłumiona. Miesiące całe leżałam w chorobie i nie wiedziałam nawet, że żyję na świecie. Jaka to była choroba — nie wiem, otoczenie moje nazywało ją delikatnie tyfusem, ja jednak sądzę, iż to poprostu było pomieszanie zmysłów. W majaczeniach moich rozlegały się grzmiecyce strzały, iskrzyły się płomienie pożarów; widziałam wyobraźni musiały się zapewne łączyć z wypadkami rzeczywistymi.

Pamięć o dzieciach sprawiła, że po odzyskaniu przytomności, a z nią i świadomości mego nieszczęścia, nie targnęłam się na własne życie; żyć dla nich było moim świętym obowiązkiem. Kiedy mnie dosięgło straszne nieszczęście, z głośnem łkaniem padłam na kolana, powtarzając: „Ach, umrzeć! umrzeć!... umrzeć pragnę!” wtedy objęły mnie dwie rączki i błagalna, boleśnie poważna, milutka twarzyczka Rudolfa spozjrzała mi w oczy:

— Matko! — szepnął chłopczyzna tklawie.

— Dotychczas nazywał mnie, „mamo;“ wyraz „matko,“ którego po raz pierwszy użył, mówił mi:

„Nie jesteś samą na świecie; masz syna, który dzieli twą boleść, kocha cię i prócz ciebie, niema nikogo! „Matko! nie opuszczaj swego dziecka“ — mówi on w tej chwili.

Przycisnęłam do serca drogiego chłopczykę, a chcąc mu wyrazić, że go zrozumiałam, wyjąkałam:

— Synu mój! synu!

Boleść pograżyła mnie w mroku; ośmnaście lat upłynęło od 1 lutego 1871 r., lecz choćbym sto lat żyła, czas nie zdoła zatrzeć żalu i smutku, wywołanego przez zbrodnię dnia owego.

Żałobnych sukien nie zdjęłam nigdy, nawet w dzień wesela mego syna. Kto ukochanego męża stracił w taki okrutny sposób, nie może się nigdy ukoić w swym żalu.

Ale na kogo wina tu spada? na kogo mam się skarżyć? Ludzie, którzy spełnili czyn morderczy, nie są za niego odpowiedzialni; winowajcą jest duch wojny, jego mogłabym tylko pociągnąć do odpowiedzialności.

W pierwszych latach po wojnie francusko-pruskiej dwa sąsiednie narody europejskie myślały o ponownej walce; jeden dumny był z odniesionego zwycięstwa, drugi oczekiwał chwili odwetu. Zwolna uspokoiły się burzliwe fale, po latach dziesięciu mógł zabrzmieć głos apostołów pokoju. Bluntschli, znakomity znawca prawa międzynarodowego, ten sam, z którym mój Fryderyk wszedł był w stosunki, zebrał zapatrywania wszelkich dostojników i rządów na kwestyę powszechnego pokoju. Wtedy to „genialny milczek“ wyrzekł znane słowo: „Wieczny pokój to mrzonka, nawet wcale nie szlachetna.“

Dziś niema prawie człowieka, któryby nie oddawał się tym marzeniom lub nie przyznawał, że są one najszlachetniejsze. W Anglii, we Francji, we Włoszech, w krajach północnych, w Niemczech, w Szwajcarii, w Ameryce potworzyły się stowarzyszenia,

które postawiły sobie za zadanie przy pomocy moralnego wpływu skłonić rządy, aby nieporozumienia przedstawiały międzynarodowemu trybunałowi; w ten sposób prawo zastąpiłoby przemoc. Że to nie mrzonka, świadczą kwestye Alabamy, wysp Karolińskich i niektóre inne; zostały one w ten sposób polubowny rozstrzygnięte. Na liście członków stowarzyszeń pokoju znajdują się biskupi, uczeni, senatorowie, członkowie parlamentu, ministrowie.

Pierwsza konferencya ludzi, dążących do utrzymania pokoju, odbyła się we Francji, prezydował zaś jej Juliusz Simon. Obecni na konferencyi członkowie parlamentów: duńskiego, hiszpańskiego i włoskiego, postanowili rozesłać cyrkularz do rządów, przypominający ustanowienie sądów rozjemczych.

Czy ta gałązka oliwna wyrośnie w wielkie drzewo i obejmie sobą świat cały — pokaże przyszłość. Obyż ta przyszłość była szczęśliwą!...

* * *

— Droga mamo, chyba pojutrze zdejmiesz z siebie te szaty żałobne?

To mówiąc, wszedł dziś rano do pokoju mego Rudolf; owo „pojutrze“ oznaczało chrzest jego syna pierworodnego!

— Nie uczynię tego, dziecko moje — odparłam łagodnie, on jednak nalegał:

— Przecież w dniu tak radosnym nie zechcesz się smucić, mameczko, pocóż więc te oznaki zewnętrzne twej żałoby?

— Nie przypuszczam, ażebyś był przesadnym i obawiał się, że czarna suknia babki sprowadzi nieszczęście na wnuka?

— Naturalnie, że nie; lecz ta czarna suknia nie zgadza się z charakterem weselnym dnia. Czy związaną jesteś ślubem?

— Nie! jest to tylko niewzruszone moje postanowienie.

Syn spuścił głowę i nie nastawał więcej.

— Przerwałem ci zajęcie... pisałaś?

— Tak, pisałam historię życia swojego. Skończyłam, dzięki Bogu, ostatni rozdział.

— Z dniem urodzin mego małego Fryderyka, którego wychowam na to, by uwielbiał swą babkę, rozpoczyna się nowy rozdział dla ciebie...

— Dobrem jesteś dzieckiem, kochany Rudolfie; musiałabym być bardzo niewdzięczną, gdybym nie czuła się dumną i szczęśliwą matką... Równą chluby przynosi mi Sylwia; błoga starość mnie czeka.

Odpowiedział mi na to milczącym, pełnym współczucia spojrzeniem.

— Gdy się zabrałam do opisanja mego życia, postanowiłam zakończyć na dniu 1 lutego 1871 r. i tylko wtedy, gdyby mi jeszcze ciebie wojna wydarła, byłabym musiała przedłużyć opowiadanie...

* * *

Chrzest odbył się zatem wczoraj, data zaś ta tem pamiętniejszą będzie w życiu. Rodzicami chrzestnymi wnuka mego byli: hrabia Antoni Delnicki i córka moja, Sylwia. Gorącym życzeniem mojem było połączyć tych dwoje młodych — i oto równocześnie z chrzcinami odbyły się zaręczyny.

Dzieciom moim zawdzięczam, że wokoło siebie widzę twarze szczęśliwe. Rudolf, od lat sześciu właściciel majoratu Doczkych, od czterech ożeniony z Beatryksą Griesbach, przeznaczoną mu na żonę od dzieciństwa, jest prawdziwie szczęśliwym.

Sylwia kocha narzeczonego, mam nadzieję, że zawodu nie dozna.

Obiad zastawiono w sali ogrodowej; przez otwarte drzwi szklane płynęło powietrze, nasycone wonią róż i ciepłem tchnieniem letniego wieczoru. Obok mnie za stołem zajęła miejsce hrabina Laura

Griesbach, matka Beatryksy, teraz wdowa. Mąż jej poległ w Bośni... Niezbyt boleje nad stratą, nie nosi wiecznej żaloby; pozostała, jaką była za młodu: trzpiotem. Sprawy toaletowe, modne romanse francuskie i angielskie, plotki towarzyskie wystarczają jej zupełnie, nawet kokieterii nie wyrzekła się jeszcze. Zdaje mi się, że się uwzięła na ministra „Bądźco-bądź.“

— Muszę się wypowiadać przed tobą — rzekła mi raz. — Czy wiesz, że byłam naprawdę zakonaną w twym mężu?

— Często mi to mówiłaś.

— Miałas najwierniejszego z mężów, Marto! O moim nie mogę tego powiedzieć, ale gdy zginął, żalowałam go. Zgon jego był chlubnym; to mnie pociesza... Nudny jest stan wdowi, zwłaszcza gdy się człowiek starzeje... Dopóki się ma konkurentów i asystentów, nie jest wdowieństwo bez uroku... lecz teraz, wierząc mi, samotność usposabia do melanholii... Nie wdrażałabym się wyjść zamaż powtórnie; naturalnie, musiałoby to być małżeństwo z rozsądku z jakim człowiekiem poważnym...

— Ministrem naprzykład? — przerwałam, śmiejąc się.

— Przenikasz moje zamiary! — odparła Laura, grożąc mi palcem — ale się gniewać na ciebie nie mogę...

W tej chwili jeden z gości wstał (był to cesarsko-królewski pułkownik) i rozpoczął mowę, w której składał życzenia memu wnukowi. Oracya była banalną, naszpikowaną komunałami; mówca życzył: „by Fryderyk Doczky wstępował w ślady przodków bohaterkich, by walczył;“ a skończył niefortunnie słowami; „walcz, jak twój ojciec i dziad, nie lękaj się śmierci na polu bitwy; śmierć taka jest dla żołnierza pożądaną.“

Ktoś z obecnych, pragnąc zatrzeć wrażenie mowy, która dla mnie zarówno, jak i dla rodziców dzie-

cka, nie mogła być przyjemną, rozpoczął teraz rozmowę o trójpřzymierzu, które jakoby na długie lata powinno Europie zapewnić pokój, gdy Rudolf powstał i rzekł poważnie:

„Niechaj dzień ten nową się stanie erą w rodzinie mojej, doznaję bowiem już dziś przeświadczenia, że o ile bliscy jesteśmy ciągle jeszcze barbarzyństwa, o tyle znów chyżym krokiem zbliżamy się ku najwyższemu rozwojowi cywilizacji. Nie powinna nas zatem opuszczać nadzieja. Może już gdzieś narodził się taki książę, taki władca, albo taki głęboki umysł dyplomaty, który przyświecać nam będzie odtąd jako gwiazda najjaśniejsza, złote wokoło siebie rozsypująca blaski. Gwiazda taka zabłyśnie na niebie ludzkości wtedy, gdy ludzie zdobędą się na jeden okrzyk wielki: „Precz z orężem!“ Oczyma ducha widzę, jak upada ów bałwan czczony, który egoizm stroi w suknie sprawiedliwości, a przyczynia tylko szkody bliżnim naszym. Gdy świadomość krzywd naszych zakwitnie bujnym kwiatem, wtedy spełnią się marzenia ojca mojego, Fryderyka Tillinga, i na świecie rządzić zaczną arystokracja ducha. Matko moja! Wznoszę ten kielich ku uczczeniu pamięci człowieka, który był tobie najukochańszym i najzaufańszym przyjacielem i któremu ja zawdzięczam, że nauczyłem się myśleć i czuć. Zbyt wielki to dla mnie toast, ażeby po raz drugi usta moje mógł zbliżyć do tej szklanicy!

To mówiąc, cisnął o ścianę kielich, który rozbił się na kawałki, a Rudolf kończył:

— Ten człowiek mały, którego dzisiaj ochrzciłem, niechaj już będzie człowiekiem przyszłości, my zaś starajmy się okazać godnymi synów naszych i wnuków!...

— Matko! — co tobie — przerwał — ty płaczesz? Czemuż tak spoglądasz uporczywie w ogród?

Istotnie przez drzwi otwarte salonu patrzyłam w ogród. Słońce ostatnie swoje rzucało blaski na

krzewy róż, a mnie się zdawało, że obok tych kwiatów, które kwitną purpurowo i woń piękną rozlewają wokoło, stoi... on, mój Fryderyk. W ręku jego widzę nożyce ogrodowe, srebrne włosy błyszczą w słońcu i on uśmiecha się do mnie, usta zaś jego szepczą: „Czy nie prawda, że szczęśliwą jesteśmy parą starszkwów?“

Boże mój, jakże ten obraz cichej, pogodnej starości targa duszę moją!...

K O N I E C.



83951/2

SPIS RZECZY.

T O M I.

	Str.
Baronowa Berta von Suttner	5
KSIĘGA PIERWSZA. Rok 1859	11
KSIĘGA DRUGA. Pokój	68

T O M II.

KSIĘGA TRZECIA. Rok 1864	5
KSIĘGA CZWARTA. Rok 1866	49
KSIĘGA PIĄTA. Czas pokoju	126
KSIĘGA SZÓSTA. Rok 1870/71	140
EPILOG. Rok 1889	169
